

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 5 (320) • ROK XXVIII • MAJ 2022



BRAMY
WOLNOŚCI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

Przyroda znów pokazała swą złowieszczą moc.

W dniach 20 kwietnia 2022 w **kopalni Pniówek** i 23 kwietnia 2022 w **kopalni Zofiówka** doszło do tragicznych w skutkach wybuchów metanu. W kopalni Pniówek zginęło 9 górników, siedmiu jest ciągle jeszcze w podziemiach kopalni, 20 osób zostało rannych; w kopalni Zofiówka zginęło 10 górników. To najbardziej tragiczny w ciągu ostatnich lat, śmiertelny bilans pełnej niebezpieczeństw, ciężkiej pracy górników.

Te katastrofy okryły Rodziny górników, Jastrzębską Spółkę Węglową i całe społeczeństwo Śląska głęboką żałobą.

Składamy szczerze wyrazy współczucia rodzinom Ofiar tej tragedii, wszystkim bliskim, przyjaciołom zmarłych i rannych górników.

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

Z wielkim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci wybitnego członka społeczności akademickiej Uniwersytetu Śląskiego, naszego autora i przyjaciela

prof. dr hab. Czesława Głombika.

Odszedł od nas znakomity znawca historii filozofii polskiej i narodów słowiańskich, badacz myśli pozytywistycznej, katolickiej myśli filozoficznej, neoscholastyki i neotomizmu, studiował tradycję kandyzmu i neokandyzmu, rozwój fenomenologii w Polsce oraz w środowiskach akademickich czeskich i słowackich.

W roku 2005 uhonorowany został tytułem doctora honoris causa Uniwersytetu Pałackiego w Ołomuńcu, a roku 2015 został Mu przyznany tytuł profesora honorowego Uniwersytetu Śląskiego. Opublikował 18 autorskich książek naukowych oraz ponad dwieście artykułów i rozpraw.

Był rodowitym Ślązakiem urodzonym 8 grudnia 1935 w Zabrze Pawłowie, zmarł 14 maja 2022 w Katowicach.

Rodzinie, bliskim, przyjaciołom Profesora składamy wyrazy głębokiego współczucia

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

Nr 5 (320). Rok XXVIII. MAJ 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLEK
JOANNA WARONSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* W STULECIE POWROTU GÓRNEGO ŚLĄSKA DO POLSKI
7 *Zbigniew Lubowski* POWITANIE POLSKI NA MOŚCIE
8 *Antoni Wilgusiewicz* GENERAL STANISŁAW SZEPTYCKI. W 100-LECIE OBJĘCIA GÓRNEGO ŚLĄSKA PRZEZ POLSKĘ
10 *Tadeusz Loster* KOPIEC WOLNOŚCI W PIEKARACH ŚLĄSKICH
12 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (3) Z rękopisu opracował Marian Kisiel
20 *Andrzej Jarczewski* HEJNAŁ TO NIE MUZYKA, TO IDEA!
22 *LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa* WSPÓLNOTA JUDYMÓW
26 *Ks. Henryk Pyka* LEKCJA ROSYJSKIEGO
28 *Dorota Simonides* KU PAMIĘCI... MOJE WSPOMNIENIE O MARII PAŃCZYK -POZDZIEJ
29 *Jan Miodek* MARYSIA
30 *Tomasz Bienek* NA RAMIĘ BRON! WYPOSAŻENIE ŻOŁNIERZA WOJSKA POLSKIEGO ROKU 1922
40 *Katarzyna Szkaradnik* BUNTOWNIK Z ZAOLZIA I KAMRAT Z „ZARANIA”
44 *Wojciech Lipowski* CHWILA W ŻYWIÓLE ZDARZEŃ
46 *Marcin Halaś* KOTY MIAUCZĄ W CHORZOWIE
47 *Zbigniew Lubowski* LAURY DLA AKTORA
50 *Edward Wieczorek* NIE BAJKA O KOPCIUSZKU
54 *Grzegorz Sztolerek* DWIE KOSY DZIENNIKA CZ. 3. LUDZIE REDAKTORA ZIEMBY
60 *PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek* O 27. TOMIE PISM ZEBRANYCH ŻEROMSKIEGO
68 *Janusz Karbowiczek* PIĘKNO WYOBRAŻEN I DUCHOWOŚCI
74 *Agnieszka Kukula* „PIESNI WSPÓŁCZESNE” UHONOROWANE

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 69 GALERIA: ANTONI KOWALSKI – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 *WIERSZ NA OTWARCIE Kordian Michalak* DRESZCZE
18 *Kordian Michalak* WIERSZE
36 *Jacek Okoń* PIEKARY 1978
42 *Adam Lizakowski* JAK ZOSTAŁEM NOBLISTĄ? (FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)
58 *Andrzej Handzlik* WIERSZE

FELIETONY

- 17 *BIAŁE KRUKI Jan Malicki* ROCZNIKI TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU
35 *ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek* „ŻYWO TO TA GADZINA?”
43 *MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski* PUCCINI Z JANIAKIEM W OPERZE NARODOWEJ
73 *JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko* NOWA MUZYKA I ANNA
75 *MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich* TRZECI MAJ

KSIĄŻKI

- 62 *Marian Kisiel* „POEZJA JEST DLA MNIE RELIGIĄ”
64 *Andrzej Handzlik* O POTRZEBIE INTYMNOŚCI
65 *Paweł Majcherczyk* STĘCHLIŻNA I ŚMIERĆ
66 *Piotr Skowronek* WIDZĘ WAS
67 *Alicja Wosiak* SIOSTRA GOŁĘBI
80 *KSIAŻKI NADEŚLANE*

76 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

20 czerwca 1992 roku - uroczystości z okazji 70-lecia powrotu części Górnego Śląska do Polski w Katowicach Szopienicach. Fotografia z albumu *Bogucice, Załęże et nova villa Katowice. Rozwój w czasie i przestrzeni*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 1993. Fot. Szymon Polański.





Hol Sejmu Śląskiego. Fot. Andrzej John

rys. Agata Gromada



DRESZCZE

więc o ile lat się spóźniłem?

moje twoje oczy nie moje
moje nie moje twoje dłonie
moje dreszcze

oddech do podziału
bliskość
odległość
i głos

nie moja pewność
moja niepewność

moja
trudna sztuka
liczenia do trzech

KORDIAN MICHALAK – dziennikarz radiowy i telewizyjny, nauczyciel polonista, rzecznik prasowy, bibliotekarz, konferansjer, didżej, autor tekstów piosenek, poeta. Syn poetki i powieściopisarki, Karoliny Turkiewicz-Suchanowskiej (1939–2007). Mieszka w Opolu. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jego wiersze wielokrotnie ukazywały się na łamach prasy krajowej i lokalnej, a także na antenie radia i telewizji. Znalazły się też w kilku poetyckich almanachach. Jest autorem tomików wierszy *Rachunek myślenia* i *Dreszcze*.

„...idziesz ty żołnierzu polski do śląskiej ziemi...”

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

„...jak hawierz zasypany w filarze bierze szramówkę i zaczyna kuć w caliznę i kuć... tak długo, aż się kiedyś sobie taki chodnik wyrąbie w węglu i na swobodę wyjdzie... tak i z nami Ślązakami. Tak samo! Rąbaliśmy sobie ten chodnik i rąbali ażemyśmy go wyrąbali!...”

Gustaw Morcinek: *Wyrąbany chodnik*

Ks. Jan Kapica – administrator apostolski Górnego Śląska i proboszcz tyski – 6 lipca 1922 roku witając generała Stanisława Szeptyckiego, dowódcę grupy wojsk polskich wkraczających na Śląsk, m.in. powiedział: „My, Ślązacy, nauczymy się od Was, braci Polaków z innych dzielnic, ładnie mówić, a wy nauczycie się od nas ładnie pracować...”. Słowa te odnotował ks. Emil Szramek w monografii *Ks. Jan Kapica. Życiorys a zarazem fragmenty z historii Górnego Śląska*. Ks. Jan Kapica był kapłanem wybitnym, nie tylko znanym sfermierzem idei abstynenckiej, ale także znakomitym mówcą. Jego homilie cechowała jasność i plastyczność wywodów, psychologiczne oddziaływanie na zbiorowość, używanie argumentacji nie tylko intelektualnej, ale też emocjonalnej. O ks. Kapicy jego dawny wikary ks. Emil Szramek napisał: „Nie operował On gładkimi frazesami, ale całkiem oryginalnymi obrazami i argumentami, które szybko rozjaśniały gąszcz wszelkich wątpliwości, uprzedzeń i przesądów, a rzucone potem z afektem, działały siłą lawiny rosnącej i łamały wszelkie opory. Był to mówca z Bożej łaski”; w innym miejscu dodał, że ks. Kapica posiadał „fenomenalny talent oratorski”. Tyskiego proboszcza Śląsk zachwycał, budził w nim wzruszenie i dumę, a przemysłowy krajobraz był dla niego najważniejszym symbolem tego, co najbardziej własne, pisał: „Ileż widzę tę łunę z daleka to bym mógł godzinami patrzeć i patrzeć. Patrzeć ze smutkiem, bo, gdy się pytam, co się tam pali na niebie, to mi się nasuwa odpowiedź: tam się pali pot tysiacy robotników śląskich, tam się spala młodość, zdrowie, życie niezliczonych robotników. Patrzeć z radością i dumą; bo gdy widzę ten blask i pytam się, co się tam świeci na niebie, to mi się nasuwa odpowiedź: tam się świeci pracowitość ludu górnośląskiego, tak jak się świeci pobożność i wiara górnośląska na firmamencie narodów”. Teraz witając przedstawiciela Polski właśnie te wartości przynosił w wianie od porwającej dzielnicy.

Generał Szeptycki, wojskowy znany z odwagi i talentów organizacyjnych, był wnukiem Aleksandra Fredry, dramtopisarza wyjątkowo chętnie granego przez śląskie teatry amatorskie, dla uniwersalności przekazu i celnych point i w tym powitaniu spotkał się w sposób niemal symboliczny dwie istotne tradycje, a zarazem wartości: słowa i pracy. Pięknego słowa i dobrej pracy, stanowiąc przesłanie dla dalszych związków Śląska z Rzeczpospolitą i wybijając je na czoło zarówno radosnych dni czerwcowych i lipcowych 1922 roku, jak i niezbyt licznych, lecz ważnych tekstów literackich, które upamiętniły ten czas. Podany

przy powitaniu bukiet kwiatów, generał Szeptycki odrzucił w stronę Wojciecha Korfantego, czcząc w ten sposób poległych bohaterów tej ziemi.

Dzień był wyjątkowo piękny, jakby i śląska przyroda kłaniała się Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, były dzwony we wszystkich kościołach i śpiewano uroczyste *Te deum laudamus*. Błogosławiony już dzisiaj ks. Emil Szramek, kapłan utalentowany literacko i nieprzeciętny erudyta, w znamiennej dla siebie stylistyce wspominał: „Przyjęcie Wojska Polskiego na Górnym Śląsku odbywało się przy ślicznej pogodzie wśród niesłychanego entuzjazmu i najwznieślej radości, zamąconej tylko myślą o braci, pozostałej za pruskim kordonem”. Dr Józef Rostek w gazetach witał Wojsko Polskie pod znamienym tytułem: „*Smutek i wesele*” – „*Freut euch und trauert!*”. Droga, którą wkraczało Wojsko Polskie, tonęła w chorągwiach, kwiatkach i girlandach; od granicy pod Szopienicami aż do Katowic ustawiono 30 bram triumfalnych, pomysłowych, oryginalnych, potężnych – w Zawodziu z wielkich bloków węgla – a połączonych po obu stronach gęstym szpalerem ludności Szopienic, Brzezinki, Brzęczkowic, Mysłowic, Nikiszowca, Janowa, Małej Dąbrówki, Siemianowic, Bogucic, Zawodzia, Józefowca, Dębu, Załęża, Brynowa i Katowic, odświetlonej strojonej. *Laetati sumus pro diebus, quibus nos humiliasti* – szeptali z wdzięcznością kapłani. „Prorocy pragnęli widzieć, co wy widziecie, a nie widzieli, i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli!” – z uniesieniem wołali kanzodzieje (ks. Józef Czempiel w Hajdukach) i mówcy. Myśleli przy tym o Janie Długoszu, który pisząc o pokoju toruńskim z roku 1466, tak się wyraził: „Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie krajów ojczystych w jedną całość, (Polska odzyskała wtedy Pomorze Gdańskie z Warmią), a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląską... Z radością zstępowałbym do grobu i słoński miałbym w nim odpoczynek” – Serca starych wiarusów wzbierały uczuciem sędziwego Symeona: Wypuść teraz Panie sługę Twego w pokój, gdyż oczy moje widziały zbawienie! Wernyhora górnośląski, 87-letni Wawrzyniec Hajda w Piekarach, niewidomy od lat 40, zaznał tej samej radości i satysfakcji, słysząc tylko tętent ułanów polskich. Młodzież zaś przysięgała słowami Konopnickiej: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*.”

Istotnie popularność *Roty* Konopnickiej i jej „śląskich odmian” tak często śpiewanych podczas powstań i plebiscytu, teraz osiągnęła apogeum.

Opis wejścia wojsk polskich do Piekar zawdzięczamy Zofii Kossak, która w opowiadaniu *Doczekał* pokazała jak Wawrzyniec Hajda (1844–1923), wspomniany przez ks. Szramka, niewidomy poeta, który najpiękniejszymi z zapamiętanych barw wymarzył sobie tę chwilę – teraz jej nie widzi, lecz „słyszy” w kolorze srebra, młodości i zwycięstwa. Było tak: „Czerwone słońce grzało papierową twarz staro Hajdy. Wśród tłumu huczącego jak morze, przepasa-

ny powstańcą wstęgą waleczności, stał pod bramą tonącą w zieleni i kwieciu. Brama wzniesiona była na tym samym gościńcu, którym niegdyś król Jan III jechał, by się cudownej Matce Boskiej w Piekarach pokłonić. Tłum czekał”. Historyczność i sakralność miejsca i podniosłość momentu dziejowego i oczekujący, pełen wzruszenia tłum, budują wysokie napięcie chwili. Rozpalone słońce, świeża zieleń i morze kwiatów tworzą kontrast z bladą, steranną twarzą starego człowieka.

Hajda z Piekar Śląskich – zwany śląskim Wernyhorą – już w podeszłym wieku – żył tylko marzeniem, aby doznać tego momentu, gdy wojsko polskie wkroczy na śląską ziemię. Hajda był postacią charyzmatyczną; utracił tragicznie wzrok nie porzucił swej działalności narodowej, kompozytorskiej, publicystycznej i wychowawczej, lecz z wielkim wysiłkiem, jakby w natchnieniu, kontynuował ją dalej. Ludzi, których skupił wokół siebie nazywano „hajdowncami”, a nauki przekazywane przez niego młodemu pokoleniu porywały i zapadały w pamięć. Istotne miejsce w jego nauczaniu zajmowały jedność spraw narodowych, religijnych i moralnych, kult pracy i książki oraz wiara w zmartwychwstanie Polski. W jednym ze swych wierszy pisał:

Pan Bóg Cię stworzył polskiej ziemi synem,
Bądź więc Polakiem, myślą, słowem, czynem.
Miłość ojczyzny, pobożność, oświata
Niech twoje życie w jeden węzeł spleta.

Hajda krzewił szacunek dla poezji romantycznej, którą był zafascynowany. Widać to było także w jego wierszach, w których śląskie realia nakładane były na kalki poezji romantycznych. Wychował wielu gorących patriotów, późniejszych uczestników powstań śląskich, gdyż i tak działała jego poezja, melodyjna i prosta, łatwo wpadająca w ucho. Nic więc dziwnego, że cieszył się wysokim autorytetem. Dlatego też zdecydowano, że to on najgodniej powita w czerwcu 1922 roku Wojsko Polskie w Piekarach. I istotnie powitał je słowami: „...Przed kilku chwilami polecono mi z miarodajnej strony zaszczytnie, abym w kilku zwrotach przywitał Jaśnie Wielmożnego Pana Generała. Mój Boże, pomyślałem, ja, z niskich najniższy, z biednych najbiedniejszy, ku temu nie posiadam zdolności retorycznych. Lecz gdzie jest miłość w sercu, tam się słowa znajdują. A miłością do Polski pałam od zarania mego życia. Miłość tę pielęgnowałem w otoczeniu moim, ile mi tylko sił starczyło i stosunki na to pozwalały. W ostatnich latach, fizycznie złamani i zwichnięty, stałem się niezdolny do pracy narodowej w tej mierze, jak dawniej. Ale, że jestem chrześcijaninem wierzącym, więc modliłem się do Boga zastępów, mówiąc z psalmistą: »Ku Tobie podnosiłem oczy moje, który mieszkasz w niebiesiech. Oto jako oczy sług w rękach panów swoich, jako oczy służebnicy w rękach pani swojej – tak oczy nasze do Pana, Boga naszego, aż się zmiłuje nad nami. Zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nad nami, bośmy bardzo napełnieni wzgardy [sic!]. Bo jest bardzo napełniona dusza nasza pośmiewiskiem bogatych i wzgardą pysznych« (Ps.122). – Bogu chwala, że mnie wysłuchał!”. Ten moment utrwaliła właśnie autorka *Nieznanego kraju* w swoim opowiadaniu pisząc:

„Już som blisko... Wnet bedom. Pieknie w słoneczku jadą. Zielone błonie za nimi. Ułani mają chorągiewki żółte, lance błyszczą, muzyka przodem... Co się wam stało, Hajdo!?! Co wam?

Załała się, opadł stary. Oto marzenie utracone było prawda, szło ku niemu!... Boże!!... Widzieć!... Widzieć!... Ujrzeć wytynki w ciemności sen rzeczywistością! Cudu! Widzieć!... Zobaczyć!!... Bodaj na sekundę!!... Widzieć!!...

Szłochał w głos, niebacznym, że już nadjechali, zapominając pracowicie przygotowanej przemowy. Zgarbiony, ścisnął siwą głowę oburącz z rozpaczą.

– Och, widzieć!... Widzieć!... Chryste, ja chcę widzieć!...

Dowodzący wojskami generał Szeptycki nachylił ku niemu twarz prawie z tkliwością.

– Nie możesz pan widzieć wojska polskiego, ale usłyszysz za chwilę tętent ułanów polskich wjeżdżających...

Krótki rozkaz, moment ciszy.

Srebrny wrzask trąb rozdarł powietrze, zatargnął tłumem, wybił się w górę, popłynął. Zagrzmięła ziemia pod ulewą nagłą kopyt, zaszumiały proporczyki, burza młodych głosów podniosła pieśń nieśmiertelną, młodą, rodzoną, zwycięską.

– Jezui!... – wyszeptał ślepiec i padł bez czucia na ziemię”.

Obraz kojarzy się z przypowieścią z biblijnym Symeonem, człowiekiem sprawiedliwym, który czeka na chwilę, w której zobaczy Zbawiciela, gdyż taką otrzymał obietnicę od Pana, że nie umrze dopóki nie zobaczy „Chrystusa Pańskiego”. Obraz namalowany przez Zofię Kossak tchnie autentyzmem, a cytowane słowa generał Szeptycki faktycznie powiedział do Hajdy. Natomiast przemówienie starego piekarskiego poety czytane dzisiaj nadal wzrusza, tyle w nim autentycznej powagi i z trudem powściągniętych emocji.

Zofia Kossak, wnuczka Juliusza Kossaka, znanego malarza batalisty, z rozmachem pokazała scenę, jej patos i powagę. Tak przekazywała polskim młodym czytelnikom wiedzę o wielkim święcie narodowym – powrocie Śląska po wiekach odłączenia – do odrodzonej Polski. Tekst znalazł się w *Bursztynach*, zbiorze małych form narracyjnych, ukazujących symboliczne obrazy z dziejów Polski: od początków istnienia – do odzyskania niepodległości w roku 1918. Ostatnim mocnym akcentem tomu jest wejście polskich wojsk na Śląsk w roku 1922.

Ładnie komponuje się z uroczystościami piekarskimi wystąpienie 72-letniej Petroneli Golasiowej z Klimzowca, która w Królewskiej Hucie w stroju śląskim, chlebem i solą witała uroczysto generała Kazimierza Horoszkiewicza. Członkini Towarzystwa Polek, prowadząca w domu nauczanie języka polskiego dla dzieci i udostępniająca swe mieszkanie na próby „Chóru Wanda” i teatru amatorskiego, wygłosiła powitanie tak wzruszające, że jeden z korespondentów napisał: „Z triumfującego wroko tej staruszki czytało się jak z Ewangelii cały ogrom bohaterstwa, wytrwałości, wiary i zasługi kobiety polskiej na Śląsku”.

Z podobnym do Kossak-Szatkowskiej uniesieniem i rozmachem pokazał wejście wojsk polskich Gustaw Morcinek w ostatnim, XVI-tym rozdziale *Wyrąbanego chodnika*, który w całości poświęcony został tym wydarzeniom. Tak zamyka się epopeja pokazująca w sposób metaforyczny sześćset lat pełnego dramatyzmu czekania na narodowe orły. Piękna podniosła chwila, pełna jest złocistego blasku, rytmu żołnierskich kroków i wojskowej muzyki, przeniknięta niewysłowioną ludzką radością.

Braż opalonych żołnierskich twarzy, oficer na białym koniu, kwiaty, muzyka, wszystko prześwietlone słońcem, znakiem życia, triumfu i szczęścia. To ono sprawia, że w Morcinkowym opisie, jak i u Zofii Kossak, radosną chwilę postrzega się poprzez barwy i dźwięki:

„Tymczasem drogą od Koprzywnic, w złocistych tumanach pyłu, w glorii słońca szło polskie wojsko.

Zerwały się ogromne okrzyki, wołania, wyleciały pod niebo, pijane radością. Ludzie garnęli się do pierwszych szeregów... Niektórzy płakali... A żołnierze szli. Spaleni na brąz, zakurzeni, twardym krokiem wybijając rytm, w hełmach, z karabinami na ramionach. Przed nimi na białym koniu oficer szablą wita krzyczące tłumy, salutuje, słońce raz wraz przecina, skry w oczy sypie. Za pierwszym oddziałem muzyka... Polski marsz krzesze ogień w sercach, za ramiona porywa, wynosi...

Mój Boże!... Polskie wojsko!... Nasze wojsko! – płacze jakaś stara babinka.

Sypią się kwiaty na polskich żołnierzy. Wydierają się dłonie, garną do nich, żeby tylko koniuszkiem palców dotknąć, wyczuć, że to nie złuda, że to nie sen, że to żywi, prawdziwi, przez sześćset lat oczekiwani żołnierze polscy!...

Przodem kłębi się ogromna muzyka... droga tętni i tętni tysiącem nóg i tysiącem kopyt, krzyk wzmagą się, rośnie, pęcznieje, przewala się z jednego końca na drugi, proporczyki szeleszczą, konie parszają, głowami rzucają, a na szablach i lufach karabinowych słońce się łuszczy i łuszczy...

Idą żołnierze hyrni i wielmożni, jakby cały świat przewędrowali, sycą się weselem witających tłumów. [...]

Przed bramą przystanąło wojsko. Podnosi się ksiądz proboszcz w powozie, wspiera ciężko na ramieniu Emila i mówi. A co zdanie – przegradza je ścieranymi łzami.

– ...idziesz ty, żołnierzu polski, do śląskiej ziemi... cały świat obszedłeś, żeby nareszcie do nas zawitać... czekaliśmy cię, czekaliśmy... po nocach, płakaliśmy za tobą, krwią drogę ci wymościłiśmy i zgaszonym życiem twoich braci Ślązaków wykupili... zhardzieliliśmy w uporze... żeby cię nareszcie w swych progach ujrzyć... żeby nareszcie nasyć nasze oczy widokiem tego orła białego, który śnił się nam przez wszystkie noce i dni... sercem cię witamy... sercem cię witamy... o ty nasz najmilszy żołnierzu polski... żołnierzu polski...”

Wtedy właśnie jedna z bohaterek powieści, Helenka „odczuła w sobie ledwie uchwytny ruch, leniwe przeciąganie drobnego ciała, wyczuła prężące się stopki jej dziecka... [...]. Nowe życie szepnęła szczęśliwa”. To nowe życie – to jest nie tylko życie dziecka jej i Gustlika Wałoszka, ale i Śląska wracającego do Polski. Symbolika ostatniej sceny i tytuł książki piękną klamrą spinają opowieść o powrocie „piastowskiej ziemi” do Ojczyzny. Tak też kończy się opowieść o polskim „żołnierzu tułaczku”, jak to pięknie ujął ksiądz proboszcz w kazaniu. Ten żołnierz, „radosny zwiastun swobody”, łączy w sobie zarówno tradycję barwnego ułana, jak i prostego żołnierza, który idąc „borem lasem, przymierając z głodu czasem”, dociera po długiej wędrówce do Śląska, by tę ostatnią wówczas „kresową” placówkę dołączyć do odrodzonej w nowym kształcie Rzeczpospolitej Polskiej.

W takim momencie musiał pojawić się też biały orzeł, przecież często przywoływany w pieśniach powstańczych. W podniosłym wierszu Kazimierza Ligonina, wnuka kowala-poety, tak znakomicie komponującym się z opisami prozatorskimi, zalsnił w „słońca aureoli”:

Jak oko sięga, chorągwie, sztandary!
Już wszystko polskie, tak swojskie, tak inne!
Grzmią pod niebiosa radosne fanfary!
Banderia konna śląskich gospodarzy
Czeka już w szyku, dalej pułk sokoli,
Powstańców kadry. Nad nimi się waży
Hen Orzeł Biały w słońca aureoli.

Autorstwa Kazimierza Ligonina był też hymn województwa śląskiego, do którego muzykę skomponował Feliks Nowowiejski, ułożony na powitanie wojsk polskich na Górnym Śląsku w czerwcu 1922 roku:

Spełniony marzeń wielki cud,
Niewoli spadły z rąk kajdany,
Zmartwychwstał górnośląski lud
Z Polską na wieki związany

Królowo Polska z tronu gwiazd
Tyś w serca nasze męstwo wlała,
Żeśmy nie dali naszych gniazd,
Cześć ziemi Śląskiej ocalała!
Do nieba wzniesmy twardą dłoń.

Od ciężkiej w znoju twardej pracy
Z pokorą schylmy naszą skroń
W przysiędze świętej my Ślązacy!

Po każdej zwrotce pojawiał się rytmiczny refren:

Za wolność Polski, Śląska wraz
Oddajmy życie w każdy czas

Cały wiersz, utrzymany w podniosłej stylistyce patriotycznej, oddawał dumę i radość tej historycznej, sięgając do tradycyjnej symboliki tyrtejskiej, obecnej zresztą w całej poezji powstań i plebiscytu. Gdy dodać, iż „Traktat Pokoju Między Mocarstwami Sprzymierzonymi i Stowarzyszonymi a Niemcami” stanowiący o przynależności Górnego Śląska został artystycznie opracowany przez Stanisława Ligonina, redaktora „Kocyndra” – to trzeba przyznać, iż rodzina Ligoninów godny wkład wniosła w uroczystość połączenia Śląska z odrodzoną Ojczyzną.

Literatura spięta więc klamrą ten historyczny moment wpisując go w odwieczne archetypy śmierci i zmartwychwstania, początku i końca, ślepoty i przejrzenia. Odmalowywali go w podobnych barwach i dźwiękach niewidomy starzec, przedstawiciel śląskich twórców ludowych i autorka, która po wygnaniu z Kresów swój dom znalazła na Śląsku, właśnie w tym samym roku, w którym powrócił on do Polski i pisarz-górnik rdzenny Ślązak, a także jeden z najwybitniejszych śląskich kapłanów, mecenas sztuki i znawca literatury oraz dwóch twórców z Ligoninowego rodu. Im wszystkim tamten czas jednako zapadł w pamięć i serce. A ich utwory powstałe przeciw niezależnie od siebie, mówią o wydarzeniu podobnymi słowami i przesiąknięte są podobnym wzruszeniem. Ostatnia scena *Wyjąbanego chodnika* zamyka nieodwołalnie czas niewoli i mroku, a otwiera nowe życie i nową nadzieję. Dziecko Helenki i Gustlika Wałoszków będzie żyło już na polskim Śląsku. Literatura utrwaliła autentyczne fakty, ale też nastroje związane z powrotem Śląska do Macierzy i przetworzyła je w obrazy, w których zawarła prawdę o wielkich emocjach towarzyszącym tej chwili, gdy po wielowiekowej niewoli część Górnego Śląska wracała do Polski. Józef Piłsudski wówczas w Katowicach powiedział: „Ten dziwny szmat ziemi zwie się Śląskiem i żył tak długo, i tak ogromną pełnią życia odrębnego, często zapominany przez resztę Polski. Wobec tego zespolenie naszego życia jest największym cudem pośród wszystkich, które przeżywaliliśmy w ostatnich latach, największym triumfem pośród naszych triumfów”. „Cud” musiał mieć swą barwę i moc.

Przedziwny zbieg okoliczności sprawił, że zjednoczenie Śląska z Polską zbiegło się z rocznicą bitwy pod Grunwaldem, 15 lipca 1410, i w Krakowie w dniu tym zabrzmiał Dzwon Zygmunta, a artystka malarka Michalina Janoszanka przekazała na ręce gen. Szeptyckiego obraz na szkle jako dar dla Katowic na pamiątkę wkroczenia wojsk polskich. Przedstawiał on orła białego wspartego szponami na mieczu. Specjalnie powołany Komitet ze Stefanem Żeromskim, ks. biskupem Adolfem Szelażkiem, Józefem Siemieńskim i Stanisławem Śliwińskim na czele skierował apel do społeczeństwa polskiego, by w tym dniu uroczystość uczciła powrót Górnego Śląska do Macierzy. W specjalnej odezwie pisano: „Najwspanialszy triumf ducha polskiego uczcimy razem z najświetniejszym zwycięstwem oręża polskiego. Niech w tej uroczystości nie zabraknie żadnego obywatela, żadnej organizacji”. I faktycznie nie zabrakło; gdy spojrzeć się na geografii obchodów wydarzenia, to widać jak radośnie i z rozmachem czczone połączenie Śląska z Polską.

W roku bieżący mija już 100 lat od radosnego powrotu Śląska do Polski i z tej okazji, czcąc doniosłość momentu, na 20 czerwca ustanowiono nowe święto państwowe, Narodowy Dzień Powstań Śląskich.

Powitanie Polski na moście

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Górna Wisła była w okresie rozbiorów Polski granicą państwami między monarchią austro-węgierską a cesarstwem pruskim. Rzeka oddzielała Śląsk Cieszyński od Górnego Śląska. Graniczny most nad Wisłą w rejonie Goczałkowic stał się przed stu laty miejscem doniosłego wydarzenia historycznego. W czwartek, 29 czerwca 1922, powitano tam uroczystie oddziały Wojska Polskiego pod dowództwem gen. broni – Stanisława Szeptyckiego.

Był to symboliczny powrót części Górnego Śląska do Polski, po trzech zbrojnych powstaniach śląskich i regionalnym plebiscycie narodowościowym. W pobliskiej Pszczynie proces przemianowania władzy przez Polskę rozpoczął się już trzy dni wcześniej. Wojska francuskie ostatecznie odeszły stamtąd 28 czerwca. Zorganizowana następnego dnia patriotyczna uroczystość na moście pomiędzy Dziedzicami a Goczałkowicami była kolejnym aktem historycznej sprawiedliwości dziejowej w tym zakątku Polski – pisze Jerzy Polak w swojej książce „Pszczyna 1922”.

– **Jak przebiegło powitanie wojsk polskich nad górną Wisłą?** – zapytaliśmy historyka Grzegorza Maćkowskiego, dyrektora Muzeum Regionalnego w Goczałkowicach-Zdroju.

– Niepodległa Polska istniała już od 1918 roku. Na Śląsku trzeba było czekać jeszcze 4 długie lata na powrót do Macierzy. Decyzje państw europejskich w tej sprawie dotyczyły jednak tylko części przemysłowego regionu. Spory fragment Górnego Śląska tkwił nadal w granicach Niemiec. Mieszkańcy wiosek i miast leżących w przyznanej Polsce części regionu nie ukrywali swojej radości. Miejsca uroczystości były pięknie udekorowane polskimi emblematami oraz girlandami zieleni i kwiatów. Zbudowano wiele bram triumfalnych. Już od wczesnych godzin porannych 29 czerwca 1922 roku gromadziły się przy moście liczne grupy Polaków ze sztandarami i orkiestrami.

– **Czy zachowały się relacje uczestników uroczystości sprzed 100 lat?**

– Z ówczesnych publikacji prasowych oraz z wiarygodnych dokumentów historycznych wyłania się obraz radosnego powitania wojsk polskich w Goczałkowicach. Po drugiej stronie mostu, w Dziedzicach (nie istniało jeszcze wtedy miasto o nazwie Czechowice-Dziedzice), zebrał się tłum osób przybyłych ze Śląska Cieszyńskiego i Małopolski. Sporo było młodzieży szkolnej, skautów, straży pożarnej i przedstawicieli rozmaitych stowarzyszeń. Przyjechali do Dziedzic specjalnymi pociągami z Cieszyna, Bielska, Białej, Żywca, Wadowic, Oświęcimia i Krakowa. Dworzec kolejowy w Dziedzicach był barwnie udekorowany. Na czele porannego pochodu ludzi maszerujących z dworca w stronę mostu nad Wisłą znalazła się delegacja krakowskiego Towarzystwa Obrony Zachodnich Kresów Polski z prof. Henrykiem Pachoniskim.

– **Jak wyglądał sam most graniczny?**

– Konstrukcja mostu z 1922 roku odbiegała od wyglądu współczesnego obiektu. Efektownie go jednak przystrojono. Przyciągała uwagę kwiatowa brama triumfalna z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki i napisem „Niech żyje Polska”. Nadejście pochodu od strony Dziedzic zostało przyjęte spontanicznymi okrzykami radości osób zgromadzonych po stronie goczałkowickiej. Przy moście stali przedstawiciele władz państwowych z wojewodą śląskim – Józefem Rymyrem.

– **Kiedy pojawił się tam gen. Szeptycki?**

– Nastąpiło to ok. godz. 10.00. Generał był dowódcą IV Inspektoratu Armii w Krakowie, stojącym na czele wyodrębnionej grupy operacyjnej, zajmującej polską część Górnego Śląska. Przybyło wojsko – jeden ze szwadronów 5 pułku strzelców konnych, bateria 23 pułku artylerii lekkiej z armatami oraz dwa plutony 23 dywizji piechoty. W Goczałkowicach towarzyszyli Szeptyckiemu m.in. Wojciech Korfanty i liczni dziennikarze.

– **Czy pogoda sprzyjała organizatorom i uczestnikom uroczystości?**

– Historycy zgodnie odnotowali, że nie było deszczu. Czerwcową aurą nie sprawiła wtedy żadnych przykrych niespodzianek. Wzruszającym elementem uroczystości była bez wątpienia recytacja wierszyka „Powitanie braci Ślązaków”,

zaprezentowanego przez małą dziewczynkę, Anię Windisz, uczennicę szkoły ludowej z Dziedzic (oto dwie z siedmiu zwrotek):

Witaj nam stara dzielniczo piastowa,
Od pnia Macierzy niegdys oderwana.
Dziś, gdy nad Polską świeci zorza nowa,
Ty do nas wracasz, ziemio kochana.

(...)

Po latach próby stajesz wśród rodziny,
Łączysz się z braćmi spod jednego znaku,
A dzwon Zygmunta z wawelskiej wyżyny
Brzmi triumfalnie: Witaj nam Ślązaku!

Wiersz zrobił duże wrażenie na wszystkich uczestnikach spotkania na moście. Podkreślono, że rodzime wojsko wkrocza na ziemię, na której przez ponad 600 lat nie stanęła stopa polskiego żołnierza.

Rozbito karabinem symboliczny (biało-czarny!) łańcuch graniczny, wołając przy tym: „Pękajcie kajdany niewoli naszej”. Potem po przedeflowaniu przed generałem Szeptyckim, wojsko przemaszerowało przez Goczałkowice aż do Pszczyny. Po drodze było witalne radośnie przez tworzącą przydrożny szpaler ludność z okolicznych wiosek.

– **Wydarzenie sprzed 100 lat zostało, o ile mi wiadomo, pieczołowicie zrekonstruowane w 2018 roku.**

– To prawda. Z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości przygotowaliśmy inscenizację goczałkowickiej uroczystości z 1922 roku. Odbyło się to w sąsiedztwie mostu, bo nie uzyskaliśmy zgody na zajęcie samego obiektu. Organizatorem przedsięwzięcia było Stowarzyszenie Przyjaciół Goczałkowic-Zdroju. W 2016 roku należałem do grona jego współzałożycieli. Jestem rodowitym goczałkowiczanie (ur. w 1975 roku).

– **Goczałkowickie muzeum jest placówką prywatną. To dość nietypowe.**

– Muzea prywatne nie są wcale taką rzadkością, jak mogłoby się wydawać. Placówka mieści się w najstarszym obiekcie (z roku 1863) na terenie uzdrowska goczałkowickiego. W przeszłości znajdowała się tu kawiarenka zdrojowa. Muzeum stawia sobie za cel kultywowanie pamięci o historycznych zdarzeniach sprzed lat, a także popularyzację regionalnych inicjatyw społecznych i kulturalnych.

fot. Z. Lubowski



Grzegorz Maćkowski

Cykl obchodów 100-nej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę – trwający od 2018 roku – kończy się właśnie przypadającą na czerwiec-lipiec rocznicą przejęcia przez Państwo Polskie przyznanej mu w wyniku decyzji mocarstw, poprzedzonej plebiscytem i trzema Powstaniem części Górnego Śląska.

Obchody te, wolne wreszcie od ograniczeń pandemicznych (choć w cieniu agresji rosyjskiej na Ukrainę) są okazją do przypomnienia wielu wydarzeń, a także postaci związanych z powrotem do Polski wschodniej części ziemi górnośląskiej. Symbolem tego powrotu dla wielu Polaków stało się zdjęcie przedstawiające wysokiego rangą oficera na koniu w otoczeniu wojskowych i cywilów, spotykane nawet w podręcznikach historii. Jest on symbolem Polski, tak wyczekiwanej przez wielu Ślązaków – pokazuje nam to zdjęcie wykonane w kilka dni później w Piekarach, kiedy ten sam oficer, już stojąc, jest witany przez niewidomego Wawrzyńca Hajdę, zwanego Śląskim Wernyhorą. Oficer ten to generał Stanisław Szeptycki, postać niezwykła nie tylko przez swoje własne zasługi wojskowe poniesione dla Polski, ale także przez pochodzenie z rodziny o ogromnych zasługach dla Polski, ale też Ukrainy.

Opowieść o nim możemy zacząć na wrocławskim Rynku, gdzie po II wojnie miejsce zajmowane na cokole przez pruskiego króla zajął polski komediopisarz, znany wszystkim Aleksander



Gen. Szeptycki na Rynku w Katowicach. 20.06.1922

Generał Stanisław Szeptycki

ANTONI WILGUSIEWICZ

Fredro. Przybył on tu ze Lwowa, gdzie z kolei na miejscu zajmowanym przez niego zasiadł ukraiński historyk i polityk Mychajło Hruszewski – a było to jak wiadomo wynikiem decyzji jałtańskich. Fredro, właściciel dworku w Beńkowej Wiszni niedaleko Lwowa, pochowany w miejscowym kościele parafialnym w Rudkach, miał córkę Zofię, która wyszła za mąż za Jana Kantego Szeptyckiego z Przyłbic herbu własnego, od 1871 roku hrabiego z nadania cesarza Franciszka Józefa. Szeptycki był już spolonizowany i wyznania rzymskokatolickiego, ale pochodził ze znanego na Rusi rodu bojarskiego, który wydał biskupów greckokatolickich; jeden z nich, Atanazy, był inicjatorem budowy wspólnie lwowskiej katedry tego Kościoła, Soboru Św. Jura. Jan Kanty i jego

synów, z których dwóch zmarło w dzieciństwie, dwóch zostało ziemianami, a dwóch duchownymi grecko-katolickimi, wracając do wyznania swych przodków. Kazimierz, znany jako Ojciec Klemens, podczas II wojny ukrywał Żydów za co otrzymał tytuł Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata; po wojnie w ramach represji stalinowskich wobec Kościoła Greckokatolickiego został zesłany w głąb Rosji, gdzie zmarł w 1951 roku; beatyfikowany przez Jana Pawła II we Lwowie jako jeden z męczenników Kościoła greckokatolickiego. Drugi z braci, jeszcze bardziej znany to Roman (zmienił imię na Andrzej – Andrij) Szeptycki, jako wybitnie uzdolniony szybko awansował w hierarchii kościelnej, od 1900 aż do śmierci w 1944 roku pełnił urząd arcybiskupa metropolity lwowskiego, zwierzchnika Kościoła Greckokatolickiego (oficjalnie obrządku ukraińsko-bizantyjskiego). Dla Ukraińców jest postacią wybitną, uczczoną między innymi pomnikiem obok Katedry Św. Jura; dla Polaków kontrowersyjną, posądzaną o sprzyjanie ukraińskim nacjonalistom. Obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny, dwukrotnie blokowany przez kardynała Stefana Wyszyńskiego.



Niewidomy Wawrzyńiec Hajda wita generała Szeptyckiego w Piekarach. 26.06.1922

Siódmy z synów Zofii i Jana Kante-
go, Stanisław, urodzony w 1867 roku,
wybrał karierę wojskową – w jedynej
dostępnej mu wówczas armii czyli au-
stro-węgierskiej. Po zdobyciu wszech-
stronnego wykształcenia wojskowe-
go obejmował różne stanowiska do-
wódcze, w maju 1914 roku awanso-
wany na stopień pułkownika. Czując
się Polakiem, po sformowaniu Legio-
nów Polskich przeniósł się do nich
zostając komendantem III Brygady,
a od 14 listopada 1916 do 24 kwiet-
nia 1917 komendantem Legionów.
Po kryzysie legionowym powrócił
do służby austriackiej w stopniu ge-
nerała majora, by już 1 listopada 1918
roku wstąpić do tworzącego się Woj-
ska Polskiego, gdzie objął wysokie
stanowisko Szefa Sztabu Generalne-
go. Sprawował stanowiska dowódcze
podczas walk na wschodzie, co opi-
sał potem w książce *Front litewsko-
białoruski. 30 marca 1919–30 lipca*
1920. Popadł jednak w konflikt z Józefem
Piłsudskim, co odbiło się na jego
karierze wojskowej po zamachu ma-
jowym (na własną prośbę przeszedł
w stan spoczynku) – wcześniej jed-
nak przez kilka miesięcy 1923 roku
był nawet Ministrem Spraw Wojsko-
wych. Za zasługi wojenne był kawale-
rem najwyższych polskich odznaczeń
– w tym dwa razy Orderu Virtuti Mil-
itari i cztery razy Krzyża Walecznych.

W marcu 1921 roku generał został
Inspektorem Armii w Krakowie, najbli-
żej sąsiadującym ze śląskim obszarem
plebiscytowym. Z tej racji był koordy-
natorem pomocy dla przygotowujących
się do rozstrzygającej batalii polskich
Górnoszlązaków – pomocy, która z po-
wodu ówczesnych uwarunkowań mię-
dzynarodowych musiała pozostać nie-
jawna, stąd też niewiele o niej wiemy.



Ślązacy przy grobie generała, 2021

Historycy twierdzą, że jeszcze przed
wybuchem powstania wszystkie decy-
zje dotyczące insurekcji były konsulto-
wane z generałem Szeptyckim. Pomoc
w postaci przerzutów broni i ochotni-
ków kontynuowana była także w czasie
III Powstania, a jej symbolem są Kade-
ci lwowscy, którzy na własną rękę opu-
ścili miejsce zakwaterowania, by wziąć
udział w walce. Czyn ich, choć oficjal-
nie nieakceptowany przez władze pol-
skie, po zakończeniu walk spotkał się
z wielkim uznaniem i uhonorowaniem.
Marszałek Piłsudski ustanowił 21 maja,
dzień w którym rozpoczęli oni walkę
pod Górą św. Anny – Dniem Kadeta.

Z racji swojej funkcji generał Sze-
ptycki został głównym przedstawicie-
lem Państwa Polskiego obejmują-
cym w jego imieniu w posiadanie zie-

mie górnoszląskie przyznane Polsce.
W dniu 20 czerwca 1922 roku na cze-
le wojska wkroczył od strony Szopie-
nic na katowicki rynek, witany mię-
dzy innymi przez Wojciecha Korfan-
tego oraz pierwszych przedstawicieli
władz polskich na tym terenie Józefa
Rymera (wojewodę) i Alfonsa Górnika
(prezydenta Katowic). Takie powita-
nia w następnych dniach miały miej-
sce w różnych miejscowościach Gór-
nego Śląska (26 czerwca wspomniana
uroczystość w Piekarach, 29 czerwca
na Rynku w Pszczynie). Ślązacy wzno-
sili wówczas bramy powitalne, które
przypomniane zostaną w projektowa-
nej inscenizacji z okazji 100-nej rocz-
nicy wydarzenia, przewidującej prze-
jazd polskiej kawalerii na czele z ge-
nerałem Szeptyckim ulicą Warszaw-
ską w Katowicach w dniu 19 czerwca
2022 roku.

Jak wspomniano, zamach majo-
wy, w którym generał opowiedział
się po stronie rządowej, zakończył
jego karierę wojskową. Osiadł wów-
czas w majątku Korczyńska koło Kro-
sna, odziedziczonym po matce Zofii
(niedaleko znajduje się zamek Odrzy-
koń, uwieczniony przez jego dziad-
ka Aleksandra Fredrę w słynnej *Zem-
ście*). Tam też dożył sędziwego wie-
ku 83 lat, zmarł w 1950 roku i został
pochowany na miejscowym cmen-
tarzu. Zarówno dworek, w którym
mieszkał, jak też sam grób generała,
znajdują się w dobrym stanie i są czę-
sto odwiedzane, także przez wyciecz-
ki ze Śląska. Pamięć o generale i jego
rodzinie utrwała także Fundacja Ro-
dziny Szeptyckich, prowadzona przez
potomka jednego z jego braci, Alek-
sandra – Macieja Szeptyckiego (ge-
nerał nie pozostawił po sobie potom-
ków).



Dworek w Beńkowej Wiszni, stan obecny

Droga króla Jana III Sobieskiego pod Wiedeń na czele wojska polskiego w roku 1683 wiodła przez Śląsk. Stany śląskie uroczyste przyjęcie królowi Polski zgottawały już w Czeladzi. 21 sierpnia 1683 roku orszak królewski z Janem III, królową Marysienką, synami Konstantym i Aleksandrem z oddziałami husarii i gwardii przybocznej przekroczył granicę Austrii i wjechał do Piekar Śląskich. Tutaj na polskiego monarchę czekał hrabiowie śląscy oraz poseł hrabia Waldenstein z listem od cesarza. Do Piekar Jan III wjechał na koniu.

Zatrzymał się na mszy świętej, by pomodlić się przed cudownym obrazem Matki Boskiej Piekarskiej. W kościele pozostawił dar w postaci dwóch złotych kielichów i patery. Miejscowi gwarkowie, górnicy, wręczyli królowi wykonane w srebrze godło górnicze – kupkę czyli skrzyżowane ze sobą dwa narzędzia: pyrlík i żelazko. Towarzyszący wyprawie francuski kronikarz napisze: „Nigdy żaden monarcha nie spotkał się tak z osobistymi wyrazami hołdu ze strony ludności obcego państwa, jak król polski ze strony poddanych cesarza”. Droga wojska polskiego przez Piekary do Tarnowskich Gór biegła obok dworu, na zachód od Kozłowej Góry, dalej pomiędzy Orzeszem a Rudnymi Piekarami.

W Tarnowskich Górach orszak królewski wraz z wojskiem zatrzymał się na dwa dni, gdzie rankiem 22 sierpnia Jan III Sobieski dokonał pod Tarnowcami Starymi przeglądu wojska.

W sercach Ślązaków pozostał wspomniały obraz polskiego wojska a przede

Kopiec Wolności w Piekarach Śląskich

TADEUSZ LOSTER

wszystkim oddziałów husarii, które tak waleńnie przyczyniły się 12 września 1683 roku do Wiktorii Wiedeńskiej.

„Śląski Wernyhora”

Wawrzyniec Hajda urodził się 8 sierpnia 1844 w Piekarach Rudnych. W roku 1856, w czasie epidemii tyfusu i cholery, na Śląsku zmarli jego rodzice. Osierocony Wawrzyniec pracował sam na swoje utrzymanie. Kiedy ukończył 14 lat został górnikiem w kopalni „Wilhelmina” w Szarleju. Interesował się historią Śląska, czytał i mówił dobrze po polsku, grał na skrzypcach. Mając 21 lat przeniósł się na kopalnię „Szarlej” a następnie „Helenę”.

Niedługo po ślubie w 1871 roku spotkała go tragedia. Oślepił podczas pracy w kopalni na skutek przedwczesnego wybuchu dynamitu. Dla Wawrzyńca zaczął się nowy etap w jego życiu. Rozpoczął działalność na polu narodowym polskim.

Zaczął pisać teksty do pieśni, do których komponował muzykę. Jego dorobek to ponad 300 utworów o tematyce religijnej i patriotycznej, w których głosił prorocstwo o wskrzeszeniu Polski. Pisał gwarą górnośląską. Organizował kół-

ka młodzieżowe, które pełniły rolę Uniwersytetów Ludowych. Na spotkaniach młodzi Ślązacy poznawali historię Polski, czytano polską literaturę i poezję oraz śpiewano patriotyczne pieśni. Opierał się germanizacji Śląska poprzez obronę wiary katolickiej.

W dwusetną rocznicę przemarszu wojsk polskich przez Piekary Śląskie w drodze pod Wiedeń (1883) wystąpił Wawrzyniec Hajda z inicjatywą usypania pamiątkowego kopca, upamiętniającego to wydarzenie. Projekt upadł z uwagi na sprzeciw władz pruskich.

Działalność śląskiego działacza i polity została zauważona przez władze. W roku 1885 Wawrzyniec Hajda stanął przed Izbą Karną w Bytomiu oskarżony o podburzanie do gwałtów. Śledztwo przeciwko niewidomemu poecie zostało umorzone.

Wawrzyniec cały czas marzył o wolnej Polsce, marzył o Śląsku, który wróci do Macierzy. Niewidomy poeta Hajda doczekał się tej chwili, kiedy 26 czerwca 1922 wraz z tłumami Ślązaków osobiście witał generała Stanisława Szeptyckiego, jadącego na czele wkraczającego do Piekar Śląskich Wojska Polskiego.



Powstanie Kopca Wolności w Piekarach Śląskich dn. 10. VI. 1937 r.

Zmarł 27 marca 1923. Pochowany został na miejscowym cmentarzu w Piekarach. Na kamiennym nagrobku, wyłamanym z posad bazyliki NMP, napisano:

**Niestrudzony pracownik narodowy,
szerzyciel oświaty i obrońca wiary.
Pozbawiony przez pół wieku oczu ciała,
przenikał wszystko i wszystkich oczyma
wielkiej Światłej duszy.**

Sprawa sypania kopca, upamiętniającego przemarsz Jana III Sobieskiego na czele wojska polskiego przez Piekarę, powróciła w roku 1930 na zjeździe byłych powstańców śląskich. Pomysłodawcą był piekarzanin Stanisław Mastalerz – sekretarz Związku Powstańców Śląskich. Tym razem kopiec miał upamiętniać powstania śląskie oraz wkroczenie wojsk polskich do Piekar w 1922 roku. Jednak pomysł ten przy ciągle zmieniających się koncepcjach spełził na niczym. Dopiero w roku 1932 zawiązał się komitet budowy kopca. Zbliżała się 250. rocznica wiktorii Wiedeńskiej. Budowę kopca zaplanowano na zachodnim krańcu Piekar Śląskich w miejscu, gdzie musztrował się lokalny „Sokół” oraz gdzie powstańcy składali przysięgę przed wyruszeniem do walki. Miejsce było wspaniałe: z tzw. Kocich Górrek położonych 333 m n.p.m. rozciągał się widok na Piekarę, Bytom oraz okolice Śląska.

Kopiec miał mieć 68 metrów średnicy oraz wysokość 30 metrów. Ziemia, na której miał być zbudowany była własnością hrabiego Hencla von Donnesmarcka. Hrabia czując w tej sprawie tylko interes zażądał za trzy hektary ugorów 12 tysięcy przedwojennych złotych.

Była to kwota porażająca komitet organizacyjny. Pomogli okoliczni Ślązacy; za sprzedane osobiste kosztowności uskładali żadaną kwotę. Jeszcze we wrześniu 1932 roku kupiono działkę i wmurowano w jej podstawę kamień węgielny z aktem erekcyjnym, w którym czytamy:

Za wspólną inicjatywę powstańców Śląskich, Komendy Korpusu Kadetów ze Lwowa, na wiadomy znak walki i poświęcenia ludu śląskiego o wolność oraz jako symbol łączności z Macierzą, a także ku uczczeniu pamięci poległych w powstaniach bohaterów nad brzegami Odry u Góry św. Anny, postanowiono zwyczajem polskim usypać kopiec okazały. Kopiec ten stanowi pracę ludu Śląskiego bez różnicy stanów i będzie przypomnieniem dla przyszłych pokoleń o bohaterskich powstańcach śląskich. Zaś nie wyzwolonym braciom naszym będzie nadzieją, że dla nich kiedyś zaświeci jutrzienka swobody i wolności.

Budowa kopca trwała blisko pięć lat, projektantem jego był inż. E. Zaczyń-

ski. Przede wszystkim sypali go mieszkańcy Piekar Śląskich oraz okolicznych sołectw i gmin. Sypali go również weterani powstań, uczestnicy powstania 1863 roku, powstańcy wielkopolscy, żołnierze Wojska Polskiego, harcerze, uczniowie, studenci, całe społeczeństwo Śląska. Do akcji sypania kopca dołączyli się politycy oraz ludzie kultury tacy jak Wojciech Korfanty, Gustaw Morcinek czy Pola Gojawiczyńska.

W kopcu złożono również ziemię z historycznych pól bitewnych: z Psiego Pola, Cedyni, Kołobrzegu, Niemczy, Głogowa, Grunwaldu i Raławic oraz z Góry św. Anny, Lwowa i Warszawy.

Pod koniec maja 1937 roku kopiec był gotowy. Wysokość jego od podstawy wynosiła 20 metrów, średnica 68 metrów a kubatura 25 000 metrów sześciennych. Uroczystości poświęcenia Kopca Wyzwolenia (bo tak ostatecznie nazwano kopiec) zaplanowano na dzień 20 czerwca 1937. Była to piętnasta rocznica wkroczenia do Piekar Wojska Polskiego pod dowództwem generała Stanisława Szeptyckiego.

Poświęcenie kopca – bardzo uroczyste – było wielkim świętem w Piekarach. Pod kopiec przybyły nieprzebrane tłumy z okolicznych miejscowości oraz przyjezdni goście. Przedstawiciele organizacji społecznych oraz harcerze. Z oficjalnych władz przybył wojewoda śląski Michał Grażyński oraz wice-



Z tygodnika „Światowid” nr 26/1937

premier Eugeniusz Kwiatkowski. Po poświęcenia kopca dokonał ksiądz pra-

łat Wawrzyniec Pucher, a mszę świętą odprawił biskup połowy Wojska Polskiego Józef Gawlina.

Odbyła się wielka parada wojskowa, w której uczestniczyły pułki śląskie. Patrząc na zamieszczoną przy publikacji fotografię pocztówkową wykonaną przez miejscowego fotografa P. Pietruszkę z Wielkich Piekar widać, że na szczycie kopca umieszczone były flaga oraz godło Polski, a msza święta odbywała się przy polowym ołtarzu z obrazem Matki Boskiej Piekarskiej. Nie zabrakło także Poczty Polskiej, która tę patriotyczną uroczystość udokumentowała specjalnym okolicznościowym stemplem pocztowym.

Po wojnie kopiec odszedł w zapomnienie. W PRL-u partyjne władze Śląska nie wykazywały zainteresowania tym patriotycznym obiektem. Kopiec niszczał.

Dopiero w 1997 roku powstał w Piekarach Społeczny Komitet Renowacji Kopca Wyzwolenia Śląska. Renowacja kopca powoli ruszała. 20 czerwca 2007 w 70. rocznicę poświęcenia Kopca Wyzwolenia prezydent Piekar Śląskich wydał zarządzenie przyśpieszające rewitalizację kopca. Droga oraz teren wokół obiektu zostały wyremontowane. Plac przy kopcu wyłożono kostką. Wokół placu stanęły latarnie. Powstało nowe podwyższenie dla imprez okolicznościowych. Ustawiono nowy drewniany krzyż oraz konstrukcję, która może służyć jako ołtarz lub trybuna. Obszar, na którym znajduje się kopiec, wzbogacił się o elementy sportowo rekreacyjne. Oficjalne ponowne poświęcenie kopca z towarzyszącymi mu imprezami nastąpiło 13–14 września 2014 roku.

Dobrze by było, aby obecne kulturalno-rozrywkowe przeznaczenie Kopca Wyzwolenia nie przyćmiło jego historii, patriotycznego wysiłku społeczeństwa Górnego Śląska, Wawrzyńca Hajdy, oraz powstańców śląskich. ■



Koperta z pamiątkowym stemplem, ze zbiorów Tadeusza Loster

Pamiętnik (3)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

Niedziela, 12 lipca [1936].

W dnie deszczowe, słotne, jak na przykład dzisiaj, nuda jest wprost okropna. Szarpie mózg, ubezwładnia ciało, człowiek po prostu czuje się jak po ukrzyżowaniu. Włóczę się z kąta w kąt i nigdzie nie mogę znaleźć tego, czego mi brakuje. Inna rzecz, że nawet nie wiem, co to jest. Zdaje się, że taki stan jest częstką tej odwiecznej pogoni za szczęściem.

Może mógłbym się trochę rozerwać, gdybyśmy mieli radio. Ale na nieszczęście dotychczas jakoś nie mogliśmy się zdobyć na ten bardzo pożyteczny artykuł.

Próbowałem coś napisać. Napisałem tytuł: *Spragnione krzyże*, ale dalej ani rusz. Ma to być artykułik nawołujący do poszanowania krzyży przyrodnych, tak czarownie okraszających krajobraz polski. Zamierzam to dać (oczywiście po napisaniu) do „Gościa”^[1].

W każdym razie noszę się już od paru dni z pomysłem nowej powieści. Tytuł miałby być wyjęty ze słów świętego Pawła – *Żywe kamienie*^[2]. Temat był[by] bardzo aktualny. Krótka treść: Młody człowiek, uczeń gimnazjum zakładowego, zostaje przyłapany na czytaniu niedozwolonych książek. W rezultacie wydalają go ze szkoły. Równocześnie musi się pożegnać z myślą o kapłaństwie. Wraca więc na wieś, do zmartwionych rodziców i zaczyna pędzić nowe życie. Pasa krowy, pomaga ojcu przy gospodarstwie i powoli zewnętrzny tryb jego życia staje się całkowicie podobnym do wieśniaczego. Jednakowoż dawna chęć poświęcenia się w służbie Bogu kielkuje w nim nadal i coraz silniej. Widząc, że powrót do szkoły jest niemożliwy, dokszałca się, wreszcie konstatuje, że jednak do stanu duchow[n]ego się już nie nadaje. Wobec tego – skutkiem głębokiej przemiany, spowodowanej częstym obcowaniem z naturą, zaczyna rozumieć, że dla niego pozostała jedna ważna, a tak mało obrabiana praca, a mianowicie apostołstwo świeckie^[3]. I zostaje apostołem świeckim.

Kuzynka Marika ma córeczkę. Dzisiaj odbył się chrzest. Maleństwo otrzymało imiona Maria Magdalena. Właściwie chciałem koniecznie doprowadzić do tego, aby nadano dziecku jakieś imię słowiańskie, a więc Bogumiły, Dobrosławy czy Ludmiły. Niestety, to nasze śląskie społeczeństwo tak jeszcze żyje pod wpływem imion germańskich, czy zbyt popularnych, że na każdym kroku spotyka się Gertrudy, Elfydy, Marie itp. nonsensy imienninowe. Czy to się skończy? Sądzę, że tak, ale w walce z zalewem imion obcych powinien by przede wszystkim wziąć udział kler. Ambona posiada dla ludzi moc autorytatywną i dlatego zwycięstwo nie byłoby wtedy trudne.

Poniedziałek, 13 lipca.

Ujejski^[4].

Przyszedł do mnie prorok. Przyszedł jak coś koniecznego, chociaż niespodziewanego. Sięgnąłem ręką na półkę i wyciągnąłem mały tomik jego poezji.

Uśmiechnęła się do mnie boleśnie tamta Polska przybita

na krzyżu. Napłynęły wspomnienia z tamtych chwil szeroką falangą – z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej^[5]. I przyszedł do mnie Jeremiasz i zaśpiewał mi pieśń bólu, a potem pieśń zemsty^[6].

Zaczynam odkrywać w Ujejskim wielkie Piękno. Mnożność uczuć wiąże się z jego utworami. Siła wybuchu, ekspresja twórcza sprawiają, że Ujejski staje się dla mnie pewnym autorytetem.

Uwielbiam *Maraton*. Znajduję w nim cztery silne momenty: strącenie perskich heroldów w przepaść; przebicie Greka, który „...błaga ze łzami, żeby nie grzebać go razem z Persami”, więc „...w oznakę litości dwaj przyjaciele i bracia najszczerzy własną mu ręką rozplatali piersi”; dalej – mowa Miltiadesa i obwieszczenie o zwycięstwie przez Greka, powracającego z pola bitwy.

Piękne są tłumaczenia Szopena. I świetnie nadają się do recytacji, np. mazurki *Zakochana* oraz *Terkotka*^[7]. Wśród tego wszystkiego jest jeden klejnocik, który szczególnie dzisiaj, w dobie radia, mógłby być godnie przypomniany. Jest to *Noc straszna*^[8]. Wydaje mi się, jakby to było wszystko pisane jako słuchowisko radiowe. Akcja prosta, w której łatwo można wyczuć ideę przewodnią, efekty muzyczne nieskomplikowane, ale wywołujące silny nastrój. Można się dziwić, że dotychczas nie zwrócono na *Noc straszna* uwagi.

Ujejski jest mi przede wszystkim bliski. Może nie zawsze, ale w każdym razie raz jeden, a to zupełnie wystarczy do pokochania Kornela.

W wierszu *Tys dziecko* przedstawił moje, całkiem moje refleksje. Może nawet nie tak refleksje, jak istotę mojego życia.

*Tys dziecko! — tak szydzą i młodzi i starzy;
O mędrzy! co wieku szukacie na twarzy,
Spojrzyjcie w to oko, co żarem mi płonie,
W to serce, co młotem wybija w mem łonie,
I okiem chirurga zajrzyjcie do czaszki
Skąd dawno uciekły dziecięce igraszki,
A gdzie już nie jedna myśl szczytna a smętna
Z łoskotem i blaskiem piorunu tam wpadła
I wicherząc wyryla niezatarte piętna —
Bo dziecku brew zwiśla i twarz mu poblada.*^[9]

Doznałem cudownego wrażenia rozdwojenia się. Trwało to parę sekund. Przerabiałem właśnie psychologię i chcąc odpowiedzieć na pewne pytanie, zacząłem przypominać sobie przeszłość. Właśnie w tym momencie wyczułem, jakby we mnie były dwie istoty, dwaj najszczerzy przyjaciele. Uśmiechnąłem się do tej drugiej istoty i czułem w tym wielką radość (czyżby miłość własna w tym się objawiała?). Potem powiedziałem temu drugiemu „przyjacielowi” „nie jesteś taki naiwny”, i cały ten cudny proces rozdwojenia się – znikł.

Wczoraj pomyślałem, a dziś zacząłem już pisać. Otóż *Żywe kamienie* tak mnie pociągnęły, że już je zacząłem. Przede wszystkim pociąga mnie sam bohater, którego nazwałem Łukasz Brachańczyk, a który będzie miał dużo moich cech i moich przeżyć. Napisałem już cały pierwszy rozdział. Jeżeli dalej będę pisał z tym samym rozmachem, to za kilka tygodni powieść mam skończoną. Trochę nie podoba mi się styl, jaki zastosowałem. Jest w nim dużo konwencjonalizmu i dlatego boje się, że zamierzona powieść, mimo swego aktualnego tematu, nic nowego do mojego dotychczasowego dorobku nie wniesie. A przecież powinienem być wciąż wznioślejszy i lepszy w pisaniu.

Skonstatowałem, że jestem za bardzo przeczulony na punkcie uczuć lirycznych. Samo jakieś słowo oznaczające pewien obiekt, który mógłby być wzięty za temat słowny do liryki np. las, kwiat, burza, tęsknota, wywołuje we mnie pewnego rodzaju ekstatę liryczną. Zaczynam wtedy głośno marzyć. Śnią mi się lasy, pola, łąki i w ogóle wpadam coraz głębiej w chorobę, którą nazwałbym „przechuleniem poetycznym”.



Wtorek, 14 lipca.

Rano wstać o szóstce. Oczy nie chcą się odmykać. W ustach ciepło i aż błotnisto od śliny, nagromadzonej między zębami. Na dworze kaczkę czynią nieznośny wrzask. Z kopalni dochodzą odgłosy jakiejś żelaznej młócki. Ktoś idzie ulicą. Kroki brzmia głucho. Kasztany stoją prawie cicho.

Wstać z trzeszczącego łóżka i zobaczyć na stole gazetę — (tak bywa). Gazeta — — —

Gazeta przynosi wiadomości różne. Jest to stały kontakt między kimś a czymś. A dzisiaj gazeta przyniosła drobnym drukiem smutek. Bo nastąpiła czyjaś śmierć przez utonięcie.

Czyjaś? Nie. To był przyjaciel.

Jeszcze mi teraz stoi przed oczyma jego wysoka postać. Chuderlawy, zawsze blade na twarzy, jednak mimo wszelkie smutki, których miał dużo — zawsze wesoły. Dobry kolega. Mniejsza o nazwisko, wszak to obce *Pyrchała Erwin*, ani trochę nie pachnie tą ciepłą przyjazną, jaką rozsiewało Jego serce. Lubił mnie i ja Go lubiłem. Często przyjeżdżał do mnie, bo lubił ze mną rozmawiać. Jeździliśmy razem do szkoły. Razem chodziliśmy na rozrywki. Kochaliśmy się. W bież[ącym] roku skończył szkołę rolniczą w Rybniku. Cieszył się na ten moment, wszak to znaczyło usamodzielnieniem, nieliczeniem się

dłużej z głosem macochy, z którą i tak żył w rozbracie. Otrzymał też zaraz praktykę na dworze w Jastrzębiu. Ja mu napisałem prośbę, którą uwzględniono. I tam Go spotkała śmierć.
Śmierć — — —

Śmierć może być tragiczna jak Jego, a może też być i dobra. Każdemu życzę tej dobrej.

W ostatniej godzinie...

*Jeszcze ostatni smutek, jeszcze ostatnia radość
i już się życiu przetoczyć czerwoną luną zachodu.
W godzinę zmierzchu — życiu śmiercią uczynić zadość.
Zapomnieć. Zamilknąć. Poznać, że dusza wiecznie jest młodą.*

*Dusza zakwitnie różą w tej to godzinie życia,
nie pytać: czemu? bo wszystko, wszystko z rozkazu jest nieba.
Sercu powiedzieć: przestań. Sercu z smutku ukrycia
powiedzieć: przestań bić, przestań, tak trzeba, trudno, tak trzeba.*

*Potem napoić oczy złotem żywotnym słońca,
rozkazać: brzozom — zaszumić, kwiatom — zapachnieć
najmocniej,
złożyć w uśmiechu usta — (uśmiechać się do końca!) —
i usnąć (tak lekko, tak miękko), i umrzeć (tak bezowocnie)...*

Środa, 15 lipca.

Skończ się bólu, skończ się niepokoju. Za dużo!... Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z ogromu naszej przyjaźni. Została ona brutalnie stargana. Śmierć ją sprofanowała. Ale pozostanie na zawsze wrażenie Twojego uśmiechu. Twojej szczerzej swobody. I twojej miłości do świata.

Kochałeś świat całą swoją duszą ośmnastoletniego. Pragnąłeś, aby życie potoczyło Ci się najlepiej (któż tego nie pragnie?). A oto przyszła śmierć.

Teraz dopiero poznałem, że Cię brakło. Że stracił mi się na zawsze (tak! na zawsze) jeden z tych, którzy wytwarzają dokoła człowieka atmosferę zadowolenia. Nie masz Cię między żyjącymi.

Wybacz, że nie poznałem Cię w trumnie. Że się Ciebie przestraszyłem. Twarz miałaś nakrytą watą, a dłonie sine, nabrzmałe, drgające gdzieś nad piersią ostatkiem ziemskiego trudu. Przeciał je różaniec, zwisający na Twoje zniekształcone piersi.

A potem był płacz. I szloch. I niepokój jakiś, który targał mi sercem. Potem, ach! tak krótko potem położyli na Tobie wieko. Wieko z wyrzeźbionym krzyżem. Położyli Ci na ciele paszport, który upoważnia Cię do spoczynku w ziemi.

Między mną a Fojcikiem płynęły kwiaty. Szła biel dziewczęcej sukni i pęk białych dalii. A TY płynąłeś wysoko nad tłumem. Przecięty na ukos szarą krzyżą, oznajmiałeś Swe zwycięstwo nad życiem. Oznajmiałeś, że tragedia Twego młodzieńczego życia to było *memento* dla nas młodych. Pamiętać o duszy, bo nikt nie wie, gdzie go czeka śmierć.

Cmentarz był wśród pachnących świerków i sosen. A grób ziejący żywiczną wonią czuł tę uroczystą ciszę lasu.

I znów płacz. I szloch. I niepokój jakiś, targający mym sercem. Poleciały za Tobą kwiaty. Białe, czerwone, różne kwiaty, kwiaty, kwiaty... I grudki ziemi, ziemi, czarnej ziemi... Biel dziewcząt wykwitła dokoła Twego mieszkania żywym wieńcem. I zaszumiął jeszcze nad Tobą proporzyczek związkowy. I cisza.

Modlitwę wyszeptano lękliwie. Z bijącym żywo sercem. Coś mi uciskało skronie. Co? Aha, ten niepokój, ten zimny, lodowaty strach.

A potem blade uśmiech wśród płaczu Twoich sióstr. I pożegnanie.

Nad Tobą szumiały już tylko sosny. I przelatywał cichy, ale niespokojny wiatr.

Wieczny odpoczynek...
Requiescat in pace!

Świętej pamięci mego kochanego kolegi ten wiersz, pro-
sty jak śmierć
poświęcam

*Przybito Cię w trumnie, zamknięto na wieki,
szlachetny, kochany Erwinie.
Rozpękło się serce, zawarły powieki -- --
- niech smutek się w łzach rozplynie -- --*

*Wysoko nad tłumem, przecięty wskroś krzyżem
płynąłeś na barkach kolegów -- --
(bo łódź Twego życia płynęła Ci chyżej
i prędzej dotarła do brzegu).*

*I dużo szło ludzi za Tobą tą drogą
w dniu owym najcichszych Twych zwierzeń.
Drożyną piaszczystą, węziatką^[10], ubogą,
szły tłumy, szepczące pacierze.*

*A potem zaszumiał Ci las szumne pieśni
i woń Cię żywiczna objęła.
Nad grobem Ci sztandar związkowy szeleścił,
ręk setka w głąb kwiaty rzuciła.*

*Pachniały Ci dalekie bieluskie, czerwone,
słoneczko Ci złote świeciło --
- a tyś miał już oczy na wszystko przymknione
I nic Cię już, nic nie bawiło.*

*Rzucano na trumnę Twą grudą po grudzie
(a ziemia Cię wzięła z miłością),
i wkrótce już, wkrótce odeszli Cię ludzie,
zostałeś sam na sam z żalością.*

*Minęło Ci życie jak dzień, jak godzina,
żałosnym Ci echem przebrzmiało.
Tragiczna się śmierci uparła przyczyna
i ciało Twe prochem się stało.*

*Lecz pociesz się, drogi, kochany Erwinie,
że jeszcze się kiedyś spotkamy,
wszak śmierć to -- okrutnik, nikogo nie minie,
i wszyscy się jej doczekamy.*

*Zachowano po Tobie to święte wspomnienie,
żeś żył, żeś radował się z nami.
To jedno po Tobie zostanie mi mienie,
spowite żalością i łzami.*

/./

Czwartek, 16 lipca.

Zeszło się do mnie kilku kolegów. A więc był Musiałek, był Fojcik, był Władek. Dyskutowaliśmy najwięcej o literaturze. Ja powiedziałem znowu dużo o konieczności między-słowiańskiej spójni. Zdaje się, że słowa moje nie przeszły bez echa. W każdym razie koledzy ci będą murowanymi członkami Koła słowiańskiego. Zamierzam je założyć z początkiem sierpnia. Będę się jeszcze musiał skomunikować z prof. Musiałkiem z Poznania^[11].

Wysłałem list do siostry śp. Erwina, Stefanii, posyłając w nim wiersz, ułożony wczoraj, a opisujący pogrzeb zmarłego. Pani Stefania właśnie mnie prosiła o napisanie na te tematy wiersza.

Piątek, 17 lipca.

Wujostwo z Tarn[owskich] Gór przyjechało do babci do Leszczyn. Wobec tego mój projektowany wyjazd w tamte strony musi ulec pewnemu odroczeniu.

W początkowych dniach sierpnia odbędzie się obóz hufca. Bezwzględnie będę się starał brać w nim udział. Zresztą Komenda będzie potrzebowała wykładowców. Ja mogłbym dać parę wykładów z zakresu ideologii harcerstwa.

Jestem leniwy. Jest słońce i ono właśnie ubezwładnia nie tylko ciało, ale i umysł. Nie jestem zdolny do niczego. Intensywne myślenie wychodzi u mnie wykoślawione. I w ogóle jestem taki nieswój.

Sobota 18 lipca.

Spotkałem się z Riją. Zdaje się, że ona zmieniła o mnie zdanie i ja o niej zmieniłem. Rozmowa z nią jest bardzo przyjemna, ponieważ z jej słów wieje jakaś serdeczność, która ma swoje uzasadnienie w usposobieniu. -- Szliśmy wśród pól, na których stawiano już snopy. Snopy przypominały mi jakieś niemrawe, serdeczne kreatury ludzi. A słońce świeciło szeroko i rozlewnie. Filozof powiedziałaby, że ona ma coś, ja powiem, że ona ma urok.

Niedziela, 19 lipca.

*Wszędzie panuje gorąc wielki
i wszędzie słońce trwa.
Do ciała mi się lepią szelki,
czoło gorączkę ma.*

*Wyjść gdzieś do lasu między drzewa --
w cieniu bym lepiej żył;
tak mi się chłodu wciąż zachciwa,
lecz wyjść gdzieś -- nie mam sił.*

*W pokoju duszność mnie rozpiera,
w pokoju pocę się --
niechże to weźmie raz cholera,
bo złość już chwytła mnie.*

*Czasami wyjdę gdzieś na krótko,
lecz wszędzie słońca szal:
na polu, w domu, czy w ogródku,
wszędzie bym tylko spał.*

*Taka mnie senność wciąż uchwytła,
o[c]h! Psiakrew -- szkoda słów.
A jeszcze mnie się ktoś zapyta:
cóż, czy pan nie jest zdrów?*

*No, wiecie państwo, że tu można
Zwariować, tak na „pe--”.
Przeklinam, choć to rzecz jest zdroźna.
żem zły -- niech każdy wie.*

*Burżujom to dziś jest najlepiej:
kobiety, wino, gry...
Los się radośnie do nich lepi,
nie wiedzą, co to łyzy,*

*nie wiedzą, co to jest pragnienie,
nie wiedzą, co to głód,
co bieda i co poniżenie,
co życia ciężki trud.*

*Dla nich się słońce wciąż uśmiecha,
i dla nich pachnie las –
dla nich świat cały – to uciecha,
dla nich – świat pełen kras...^[12]*

*A my? My potem się zlewamy,
nasz świat – to koszmar zły,
na siebie wzajem wyzywamy,
bierzemy się za łby.*

*A jednak cieszymy się z gorącą,
wszak lato krótkie jest.
Niech radość zmysły nam zamąca,
Bawmy się „fest a fest”!*

*Cóż stąd, że pokój ciepłym zionie,
że słońce parzy świat?
Podajmy sobie wszyscy dłonie,
każdemu każdy – brat!*

*Niech żyje przyjaźń, no i słońce!!!
To wszystko dał nam Bóg:
cień miły, wodę, skry palące,
milion serdecznych smug...!*

*I choć się dziennie cały pocę,
to się pocieszam tak:
Przynajmniej chłodne miewam noce,
a to jest dobry znak.*

Pan Pyrchała zaprosił mnie na dziś do siebie. Pojechałem więc z Fojcikiem zaraz po południu. Ponieważ jednak inni goście mieli się zejść cośkolwiek później, więc przespacerowaliśmy się z panną Stefanią po lesie. – To jest naprawdę zagadkowa panienska. Lubi awantury i swobodę. W ogóle przepada za kozackim życiem. Poza tym dawała mi delikatnie znać, że lubi moje towarzystwo. Panna Stefa prosiła znowu o wiersz z całej niedzieli. Wywiązując się z tego, zamierzam jej posłać poniższy wiersz:

*Była niedziela, słoneczna, gorąca,
i stypa cicha, i dusze woskowe,
i była droga sosnami pachnąca,
i jakieś słowa ckliwe, pogrzebowe,
i jakaś radość, zmieszana ze smutkiem,
i duszność, parność, i cisza niemiła,
jakby ktoś połknął czarnej ziemi grudkę,
jakby się czyjaś żalność zsobaczyła.*

*Nakryto stoły – i weszły dziewczyny,
nieśmiało szepcząc niepotrzebne słowa,
i jakieś gdzieś się rozteknęły treny,
jakieś wspomnienia odżyły od nowa!...
Dziewczęta barwnym wieńcem stół objęły;
dyskretnym śmiechem którąś z nich błysnęła.
Myśli jak żagle mocno się rozdęły
i garstka wspomnień na nowo odżyła...
Spłynęła w pokój ta wielka powaga
(modlitwę nawet wyszeptano z lękiem),
która świętościom odżyć dopomaga,
która dwa światy łączy ręką w rękę.*

*Widziałem zdjęcia. Patrzałem w te oczy,
jak ryba niemo obserwując słońce –
Myślałem, że się z nich radość wytoczy,
boć zawsze były radością zionące –
– teraz się stały obce i dalekie,
nic w nich żywego odkryć nie umiałem
... tylko tą smutku beznadziejną rzekę*

*([i] martwość stała się Jego udziałem).
Wielkie talerze nakryto kołaczem –
i filiżanki pełne mlecznej kawy –
i my na stypie bez Niego – to znaczy:
– my wzięci w serca Jego krąg łaskawy.*

*A wkrótce potem zmieniły się panny
(ktoś wlał w nie żywą i młodzieńczą siłę),
jak [g]dyby powiał lekki wietrzyk ranny,
słońce radości cucąc roztomile^[13] – – –
Wszystko uciechą poważną rozbłysło,
wszystko się życiem objawiło sobie,
jak [g]dyby okno jakieś ciemne przysło,
jakby ktoś przewrót ustanowił w grobie.
...bo może Erwin gdzieś na świecie drugim
prowadzi żywot smutny i w mozołach
– więc niechby widział te radosne smugi
mocno jarzące się na naszych czołach.
Niechajby razem się ucieszył z nami
i zza obłoków posłał nam uśmiechy,
niechajby wciąż nas darzył nadziejami
i młdłych uśmiechów nie liczył za grzechy.*

*Skończono ucztę. Opuszczono pokój
i wszyscy wyszli gromadą na drogę.
Na polu stały stopy jak co roku,
słońce się z życzeń swych zwierzało Bogu.
(A wszystkie druhny z dnia jego pogrzebu
do swych się domów rozeszły powoli).
Słońce się lało z niebieskiego żlebu^[14]
i złote snopy milczały na roli.
Piasek się w wiatru przesywał klepsydry,
droga wśród płotów utkwiała gdzieś klinem
(i wiatr się czasem spokojny skądś wydrze,
i szumem mąci ci w głowie jak winem).*

*Szliśmy w milczeniu. Każdy w swoje myśli
plątał uczucia nowe i nieznanne,
twardym zdarzeniem wszystkie sny przekreślił,
jak słońce światłem ciemności nad ranem.
Szła panna Stefa z drogi narzeczonym
(ciągle o swojej miłości myślała).
Szła i Marysia ścięgiem wymodlonym,
a w tyle wolno szła rodzina cała.*

*Jam szedł samotny. Z myślami się biłem
i tysiąc uczuć objęło mi duszę – –
– Oczami niebo jak spragniony piłem,
a w sercu ciągle czułem wielką suszę.
Górą szumiały sosny piniortalne^[15],
dołem układał się mech jak posłanie,
a jakieś myśli obce i nachalne
psuły mi całe, cudne życiobranie^[16].*

*Grób jeszcze pachniał wieńcami i kwieciami
(a wszystkie kwiaty powoli więdniały –
– wszystko przemija na tym biednym świecie,
więc i te kwiaty powoli zmarniały).
I jeszcze trochę modlitwy serdecznej,
i trochę westchnień, i cichego płaczu,
i kubeł lawy najbardziej słonecznej,
i trochę myśli, jak tam przy kołaczku.*

*A potem – późno – jeszcze pożegnanie
i ciepły uścisk czyjeś dobrej dłoni,
i deszczu ciche, rytmiczne chlapanie,
i ta tęsknota – (magnes i ebonit) – – –*

*Przeszła jak drgnienie ta święta niedziela,
minęła szybko i tak bezpowrotnie.*

Dzisiaj nas fatum powoli rozdziela,
przykrych zawodów pilnują nas sownie.
Przeszła – nie wróci się ta Jego dola...
(Lecz – Jemu wolność, a nam jest niewola)...

Ta panna Stefa to jednak pod każdym względem nieprze-
ciętna dziewczyna. Zdaje się, że będę miał sposobność i przy-
jemność poznać ją bliżej. W każdym razie dała mi swoim za-
chowaniem dużo do myślenia. Na przykład idziemy przez
las. I w pewnej chwili mówi powoli, ale mocno akcentując
każdy wyraz:

- A gdybym się tak w panu zakochała?
- Nie wierzyłbym – odparłem.

Jednakowoż chwila ta stała się czymś większym niż zwy-
kłym sposobem konwersacji. Rację ma Nałkowska, gdy mówi,
że „wrażenia przychodzą i odchodzą jakby niedoznane”^[17].
Ja bym dodał, że każde wrażenie jest błyskawicznym, nerwo-
wym drgnieniem. Drgnięć tak samo nie można zdefiniować.
Przejdzie jakiś dreszcz, przesunie się przez umysł głupia czy
mądra myśl i to wszystko. A to najważniejsze – emocja do-
znania chwili zgubi się gdzieś, albo utkwii w pamięci „grzy-
bem zapomnianym”^[18].

Pan Pyrchała bardzo się cieszył z mego przyjazdu. Wszy-
scy obawiali się, że nie przyjadę.

A Fojcik zabujał się na dobre w pannie Marysi i ona w nim.
Stefa to zauważyła i dlatego mówiła mi, że Fojcik lepiej by zro-
bił, gdyby Marysi nie zawracał głowy. Ona wie, że on ma wię-
cej dziewcząt. Jak student.

Mądra i bardzo doświadczona dziewczyna — — —

Rija przyjechała do nas rowerem z ciotką Miłką. Raczej nad-
jechała tylko, gdyż była w drogerii po zakupy. Chociaż bro-
nię się przed czymś większym niż sympatia, to muszę przy-
znać, że podoba mi się. Wylądowała. Obecnie jest z niej praw-
dziwie dorodna dziewczyna. Ale przede wszystkim podoba
mi się jej natura. Jej ciche, dobre, kojące słowa. Jej miłe prze-
mówienia i serdeczne rady. I anielskie myśli.

Wiem, że wszyscy krewni pragną nas oboje widzieć kiedyś
razem na ślubnym kobiercu. Ja ze swej strony mógłbym całko-
wicie pogodzić się z takim obrotem sprawy. Ona – nie wiem.

Prosiła, żebym koniecznie pojechał z nimi w niedzielę
do Świerklańca. Że o pieniądze na podróż nie mam się trosz-
czyć. Zapomniała widocznie o mojej ambicji i o tym, że da-
rowizin nie przyjmuję.

Nie wiem jeszcze, co zrobić. Na obozie chcę być koniecz-
nie, a w Świerklańcu też. Może uda mi się to jakoś pogodzić.

Wysłałem list pannie Stefaniu. Napisałem o jej „mi-
łości” do narzeczonego sztubackimi docinkami. Ciekaw-
nym, co mi odpowie na ten bezfrasobliwy, studencki
żart. A może w ogóle nie odpowie? Mógłbym się z tym
pogodzić — — — — ■

Przypisy

* *Pamiętnik* Wilhelma Szewczyka, karty 36–55 zeszytu
pierwszego.

[1] „Gość Niedzielny” – tygodnik katolicki Administracji
Apostolskiej Śląska, założony w 1923 przez ks. Teodora Ku-
binę, późniejszego biskupa częstochowskiego.

[2] Szewczykowi zapewne chodziło o słowa św. Piotra:
„Zbliżając się do tego, który jest żywym kamieniem, odrzu-

conym wprowadzie przez ludzi, ale u Boga wybranym i dro-
gocennym, wy również, niby żywe kamienie, jesteście
budowani jako duchowa świątynia, by stanowić święte kapłań-
stwo, dla składania duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez
Jezusa Chrystusa” (1 P 2,4–5); u św. Pawła mowa jest o ka-
mieniu węglanym: „A więc nie jesteście już obcymi i prze-
chodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i do-
mownikami Boga – zbudowani na fundamencie apostołów
i proroków, gdzie kamieniem węglanym jest sam Chrystus
Jezus” (Ef 2,19–20).

[3] Apostolstwo świeckich jest tutaj rozumiane jako po-
słannictwo w procesie zbawczym Chrystusa. Idea apostol-
stwa została już w XIX wieku podniesiona przez papieża
Piusa IX i Leona XIII, jednak dopiero od Piusa XII przybrała
wymierny kształt, co po Soborze Watykańskim II doprowa-
dziło do przyznania większego znaczenia ruchom i wspól-
notom świeckim. Szewczyk bazuje na idei jeszcze nieskry-
stalizowanej.

[4] Kornel Ujejski (1823–1897), „ostatni romantyk”, poeta
i publicysta, mesjanista, towiańczyk, autor m.in. pieśni *Z dy-
mem pożarów*, która do muzyki Józefa Nikorowicza w cza-
sie Wiosny Ludów i przed powstaniem styczniowym pełniła
rolę hymnu narodowego.

[5] „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej” – pierw-
szy wers pieśni Ujejskiego *Z dymem pożarów*.

[6] *Jeremiasz* – aluzja do *Skarg Jeremiego* (1847), zwięsz-
cza do *Słowa Jeremiego* i *Pieśni zemsty* (z tego tomu), a tak-
że do wiersza *Jeremiasz* z tomu *Melodie biblijne* (1852).

[7] *Zakochana* oraz *Terkotka* – dwa mazurki z cyklu *Tłu-
maczeń Szopena*, części literackiego dorobku Kornela Uje-
jskiego z lat 1857–1860,

[8] *Noc straszna* – mazurek z cyklu *Tłumaczeń Szopena*.

[9] *Tyś dziecko* – pierwsza strofa utworu z roku 1840.

[10] *Węziątką* – wziętka; tu prawdopodobnie omyłka
Szewczyka.

[11] Józef Mestwin Musiałek, jeden z ideologów myśli
wszechsłowiańskiej, twierdzący, że istnieje możliwość stwo-
rzenia najpierw jednego języka i narodu słowiańskiego, a póź-
niej jednolitego państwa słowiańskiego, zob. idem, *Słowia-
nie. O zjednoczeniu narodowe i państwowe Słowiańszczyzny. Na
podstawie wspólnego słowiańskiego języka literackiego*,
wyd. 2, Poznań 1933.

[12] Wers poprawiony przez Szewczyka, skreślono: „dla
nich – z burżujskich klas...”

[13] *Roztomile* (gwar.) miły, najmiłszy, przemily.

[14] *Żleb / źleb* – skalisty parów, wąwóz, rozpadlina w sto-
ku górskim.

[15] *Piniortalne* – przymiotnik odnoszący się kształtu pinii,
drzewa iglastego o parasolowatej koronie; tu w znaczeniu stylu.

[16] *Życiobranie* – tu w znaczeniu: „branie życia w pełni”

[17] Prawdopodobnie swobodna parafraza licznych uwag
o „wrażeniach” w *Granicach* Zofii Nałkowskiej (1935).

[18] Szewczyk odwołuje się do swojego wiersza i słów:
„Wiedziałem, że nastanie, że będzie taki lipiec, / w którym
człowiek grzybem utkwii zapomnianym”. Zob. zapis z 10 VII
1936; W. Szewczyk, *Pamiętnik* (2), z rękopisu oprac. M. Ki-
siel, „Śląsk” 2022, nr 4, s. 24.

Pamiętnik Wilhelma Szewczyka z lat młodości zachował
się w czterech zeszytach i został udostępniony redakcji
przez córkę pisarza – prof. Grażynę Barbarę Szewczyk. Na
łamach miesięcznika „Śląsk” (2021, nr 6 oraz 2022, nr 4)
zostały już opublikowane strony 1–35 zeszytu pierwsze-
go. Kontynuując druk *Pamiętnika*, w obecnym numerze
przedstawiamy strony 36–55.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku

JAN MALICKI

To bardzo dziwny „biały krak”. To bowiem zaledwie przedwojenna edycja mitycznego, obrosłego legendą wydania „Roczników”, które wszak są dostępne w niemal każdej naukowej bibliotece na Śląsku. Dostępne są też w wersji cyfrowej. Ale ten konkretny i kompletny zbiór, rezultat poczynań badawczych bodaj pierwszego polskiego środowiska naukowego na terenie Górnego Śląska, ma też swoją własną, odmienną od przywołanych wcześniej, a ocierających się o fikcyjność narracji, oryginalną oraz sobie jedyną historię. Atrakcyjną dla badaczy śląskiej lokalności. Powtórzmy: atrakcyjną. Już tylko przeglądając pobieżnie poszczególne tomy natykamy się na zaskakującą informację: „Ex libris Zdzisława Hierowskiego”. Badacza dziś zazwyczaj najczęściej przywoływanego w taksówce do południowej dzielnicy Katowic; rzadziej, omawiając więzy rodzinne Jerzego Gorzelika z RAŚ, zresztą jego wnuka; i tylko sporadycznie przez miłośników pisarstwa Marty Fox, czytających opowieść o smutnych losach (zakończonych szczęśliwie) kota Zdzisława z ulicy Hierowskiego. A przecież przed laty właściciel tego egzemplarza był postacią znaną w środowiskach twórczych Śląska i Katowic. Urodzony w okolicach Przemysła, od 1922 roku zamieszkały na Śląsku; najpierw w Siemianowicach, potem w Katowicach, z tą ziemią związał całą swoją dojrzałość i życie zawodowe. Nie czas dzisiaj na przypomnienie jego sylwetki. Natomiast należy w tym miejscu przypomnieć ostatnie dzieło tego badacza opublikowane już po śmierci w roku 1967. Była to monografia „Życie literackie na Śląsku w latach 1920–1939”, wciąż jeszcze inspirujące badaczy. Efekt zderzenia przedwojennej aktywności Hierowskiego z dokumentacją zgromadzo-

ną przez ks. Szramka. I tu właśnie zbiegają się drogi ostatniej pracy uczonego i opatrzonych exlibrisem „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku”. Co ważniejsze i ciekawsze, w zachowanym egzemplarzu „Roczników” znajdują się także notatki, podkreślenia i uwagi, mogące wnieść wiele do wiedzy o warsztacie naukowym Zdzisława Hierowskiego.

Nie bez kozery rozpocząłem opowieść od przywołania małego, acz jakże nośnego w informację, znaku własnościowego. W tym wypadku to wręcz rodzaj symbolu łączącego czas kształtowania się śląskiego środowiska twórczego, intelektualnego po roku 1922. Nowej elity, skupiającej i tych weteranów przedpowstaniowych zmagających o godność polskości Górnego Śląska, i tych przybyłych z bliższej i dalszej Małopolski. Czas ścierania się wszelakich postaw pro- i przeciw-. Wielkich gier spraw uniwersalnych i lokalnych gier, interesów całej społeczności polskiego Śląska, grup politycznych, jednostek odpowiadających na zew historii. To czas pulsowania mieszącej się wciąż ze sobą prostej, zwyczajnej, codziennej egzystencji w ramach obowiązujących nowych ram prawnych, ale i marzeń o wielkiej kulturze, wielkiej nauce, wielkiej konkretyzacji uniwersalnej estetyki. Już nowo-elitarnej. To czas porządkowania wektorów orientacji narodowych, społecznych, kulturowych, ich wartościowania i nowej hierarchizacji. To czas Homerów i ich Zoilów. Biorąc zatem do ręki „Roczniki” spoglądam na nie jako na dokument pewnego etapu tworzenia się i kształtowania nowej kultury polsko-śląskiej w przestrzeni między nostalgicznie przywoływaną przeszłością w barwach dwóch orientacji narodowych, a niezwykle aktywną współczesnością z perspektywą już polską. Miłującą – jak chciano – jednak naszą śląską rodzimność. Ks. Emil Szramek, twórca „Roczników”, tak charakteryzuje profil pisma w lutym 1929 roku (przypomnijmy; roku dlań bardzo ważnego; zostaje wszak magistrem fabricae, odpowiedzialnym za budowę katedry):

„Artykuły, pomieszczone w »Rocznikach«, stanowią wyraz poglądów swych autorów, za które Towarzystwo nie odpowiada. Odpowiada ono jednak za ich myśl przewodnią, którą jest bezstronne naukowe oświetlenie przeszłości czy teraźniejszości tej odwiecznej polskiej dzielnicy, o której nauka polska dotychczas należycie nie pamiętała, a która umiała bohatercko walczyć o powrót do Ojczyzny”.

Pisał to w czasach, gdy domagano się, by „kult lokalnej swojszczyzny” i „fascynacji wycinankowo-odszywanym folklorem” (to słowa Zdzisława Hierowskiego) zastąpić innym modelem kultury. „Roczniki” stały się już wtedy nie tylko płaszczyzną indywidualnych manifestacji twórców, ale też rzetelnym obserwatorem

życia społecznego, naukowego, kulturalnego Górnego Śląska.

Jednak nie wszystko układało się tak dobrze redaktorowi i autorowi cennych rozpraw. Przeglądając bowiem materiały pozostawione przez ks. Jana Kudere; materiały niezwykle sprzed 1943 roku, zapisywane na rozklejonych kopertach, na których po jednej stronie znajduje się adres parafii z niemieckimi znaczkami pocztowymi, a na drugiej pisane drobnym duktem mikromonografie zasłużonych dla Śląska ludzi, znajduje też i opis „Roczników”. Ks. Kudera pisał tak:

„Jako znak istnienia towarzystwa postanowiono wydawać »Roczniki Towarzystwa Nauk na Śląsku«. Sejm Śląski, wtedy jeszcze nie sanacyjny, przychylnie do towarzystwa się ustosunkował i obiecał dawać subwencje. Towarzystwo miało najlepsze szanse rozwijania się. Zmieniło się to, gdy sanacja się wzmacniała.

Wojewoda, znany z rozbijania wszystkiego, co było specjalnie górnośląskim, założył tzw. Instytut Śląski i jako organ tegoż wskrzesił od kilkunastu lat nie wychodzące »Zaranie Śląskie« w Cieszynie. Zastęp naukowych współpracowników się rozbił. Widać to wyraźnie. Bo, gdy począwszy od r. 1929 »Roczniki« wychodziły regularnie, z chwilą ponownego ukazania się »Zarania Śląskiego« wychodziły one z wielkim opóźnieniem. W 1929 ukazał się pierwszy, dość szczupły tom, w r. 1939 był do druku przygotowany bardzo obszerny szósty tom, zamiast dziewiątego tomu. Wtedy poznać, że ks. Szramek miał z wydawaniem roczników pewne trudności, a wszystko sprawiła konkurencja. Pewnie w tym celu, by pośredniczyć, przystąpił jako zastępca Towarzystwa Przyjaciół Nauk do Śląskiego Instytutu, ale ten na odwrót do towarzystwa przyjaciół nauk nie przystąpił i wyglądało to na poniewieranie samym sobą. Zdało się, że ks. Szramek był tu trochę za nadto autokratą, za mało opinii innych członków zasięgał, zaś do układu samych roczników nieraz wątpliwość można, czy wybór artykułów był dobrze dokonany i czy te celom towarzystwa odpowiadały. Bądź co bądź, ks. Szramek umieszczał też swoje własne prace i rozprawy, gdyż w zestawieniu pojedynczych tomów sam sobie był miarodajnym”.

Wszyscy, którzy wydawali jakiegokolwiek czasopisma naukowe doskonale znają opisywane tu sytuacje. To ból każdego wydawcy. A jednak pozostał zbiór, który do dziś jest zasobem źródłowym wszelkich prac o inteligencji dwudziestolecia międzywojennego. A bez „Roczników”, jaki kształt miałaby wówczas praca Zdzisława Hierowskiego? ■



SEZON

Teraz sezon jest zimowy
 Śpię na mrozie
 Czas też śpi
 Kiedy kurz opadnie nowy
 Stary wiatr zatrzaśnie drzwi

Drzwi do Słowa
 Drzwi do głowy
 Gdzie wspomnienia ciągle drżą
 Teraz sezon jest zimowy
 Nie wie nikt, co będzie po

Co pomiędzy jest słowami?
 Jak uwiera tamten wiersz?
 Zobacz, poczuj, szukaj drogi
 Jak odczytać – dobrze wiesz

Teraz sezon jest zimowy
 Mróz podpalił dawny czas
 Kiedy kurz opadnie nowy
 Nie wiem, czy odnajdę nas

ŻEBY

przebaczyłem sobie siebie
 tylko tak można
 wytrzymać próbę czasu
 odebrać przeszłości jej milczenie
 i nadać sens przyszłym nocom

z dumą mogę spojrzeć
 w potłuczone lustro
 i twoje oczy
 zarówno

(struktura niemożliwego
 niczym się nie różni
 od zwykłej wiary w siebie)

dawne zwątpienia
 przebrały się w nowy strój
 albo są
 na bezterminowym zwolnieniu
 niecierpliwie czekają na swój czas

ciekawe czyja nadzieja na przetrwanie
 okaże się silniejsza

PODRÓŻ

weekendowe pociągi miłości
 pełne pielgrzymów
 zawsze są pośpieszne

smutni pasażerowie
 uśmiechają się niepewnie
 i przymierzają gesty
 znane od lat

weekendowe pociągi miłości
 starają się dogonić
 stracony czas

tętno jak tętent
 i tęsknota
 nadają rytm wyprawom
 w nieznane

weekendowe pociągi pełne nadziei
 że tym razem dotrą
 do właściwej stacji

choć szanse osiągnięcia celu
 są równe
 ryzyku jego osiągnięcia

weekendowe pociągi miłości
 wciąż takie same
 za opóźnienia
 nikt
 nie przeprosza

TEN WIECZÓR

ten wieczór
 kiedy w żyłach
 kofeina z nikotyną
 walczą o palmę pierwszeństwa
 a zawroty głowy przypominają
 że być może tylko jej
 nie straciłem bez reszty

ten wieczór
 kiedy ściany zimne
 jak zapamiętane słowa
 skraplają urywany oddech

ten wieczór
 kiedy twoja nieobecność
 powoli
 nieuchronnie
 staje się punktem odniesienia
 do wszystkiego

GDZIEŚ

mieszka ze sobą
 coraz częściej

coraz dalej
 od bóg wie czego
 coraz bardziej bóg wie gdzie

przestał się już dziwić
 że nikt nie wcisnął czerwonego guzika
 a syreny
 tylko w bajkach

nie szuka się przecież
 niezaginionych
 - o zagubionych
 nie wspomina się nawet w żartach

choć żarty i tak dawno przestały być
 śmieszne

czas poszedł po niego
 i nie wrócił

pewnie go znalazł



rys. Agata Gronuda

PÓŁ

na pół gwizdka, na pół domu
po omacku

po kryjomu, na pół kroku
w stronę żadną

w zawieszeniu, bez półtonów
satisfakcji

gorzkim śmiechem, złego roku
finisz marny

w pół do słowa, na pół nocy
krzykiem sennym

na pół ciszy, pół oddechu
czas bezradny

SPACER

to już nie ten sam spacer
choć noc taka sama
jak wtedy
gdy babie lato opłatało twarz
jakby chciało powstrzymać
przed nieostrożnym słowem
krokiem za dalekim

szepty szelesty
już nie te same
znikają w szarej godzinie
nadrannej kapitulacji

pusta ławka
niemy świadek tamtej rozmowy
dziś niewygodna
jak moje dla ciebie
wiersze

Hejnał, fundowany miastu raz na „zawsze”, powinien z czegoś wynikać, czemuś służyć, mieć wartość muzyczną i – przede wszystkim – ideową. Ale hejnał to nie tylko muzyka. To symbol, wyrażony językiem dźwięków.

Coraz więcej śląskich miast posiada już swoje hejnały. Nie ze względu na modę, ale z potrzeby. Warto więc spojrzeć na całe zagadnienie z szerszej perspektywy. Może na początek przykład warszawski, bo tam – trwające kilkanaście lat – starania obywateli zakończyły się sukcesem. Po nieudanym konkursie i po wielu dalszych perypetiach, hejnał Warszawy słyszymy od roku 2008. Podstawowe znaczenie ma symbolika tego utworu.

Hejnał jest grany na trąbce z Zamku Królewskiego codziennie o 11.15, bo o tej godzinie zatrzymał się zegar na Zamku, zbombardowanym 17 września 1939. Kompozytor połączył motywy *Warszawianki* i *Marszu Mokotowa*, wyrażając w ten symboliczny sposób patriotyczne treści, związane z ważnymi dla stolicy utworami. Przesłanie hejnału jest zawsze wyjaśniane turystom przez przewodników. Hejnał stał się więc bezsłownym nośnikiem idei, zawartych w tekstach piosenek z różnych powstań. Grany jest trzykrotnie: na trzy strony świata. W stronę Rosji się nie gra... (żart, Wieża Zegarowa ma tylko trzy okna). Instrument solowy symbolizuje osamotnienie Warszawy w trudnych chwilach.

Samotna trąbka w Krakowie niczego nie symbolizuje; grała tam „zawsze”. Symbolika hejnału mariackiego tkwi w sposobie grania, w kontynuowaniu hejnału po znaczącej, owianej legendą przerwie. Hejnał krakowski gra się na żywo na cztery strony świata. Dla króla – w kierunku Wawelu, dla turystów na Rynek Główny, potem ku Bramie Floriańskiej, a na końcu – dla kupców – w stronę Małego Rynku. Również samorządowe województwa dorabiają się powoli własnych fanfar. Pierwszą, autorstwa znanego bydgoszczanina, zatwierdził sejmik województwa kujawsko-pomorskiego w roku 2007.

Komponowanie hejnału

Do napisania tego artykułu zainspirował mnie najnowszy konkurs na miejski hejnał, ogłoszony przez Siemianowice Śląskie w związku z obchodami 90-lecia nadania praw miejskich. Jak czytamy w ogłoszeniu: *Zamiarem pomysłodawców i organizatorów konkursu jest stworzenie identyfikatora muzycznego Siemianowic Śląskich, który będzie eksponowany jako hejnał (sygnał) miasta i będzie emitowany codziennie z wieży siemianowickiego Ratusza od dnia dziewięćdziesiątej rocznicy nadania praw miejskich, a więc od 23 czerwca 2022. Organizatorzy nie narzucają żadnych ograniczeń. Zakładają, że kompozytorzy wiedzą, jak się*

Hejnał to nie muzyka, to idea!

ANDRZEJ JARCZEWSKI

tworzy takie dzieła. Określają tylko cel: to ma być „muzyczny identyfikator Siemianowic Śląskich”.

Nie zamierzam tu niczego podpowiadać uczestnikom tego konkursu. Wiele hejnałów na świecie to utwory proste, toporne, wręcz niezdarne. Niektóre najstarsze, jak hejnał mariacki, mają w sobie zaledwie trzy dźwięki (plus dwa w oktawach). Akurat ten hejnał jest wyjątkowo piękny jako utwór muzyczny, ale ma w sobie właśnie te trzy dźwięki jako pamiątkę po średniowiecznych instrumentach dętych o skali naturalnej. Siłą hejnałów nie jest doskonałość muzyczna, ale idea lokalna i tradycja. Oczywiście – o tę doskonałość też trzeba się starać. Tak jak i my powinniśmy zawsze pięknie mówić. Ale mówić wtedy, gdy mamy coś do powiedzenia!

Hejnał Mikołowa grany jest od roku 2018. Pewien trębacz starał się o to przez 15 lat, aż w końcu został burmistrzem i sam ufundował nie tylko konkurs z nagrodą, ale także sprzęt odtwarzający, z którego miasto korzysta cztery razy dziennie. Sam utwór muzyczny – poza wartościami artystycznymi – nie wyraża niczego. Ale zrodziła się legenda, akurat prawdziwa, która może przetrwać wieki. Nie tylko sama kompozycja na to zasługuje, ale jest tam idea dodana: w dobrej sprawie warto się starać nawet 15 lat! Tak rodzi się nowa tradycja.

Sceptycznie o konkursach

Również w Gliwicach próbowano stworzyć muzyczną wizytówkę. Tam w nieformalnym konkursie najlepiej wypadło dzieło dawnego kompozytora niemieckiego (w tym kontekście nie wymieniam nazwisk). Cóż, szanowałbym ten wybór, gdyby ów utwór stał się hejnałem sto, dwieście lat temu. Niemcy władali Gliwicami przez dwa wieki. Mieli na to czas, ale nie nadali miastu hejnału, więc teraz taki wybór byłby niestosowny. Propozycja nie przeszła.

Demokratycznym obyczajem – tego rodzaju dzieła wyłania się w drodze konkursu, ale to nie jedyna droga i nie zawsze najlepsza. Jeżeli nagroda jest wysoka – na konkurs może napłynąć bardzo wiele prac, bo to jest okazja dla wszystkich studentów kompozycji na całym świecie, a sprawny improwizator potrafi co minutę prezentować zupełnie nowy utwór. To bardzo – dla trębacza, zwłaszcza jazzowego – łatwe. Wystarczy nagrać i przepuścić przez odpowiednie oprogramowanie: 60 hejnałów na godzinę!

Komisja konkursowa wyłania zwycięzcę i na ogół – spośród równorzędnych propozycji – wybiera się tę, która uzyskała pół punktu więcej niż kilka innych. W dodatku kompozytorzy nie za bardzo mogą nawiązywać do własnych wcześniejszych, znanych utworów, bo to by ich zdekonspirowało i utrudniło sędziom zachowanie bezstronności. A jak tu nawiązać do tradycji utworem nieznanym?

Muzycy bez trudu potrafią ocenić walory estetyczne dzieła, ale zawartość ideowa może być najzupełniej przypadkowa lub zerowa. Tymczasem muzyka nie jest dziedziną demokratyczną, lecz – na co zwracał uwagę Jerzy Waldorff – arystokratyczną. Ocena punktowa może przynieść dobre wyniki tylko wtedy, gdy porównujemy różne opracowania idei lokalnych, regionalnych lub ogólnoludzkich.

Ale jakis wymiar lokalności wydaje się – gdy mówimy o identyfikatorze – nie do pominięcia. I tak np. w Łodzi hejnałem nie mogło być nic innego, jak opracowanie „Prząśniczki”, a w Cieszynie – „Helokania”. Częstochowa skorzystała z kompozycji częstochowianina, a Siemianowice? Zobaczmy, usłyszymy.

Hymny narodowe

Najcenniejszym „muzycznym identyfikatorem” dla każdego narodu jest hymn państwowy. I to nie dlatego, że sam w sobie jest arcydziełem, choć tak często bywa, ale dlatego, że hymn towarzyszy najważniejszemu wydarzeniu w życiu narodu (rozumianego demokratycznie, a nie etnicznie, bo wiele hymnów ma różne wersje językowe). Dziś do takich „najważniejszych” chwil należą nie tylko święta narodowe i rocznice, ale np. wręczanie złotych medali na olimpiadach. Również piłkarskie mecze międzypaństwowe i inne imprezy sportowe są poprzedzane lub kończone hymnami, co zapewnia im nadzwyczajną popularność.

Ale z hymnami sprawa nieprosta. Tu nie wystarczy konkurs. Hymn sam wyrasta na narodowej glebie, nawet gdy jest nadany przez jakiegoś władcę. Jeżeli dany utwór nie wyraża idei narodowej w melodii i w słowach – szybko zostanie odrzucony, co historia odnotowała wielokrotnie. Zresztą nie wszystkie hymny mają słowa. Jeżeli hiszpańscy piłkarze nie śpiewają przed meczem, to nie znaczy, że lekceważą swój hymn lub że nie znają słów. Po prostu w Hiszpanii do tej pory nie wybrano

tekstu, który mógłby zostać zaakceptowany przez ustawodawcę, bo hymn państwowy wszędzie wymaga ustawy, jeśli nie konstytucji. Podobnie – przed meczem milczą nasi ulubieni piłkarzcy partnerzy (choć nie przeciwnicy) z San Marino.

Jeszcze ciekawiej mają Włosi, których hymn ma wprawdzie tekst, ale na początku jest długa przygrywka, a w środku jeszcze wstawka instrumentalna. Gdy Włosi – naród śpiewający przepięknie – wykonują swój hymn *a capella*, muszą tę wstawkę zanucić, co daje fantastyczne efekty... wizualne, zwłaszcza gdy udają trębaczy, a to Włosi opanowali nawet na imprezach w winnicach.

Z kolei polski hymn narodowy nie ma przygrywki, co sprawia, że zwykle zaczynamy za wysoko i brakuje nam głosu, gdy trzeba zaśpiewać trudne „za twoim przewodem”. Na przykładzie naszego hymnu warto zauważyć, że autor słów nie był wybitnym poetą, choć nazywał się Wybicki, a kompozytora w ogóle nie znamy. To też jest typowe dla wielu innych hymnów. Nie liczą się twórcy, ale... odtwórcy. Jeżeli lud sam daną piosenkę śpiewa przy różnych okazjach, jeżeli tekst nadaje się i na koronacje, i na pogrzeby – powoli pieśń staje się własnością i świętością narodu. A gdy przyjdzie moment wyboru, wygrywa dzieło, które już wcześniej zyskało popularność i – co w tym wypadku ważne – szacunek.

Hymn Ukrainy

O hymnach państwowych i wspólnotowych można opowiadać długie historie. Henryk Martenka napisał na ten temat grubą księgę, prezentującą 195 aktualnych hymnów. Ale w roku 2022 najczęściej słyszymy hymn ukraiński. Warto więc przyjrzeć się temu utworowi i od strony tekstowej, i od muzycznej, bo wcześniej znaleźliśmy – właśnie dzięki olimpiadom – tylko melodię. W dodatku ta znajomość nie przewyższała naszej muzycznej pamięci o hymnie Norwegii, czy Brazylii. Ot, jeden z wielu przerywników w sportowych emocjach.

Zupełnie inaczej odbieramy ten hymn po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Gdy widzimy ludzi, którzy na pierwszy dźwięk pieśni wstają z miejsc, gdy kładą rękę na sercu i śpiewają uroczystość z podniesioną głową, aż ciarki przechodzą po plecach. Zastanawiamy się wtedy, co sprawia, że Ukraińcy są tak dumni, co w tym hymnie jest takiego, że nawet w podziemnych bunkrów śpiewają go małe dzieci, a starsi płaczą, gdy to słyszą.

Ano jest tam to wszystko, co najważniejsze w dziełach tego rodzaju. Po pierwsze: wielka idea, po drugie: optymizm, po trzecie: nadzwyczajnie piękno muzyczne. Aktualny tekst, o którym się jeszcze opowie, jest bardzo krótki. Przytoczę go w tłumaczeniu polskim, które od pierwszych słów zabrmi znajomo.

Nie umarła jeszcze Ukrainy ni chwala, ni wolność,
Jeszcze do nas, bracia młodzi, uśmiechnie się los.
Znikną nasi wrogowie jak rosa na słońcu,
Zapanujemy, bracia, w naszym kraju.
Duszę i ciało poświęcimy dla naszej wolności,
Pokażemy, bracia, żeśmy z kozackiego rodu.

Przypomnijmy, że autorska wersja „Mazurka Dąbrowskiego” (1797) była zwykłą żołnierską piosenką, zaczynającą się od słów „Jeszcze Polska nie umarła...”, śpiewaną początkowo tylko jako „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech”. Po wojnach napoleońskich, a zwłaszcza po Kongresie Wiedeńskim (1815), gdy nad wieloma narodami zapanowały wielkie mocarstwa, nasz mazurek – z tekstem tłumaczonym na wiele języków – zaczął zdobywać szeroką, ponadnarodową popularność. Zdecydowały chyba pierwsze słowa, choć również melodia, bliska bałkańskim i ogólnosłowiańskim archetypom, porywała niejedno serce. Znajduje to odbicie w hymnach różnych narodów.

Do hymnu ukraińskiego te pierwsze słowa dotarły za pośrednictwem serbskim w powstańczym (w Polsce) roku 1863. Autorem tekstu jest Pawło Czubyński – bardzo zasłużony dla Ukrainy uczyony, który jednak nie opublikował pod własnym nazwiskiem żadnego innego wiersza. Tak jak w Polsce i w wielu innych krajach, autorem hymnu nie jest wielki, uznany poeta, ale twórca, który znalazł najlepsze słowa, by wyrazić narodowego ducha.

A jakie to są słowa? Zwróćmy uwagę, że w tym krótkim tekście aż trzy razy pojawia się wyraz ‘bracia’, a dwukrotnie – ‘wolność’. To właśnie są słowa-klucze ukraińskiego patriotyzmu, bez których zapewne nie nadano by temu tekstowi aż najwyższej rangi. A na końcu mamy wzmiankę o ‘kozackim rodzie’. Polacy akurat Kozaków nie wspominają najlepiej, zwłaszcza Kozaków rosyjskich (bo byli ukraińscy i rosyjscy), którzy z rozkazu carskich dowódców tłumili polskie zrywy niepodległościowe i różne demonstracje patriotyczne. Ale dla Ukraińców – Kozacy to swego rodzaju arystokracja wolności, owiana dawnymi legendami o wyprawach na tureckie wybrzeże (o kulturze ukraińskiej pisał miłośnik obszernie w „Śląsku” nr 3/2019 w wywiadzie, którego udzielił nam prezes Towarzystwa Rozwijania Kontaktów Polsko-Ukraińskich Kontakt, Bogusław Łęsko; tekst dostępny na stronie slaskgtl.pl).

Zmiany i niezmienności

Hymn różnych narodów mają pewną wspólną cechę. Otóż twórcy coś napisali, a później politycy zauważali, że nie wszystko tam odpowiada ich aktualnym poglądom. I tak po II wojnie światowej Niemcy usunęli całą pierwszą zwrotkę,

zaczynającą się od znieprawdzonego przez świat, skompromitowanego przez nazistów słów *Deutschland, Deutschland über alles*. Ale melodia, skomponowana przez Josepha Haydna okazała się nie do zastąpienia. Dziś oficjalnie śpiewa się tylko trzecią zwrotkę, zaczynającą się od – charakteryzującej Niemców triady – *Jedność i prawo, i wolność*. Inna sprawa, że pierwsza zwrotka wciąż tam działa podprogowo.

Różne przygody spotkały też hymn Rosji po upadku caratu. Najpierw w ZSRR śpiewano Międzynarodówkę, a w środku wojny Stalin stwierdził, że on sam musi trafić do hymnu, więc usłużył poeta spreparował odpowiedni tekst. Ale do napisania muzyki wezwano największe tuzy: Dymitra Szostakowicza, Arama Chaczaturiana i Sergiusza Prokofiewa. Ich nowe utwory nie zadowolili satrapy, który ostatecznie wybrał znaną od kilku już lat melodię Aleksandra Aleksandrowa. Później dokonywano dalszych zmian, a nawet zmieniono cały hymn, ale ostatecznie wróciła sowiecka wersja Aleksandrowa, której – mimo braku sympatii – nie można odmówić muzycznej doskonałości w tej kategorii, w jakiej występuje.

Polski hymn też został skorygowany w pierwszej linijce. Śpiewamy, że Polska „nie zginęła”, bo „nie umarła” jakoś źle brzmi. A pierwsze słowa są dla hymnu decydujące. Jeżeli tam jest coś kontrowersyjnego, ludzie mogą nie włączyć się do pieśni. Czesi swą pacyfistyczną ideologię zaczynają hymnem od słów *Gdzie jest mój dom*. Tam nie ma żadnej wzmianki o „umieraniu” ani o „odbieraniu szablą”. Każdy naród ma swój kod kulturowy, którym hymn musi się zaczynać. W przeciwnym razie pieśń nie stanie się hymnem. Słowa „nie umarła” oddziaływały jednak na hymny innych narodów przez cały wiek XIX.

Ukraińcy również długo medytowali nad swoim hymnem. Melodia, której twórcą jest Mychajło Werbycki, okazała się nie do podważenia. Po prostu zawiera w sobie wszystko to, co w muzyce może się kojarzyć z Ukrainą. Nie naśladuje żadnej melodii ludowej, ale jest niejako kondensatem ukraińskości w pieśni. Tego nie dało się zmienić, choć tekst budził sporo wątpliwości.

Ostatecznie w roku 2003 dokonano najmniejszej w historii hymnów świata korekty w pierwszej linijce tekstu. Zmieniono tylko jedną literę! Wyraz ‘Ukraina’ zmieniono na ‘Ukrainy’. Proszę spojrzeć na cytowany wyżej tekst. Ta drobna poprawka zmienia wymowę całego wiersza. Były też dalsze zwrotki, ale się zdezaktualizowały. Może po tej strasznej wojnie coś ktoś dopisze, tylko melodia nie zmienia się już nigdy. Bo jest na to... za piękna!

Wspólnota Judymów

JAROSŁAW KAPSA

Wbrew współczesnemu przesądowi o „odwiecznej” rywalizacji Częstochowy z miastami Zagłębia Dąbrowskiego, „Kurier sosnowiecki” w październiku 1902 r. z entuzjazmem powitał utworzenie w mieście z Jasną Górą samodzielnej agendy Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego.

„Dnia 30 sierpnia 1902 r. pan Generał Gubernator zatwierdził przedstawioną przez Radę Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego Instrukcję dla Oddziału w Częstochowie. Treść instrukcji w najogólniej-

szych rysach przedstawia się, jak następuje: Oddział tworzy się dla trzech powiatów; częstochowskiego, nowo-radomskiego i będzińskiego. 1) Zadaniem jego będzie: prowadzenie badań i rozpowszechnianie wiadomości z dziedziny higieny, oraz stosowanie zasad jej w praktyce. 2) Do tego celu według art. 3-go służyć mają: a) prelekcje i dyskusja na posiedzeniach oddziału i b) zakładanie pracowni, muzeów i wystaw higienicznych. (...) Od lat kilkudziesięciu nie powstało chyba ani jedno stowarzyszenie, któreby miało dla ogółu donioślejsze

znaczenie od Towarzystwa Higienicznego. Narodziny tego towarzystwa witaliśmy, jako zapowiedź nowej ery w rozwoju społecznej samowiedzy i samopomocy. Lat kilka chciwie chwytaliśmy echa toczących się w Warszawie rozpraw z dziedziny higieny i zazdrościliśmy warszawiakom. Aż oto i nam się zdaje uśmiechać lepsza przyszłość... (...). Jeśli wśród członków przeważać będą mieszkańcy Sosnowca, Dąbrowy i Będzina, to nazwa „Częstochowski Oddział” pozostać może tylko firmą, która nie przeszkodzi mieszkańcom zagłębia znaczną część działalności Oddziału przenieść do miejsca, przez nich wybranego. Instrukcja nie zabrania nawet, aby zebrania Zarządu lub nawet Ogólne Zgromadzenia odbywały się raz w Sosnowcu, lub Dąbrowie, a drugi raz w Częstochowie, albo Nowo-Radomsku”.

Rok wcześniej z podobnym entuzjazmem witano wspólną inicjatywę tworzenia Częstochowskiego Towarzystwa Lekarskie. Inicjator – dr Władysław Biegański – nie tylko cieszył się w całej Kongresówce autorytetem mędrca sprawiedliwego, ale także osobiście gwarantował, że głos prowincjonalnych lekarzy z Zagłębia będzie z powagą w całym kraju wysłuchany. Rywalizacja była na dalszym tle wobec wielości wspólnych problemów. Gubernia piotrkowska stała się na przełomie XIX/XX w. jednym z czterech największych okręgów przemysłowych Imperium Rosyjskiego (obok petersburskiego, moskiewskiego i warszawskiego), tu dokonywał się „amerykański sen” zmieniający w ciągu kilku pokoleń małe osady i miasteczka w przemysłowe molochy. Łódź rosła na bawełnie, Zagłębie na węglu i stali, Częstochowa na różnorodności produktów. Podobny był wyścig ku nowoczesności i miejskiej kulturze, podobnie nawarstwiały się problemy społeczne, będące pochodną zbyt szybkiego wzrostu. Miasta tworzone były przez migrację, napływał ze wsi przyszedły mieszczański-robotnik, napływowe były także kulturotwórcze elity.

Podobny był życiorys, a wraz z nim doświadczenie, dwóch wielkich lekarzy: częstochowskiego Władysława Biegańskiego i sosnowieckiego Józefa Czajkowskiego. Urodzeni w tym samym roku 1857, Biegański w podkaliszkim Grabowie, Czajkowski w mazowieckiej Mławie, obaj kończyli studia na rosyjskich uczelniach i zdobywali doświadczenie na rosyjskiej prowincji. Biegański osiadł w Częstochowie w 1883 r., przyjął posadę lekarza zakładowego na kolei,

fot. Paweł „pbm” Szubert



Popiersie Władysława Biegańskiego przy dworcu kolejowym w Częstochowie

potem w zakładach włókienniczych, ale największą pasją zawodową stała się dla niego praca w szpitalu. Tam, według wspomnień żony Mieczysławy, mógł „dać ujęcie swemu kultowi dla nauki, mógł ten kult w sobie podtrzymywać i szerzyć go wśród innych (...). Postanowił tu – w Częstochowie – która w owym czasie należała do typowych (...) Obrzydłówków, zięjących martwością i nudą prowincjonalną, stworzyć środowisko, gdzieby nauka żyła i rozwijała się mogła”. Czajkowski w 1891 r. stał się lekarzem zakładowym w sosnowieckich kopalniach węgla, doprowadził do powstania (1895 r.) szpitala górniczego, kierując tą placówką utworzył własną stację bakteriologiczno-serologiczną, zdobywając uznanie naukowymi odkryciami, m.in. odkryciem dwoinki płonicy, wyprzedzając w tym przodującą w świecie bakteriologię niemiecką. Biegański inicjował i prezesował wspólnemu Towarzystwu Lekarskiemu, Czajkowski przejął po nim schedę prezesując, oddzielonemu Towarzystwu Lekarzy Zagłębia. Obaj też znani byli z zaangażowania w sprawy społeczno-kulturalne swych miast. Biegańskiemu Częstochowa zawdzięcza powstanie biblioteki publicznej, Czajkowski stworzył Dom Ludowy; Biegański wspierał powstanie pierwszego polskiego gimnazjum, Czajkowski – szkoły handlowej. Podobna idea, podobna odpowiedzialność, przekonanie o misji lekarza prowincjonalnego, wierzącego, że stan zdrowia społeczeństwa zależy od zmian świadomości, od stopnia upowszechnienia wiedzy i przełamania martwoty społecznej.

Obaj, Biegański i Czajkowski, a w ślad za nimi inni lekarze z Zagłębia i Częstochowy, wsparli inicjatywę łódzkiego doktora Seweryna Sterlinga, wydawania pisma „Czasopismo lekarskie” upowszechniającego prowincjonalne doświadczenia. Podpisali się ochoczo pod deklaracją, otwierającą pierwszy numer w styczniu 1899 r.:

„Jesteśmy obecnie świadkami pewnych zmian zasadniczych, jakim ulega stanowisko lekarza, zakres jego wpływu w społeczeństwie, zakres jego obowiązków zawodowych. Do niedawna bowiem sprawa pojedynczego chorego osobnika, sprawa zdrowia danej jednostki, stanowiły granicę horyzontu zadań zawodowych lekarza; była to działalność natury prywatnej przeważnie.

Ostatnie dziesiątki lat wyznaczają lekarzowi coraz szerzej zakresłony udział w zbiorowym życiu społeczeństwa. Dawniej życie publiczne, ustrój państwowy, bieg stosunków międzyludzkich – mało korzystały ze współdziałania lekarza... (...). Zupełnie inne stanowisko zajmuje lekarz dziś, bo jest niezbędnym już funkcjonariuszem społecznym, a wiedza jego wywiera wpływ znaczny na kształtowanie się społeczeństw dziesiętnego wieku (...). Postęp nauki wysunął na plan pierwsze: zapobieganie chorobom i higienę. Gruntem rozwoju chorób są nieodpowiednie warunki mieszkaniowe, żywieniowe, warunki pracy, wyczerpanie itd. (...). Przepisy higieny osobniczej, makro-

biotyka lat ubiegłych, ustępują miejsca higienie publicznej, a lekarz wolno-praktykujący – lekarzowi gminnemu, lekarzowi związków dobroczynnych, lekarzowi fabrycznemu, kolejowemu, szkolnemu i t.p. Upaństwowienie (...) opieki nad zdrowiem, upaństwowienie opieki nad chorymi – oto rys zasadniczy tej zmiany (...).”

Słowa z końca XIX w. o upaństwowieniu inaczej brzmiały niż dziś. Wynikały z przyjętej idei rozszerzenia odpowiedzialności społecznej, wskazanej m.in. na wiedeńskim kongresie higienistów w 1884 r.: „Życie każdej jednostki przedstawia pewną wartość. (...) Jednostka jakimikolwiek by środkami rozporządzać mogła dla podtrzymania własnego zdrowia, pozostanie zawsze bezsilną wobec najróżnorodniejszych szkodliwości nas otaczających. Niezbędną jest wspólność działania, a do spełnienia wielkiego zadania tego przysługuje wspomaganie przez demografię higieną, która opierając się na danych z nauk poczerpniętych, nakreśla drogi dla państwa i gminy do osiągnięcia celów praktycznych w całym wielkim obszarze sztuki pielęgnowania zdrowia społecznego”.

Zderzyć tę ideę należy, z obrazem Sosnowca przekazany nam piórem Żeromskiego w jego „Ludziach bezdomnych”; obrazem nędznych i ohydnych domów robotniczych, gdzie w zimnej, zawilgoconej izbie, pomieszkowało kilkanaście wygłodzonych osób. Nie był inny obraz Częstochowy, skoro „Kurier Sosnowiecki” informując w czerwcu 1902 r. o mianowaniu nowego prezydenta zauważył: „P. Głazek znany jest jako zdolny i energiczny administrator, tu zaś będzie miał pole do zupełnego popisu. Chyba niema miasta w Królestwie, któreby tak było zaniedbane jak Częstochowa; czego tu nie potrzeba? Nowy prezydent będzie miał ciężkie zadanie do spełnienia”. To nie była tylko cecha prowincjonalnych ośrodków rosnących zbyt szybko, dzięki przemysłowi. Bolesław Prus w swych „Kronikach tygodniowych” z bolesną kpinką prezentował Warszawę: „Kraj, w którym obecnie znajduję się, nie ma jeszcze ustalonej nazwy i dlatego jej nie wymieniam. Największym jego miastem jest Warszawa, zbudowana na dużym pagórku śmieci, skutkiem czego panują tu złe zapachy, niezdrowe powietrze i duża śmiertelność. W ostatnich czasach, w celu poprawienia warunków higienicznych miasta, wzięto się do budowy kanalizacji. Dzieło to nie jest ukończony i istnieje dopiero kanał główny, nazywający się Wisła, skąd mieszkańcy czerpią wodę do picia. Zabudowanie Warszawy na pagórku śmieci pochodzi stąd, że ludność tutejsza ma tak szlachetne instynkta, iż z największym wstrętem unika zajmowania się rzeczami brzydkimi (...). Z tego samego powodu Warszawa na kilka tysięcy wielkich domów posiada tylko dwa czyste miejsca ustępowe, ogół zaś mieszkańców swoje potrzeby zaspakaja, gdzie się da i jak się da.”/, „Kurier Warszawski” nr 48 z 17 lutego 1884 r./

Jeśli warunki życia decydująco wpływają na stan zdrowia społeczeństwa, na wysoki poziom śmiertelności, to rola lekarza nie może ograniczać się do niesienia pomocy jednostce. Nowy model higieny nie mógł pozostać formą doradztwa jak żyć zdrowo, kierowanego do zainteresowanych indywidualności. Musiał stać się rodzajem działań dotyczących różnych sfer życia społecznego. Przypomnieć tu można słowa przypisywane niemieckiemu twórcy idei higienicznej, Rudolfowi Virchowowi: „Medycyna to nauka społeczna, a polityka to nic innego jak medycyna na dużą skalę. Medycyna, jako nauka społeczna, jako nauka o człowieku, ma obowiązek wskazywać problemy i próbować ich teoretycznego rozwiązania”. Lekarz w Królestwie, chcąc wypełnić swoją misję, musiał stać się politykiem. Nie mógł tylko diagnozować choroby i wskazywać problemy, zmuszony był podejmować działania na rzecz ich rozwiązania. Słowo „higiena” przestało dotyczyć tylko zachowań jednostek, stało się zwrotem oznaczającym nowy model polityki społecznej.

Biegański w Częstochowie, Czajkowski w Sosnowcu... W nowym, tworzącym się dopiero ośrodku przemysłowym, w Zawierciu, od 1894 r. apostołem higieny społecznej stał się Józef Kalasanty Brzeziński, lekarz zakładowy fabryki Towarzystwa Akcyjnego „Zawiercie”. Wnosił on rewolucyjną, jak na ówczesne czasy ideę, że odpowiedzialność lekarza zakładowego nie kończy się na pomocy ambulatoryjnej i ratowaniu ofiar wypadków przy pracy. Lekarz musi być świadom, w jakich warunkach mieszkają robotnicy, czym się odżywiają, czy ich dzieci mają możliwości rozwoju fizycznego i psychicznego, czy mają dostęp do czystej wody, czystego powietrza, zieleni... Głos lekarzy byłby tylko krzykiem rozpaczy, gdyby nie trafił do głów i serc elit lokalnych. Konsekwencja Brzezińskiego przyniosła efekt, właściciele Tow. Akc. „Zawiercie” – Ginzbergowie zdecydowali się wybudować zgodnie z wskazaniami higienicznymi osiedle mieszkaniowe dla robotników, a w nim – prócz 80 budynków mieszkalnych – szpital na 30 miejsc, dom lekarza z gabinetem przyjęć, pralnię, łaźnię, dom ludowy, piekarnię, szkołę, dwa kościoły. Nie brakło w tym zespole mieszkalnym zieleni, bliskie źródła w Kromoławie pozwoliły zapastryczyć w czystą wodę.

W Częstochowie tak znacznych efektów nie uzyskano, ruch higienistyczny jednakże narzucił model rozwojowy miastu. Biegański ograniczył się do inspiracji i patronatu, większe znaczenie przywiązując do doskonalenia zawodowego miejscowych lekarzy. Inicjatywę przejęli młodzi, jednając sobie sojuszników wśród lokalnej inteligencji. Doktor Stanisław Nowak wspominał, że na zebraniu inauguracyjnym oddziału Towarzystwa Higienicznego „było obecnych kilkadziesiąt osób: lekarze, inżynierowie, adwokaci, przemysłowcy etc; do zarządu zostali powołani dr Wrześniowski, dr Wł. Sękowski, dr Marczewski, dr Batawia, inż.



Dom przy alei Wolności w Częstochowie, w którym mieszkał i pracował doktor Biegański oraz pamiątkowa tablica umieszczona na tym budynku

Kozłowski, inż. Gryżewski”. Znaczącym było poparcie ze strony prezydenta miasta Głazka. To, między innymi, zdecydowało, że warszawskie centrum ruchu postanowiło o budowie pod Jasną Górą pierwszego w Kongresówce muzeum higieny. Nowak wspominał: „Inicjatorem Muzeum higienicznego był dr Kazimierz Chelchowski z Warszawy, ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, członek Rady Warsz. Tow. Higienicznego, człowiek nieposzlakowanej prawości charakteru i niesłychanej skromności, ożywiony wielką miłością do ludu wiejskiego, szlachetny filantrop i działacz społeczny. Marzeniem Chelchowskiego było, by każdy pątnik w czasie swego pobytu na Jasnej Górze, zwiędzał Muzeum i po powrocie do domu krzewił zasady higieny w swojej rodzinnej wiosce. W Muzeum miało znaleźć się wszystko, co miało łączność z higieną publiczną i osobistą: (...) Dr Chelchowski był niezmiernie poruszony, w Warszawie i w Częstochowie; do apelu stanęli higienicy z Warszawy, jak np. dr Józef Polak i dr Józef Tchórzniczy; otrzymano dużo ekspozycji po dawnych wystawach higienicznych w Warszawie, nieco okazów zakupiono, wiele otrzymano w darze, jednym słowem, po roku pracy, w pierwszych miesiącach 1905 r. Muzeum było już gotowe”.

Muzeum mieszczące się w domu przy ul. Wieluńskiej nie spełniało oczekiwań inicjatorów. W 1909 r. w Częstochowie odbyć się miała wielka wystawa przemysłu i rolnictwa, mająca ukazać rosnący potencjał gospodarki polskiej. W ramach tej wystawy zdecydowano o budowie nowego pawilonu muzeum higienicznego, uzupełnionego „wzorcowym” modelem zagrody wiejskiej. Pawilon w modnym secesyjnym stylu wybudowano kosztem 12,5 tys. rubli. W czasie wystawy, w dnia 19–20 września 1909 r., odbył się w nim II ogólnokrajowy zjazd higienistów, w gronie uczestniczących w nim 130 działaczy byli m.in.: z Warszawy dr Józef

Polak, dr Kazimierz Chelchowski, dr Józef Jaworski, dr Klemens Łazarewicz, dr Wacław Męczkowski, z Krakowa prof. Odo Bujwid, z Poznania dr Chłapowski, z Berlina Karol Rose, z Łodzi dr Seweryn Sterling. W dyskusji potwierdzono i rozwinięto postulaty prezentowane na łamach „Zdrowia” i „Czasopisma lekarskiego”:

- ◆ złe warunki sanitarne miast mogą ulec poprawie tylko po wprowadzeniu gospodarki obywatelskiej i instytucji samorządu
- ◆ w zarządach gospodarki obywatelskiej powinni uczestniczyć działacze Tow. Higienicznicy

- ◆ należy wprowadzać posady lekarzy miejskich, tam gdzie ich nie ma

- ◆ potrzebna instytucja finansowa udzielająca pożyczek na inwestycje prozdrowotne

- ◆ potrzeba tworzenia ochronek w każdym mieście, miasteczku, przy każdej fabryce, w każdej gminie wiejskiej; szkolenie personelu ochronek, tworzenie w nich sanitarnych warunków, przyjmowanie dzieci do 10 lat

- ◆ walka z alkoholizmem

- ◆ organizacja przyfabrycznych lecznic i szpitali

- ◆ upowszechnienie akcji Kropla Mleka

- ◆ zniesienie domów publicznych, rozwój lecznictwa chorych wenerycznie, zniesienie reglamentacji prostytucji.

Podstawowym postulatem stało się wprowadzenie samorządności miejskiej. Najważniejszą lekturą uczestników częstochowskiego zjazdu była opublikowana przez inicjatora ruchu higienistów, Józefa Polaka, praca „Wykład higieny miast z uwzględnieniem stanu zdrowotnego i potrzeb miast polskich”. Autor wskazywał główne zagrożenia, związane z rozwojem miast:

- ◆ zanieczyszczenia gruntu przez zwierzęta i przemysł

- ◆ zanieczyszczenia powietrza

- ◆ upośledzenie ilościowe i jakościowe w dostępie do żywności

- ◆ ustawiczne zetknięcie chorych i zdrowych

Wskazywał, że badania statystyczne prowadzone w Anglii i Niemczech zauważają związek spadku śmiertelności w dużych miastach z założeniem kanalizacji, poprawą zaopatrzenia w wodę i innymi inwestycjami sanitarnymi. Widoczne to było także w Warszawie, gdzie śmiertelność z 38,4 na 10 tys. mieszkańców w 1879 r. spadła do 21,8 w 1901 r., w tym śmiertelność na gruźlicę z 402 na 100 tys. w 1877 r. do 231 w 1905 r., a na dur brzuszny w tym okresie z 8,5 do 3 na 100 tys. mieszkańców. J. Polak jednak akcentuje, że ta poprawa dotyczy jedynie Warszawy. Obszerny opis sytuacji sanitarnej innych miast Królestwa nie pozostawia wątpliwości, jak wielkim wyzwaniem jest higiena miast.

Podstawowym warunkiem dla poprawy zdrowotności miast, zdaniem J. Polaka, jest ich właściwe planowanie. Wykorzystywać warto w planowaniu warunki przyrodzone: położenie, klimat, (najkorzystniejsze warunki zdaniem autora: położenie na pagórkach w pobliżu rzeki, przy koniecznym zabezpieczeniu przed powodzią i zanieczyszczeniem rzeki). Zasady planowania wskazywane na kongresach higienistów dotyczyły: komunikacji, budynków, zdrowia, estetyki. Tereny rozbudowy powinny być otwarte, najwyżej z jednej strony odsłonięte od wiatru. Powierzchnia ich powinna być czysta od zanieczyszczeń, w fazie przygotowań należy przeciwdziałać wilgoci oraz chronić przed powodzią. Nie można czerpać wody pitnej z wód gruntowych, konieczne jest budowanie głębokich studni. Budowa domów może nastąpić dopiero po budowie kanalizacji i wodociągów, projekt powinien uwzględnić podłącza do sieci kanalizacyjnej. Istotne dla zdrowia znaczenie mają plantacje miejskie (ogrody, parki, skwery, aleje gęsto obsadzone roślinnością). Polak przywoływał słowa Ambrożego Tardieu z 1862 r. „wśród środków aseptycznych miejscowości nie masz większej wartości jak plantacje drzewne”. Tereny

zielone służą chemicznemu oczyszczaniu powietrza i dostarczaniu miejsc wypoczynku, zabawy, ćwiczeń fizycznych; zadrzewienie tworzy „płuca miejskie” i „dreny pionowe” odciągające wilgoć, zmniejszające zakurzenie, dające cień przed słońcem. Najpoważniejszym wyzwaniem zdrowotnym było zapewnienie uboższym mieszkańcom godziwych warunków mieszkaniowych. J. Polak uważał: „gmina, nie mając atrybucji krepowania ludności we własnych ich siedzibach, o ile mieszkańcy przez złe ich utrzymanie nie szkodzą otoczeniu, posiada wszakże obowiązek czuwania nad ogólnym ukształtowaniem sprawy mieszkań w jej obrębie oraz nad potrzebami odnośnie ludności ubogiej”. Nie tylko nadzór sanitarny spoczywa, zdaniem Polaka, na gminie, ale i starania o zapewnienia mieszkań ludności ubogiej.

Wykłady o higienie miast J. Polaka były obszernym programem, którego realizacja wiązała się z postulatem wprowadzenia samorządu miejskiego i powiększenia jego autonomii prawnej i finansowej. Jego zdaniem do zadań miast powinno należeć: dostarczanie wody, kanalizacja oczyszczanie miasta, oświetlenie, prowadzenie rzeźni i placów targowych, zakładów zdrowotnych (szpitali), pomocy społecznej, edukacyjnych, a także nadzór sanitarny, dezynfekcja, zapewnienie mieszkań ubogim, organizacja zbiorowej komunikacji pasażer-

skiej. „Gminy wielkie powinny uzyskać samodzielność gospodarczą, małe korzystać z pomocy instytucji państwa. Rozszerzenie do granic możliwości samodzielności samorządu miast, udzielanie im pomocy zamiast krepowania, spowoduje, że gminy cieszyć się będą wielką powagą i będą elementem poważnie odgrywającym rolę na rzecz postępu”. Brak samorządności i niedofinansowanie polityki miejskiej były, zdaniem Polaka, głównym powodem rosnących różnic cywilizacyjnych, uwidaczniających się kontrastem między Zagłębiem a sąsiednim, niemieckim, Górnym Śląskiem; Częstochową i Kaliszem a Poznaniem i Wrocławiem, Warszawą i Berlinem. Takich różnic między zaborem pruskim a rosyjskim, pisał Polak, 40 lat wcześniej nie było. Ale w początkach XX w., wydatki miejskie w Niemczech, w przeliczeniu na mieszkańca były dziesięciokrotnie wyższe niż w Kongresówce; o ich przeznaczeniu decydowali sami mieszkańcy, a nie wskazani przez cara gubernatorowie. Bez samorządności nie jest możliwe wprowadzenie podstawowych standardów higienicznych, decydujących o zdrowiu mieszkańców Polski.

Wykład o higienie miast daleko już odbiegał od wezwań lekarzy: Biegańskiego, Czajkowskiego, Brzezińskiego, Nowaka. Przedstawiona w „Czasopiśmie Lekarskim” idea medycyny społecznej i upaństwowienia ochrony zdrowia, była niewystar-

czającą. Lekarz, zgodnie ze swoją odpowiedzialnością zawodową, leczy choroby, w tym będące skutkiem złych warunków życia, ma obowiązek wskazać przyczyny owych chorób i podpowiedzieć rodzaj lekarstwa. Ale odpowiedzialność za stosowanie tego lekarstwa, za prowadzenie polityki społecznej poprawiającej stan zdrowotny populacji, spoczywa na ogóle, na wybranym przez lokalne społeczności samorządzie. Nie był to postulat utopijny. Takie obowiązki na samorządy miejskie nałożyło międzywojenne ustawodawstwo Niepodległej Rzeczypospolitej.

Dziś jest dalej z Częstochowy do Sosnowca, niż było 120 lat temu. W Sosnowcu, być może, nie wiedzą kim był Władysław Biegański, my nie znamy Józefa Czajkowskiego ani Józefa Brzezińskiego. Za leczenie płaci NFZ, lekarze mają swoje specjalności, inaczej widzi pacjenta kardiolog, inaczej onkolog. Władze miast, pod naciskiem dotujących rozwój instytucji europejskich, dostrzegają konieczność prowadzenia polityki klimatycznej; ale kto by sobie głowę zwracał związkiem między warunkami życia a kosztem leczenia wynikających z tego chorób. Jesteśmy już tak nowoczesni, że beztrudno możemy potłuc anachroniczne termometry. ■

(W cytatach zachowano oryginalną pisownię).



fol. Tomasz Białek

Jeden z głównych placów w Częstochowie, noszący imię Władysława Biegańskiego

Lekcję tę przerabiałem przed dwudziestu laty, kiedy żył Gosza Safronow, już wtedy zadamowiony w Katowicach od dwudziestu pięć lat. Ten znany malarz od niemal trzech lat spoczywa na katowickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Na ulicy Kochanowskiego prowadził galerię autorską. Można w niej było znaleźć śląskie pejzaże, widoki Kazimierza, barwne impresje praskich zaułków. Praga była miastem, które często odwiedzał. Z upodobaniem szukał w tym mieście dla siebie tematów. Safronow z urodzenia był moskwiczanielem. W Moskwie podczas studiów poznał dziewczynę z Polski, przyjechał z nią na Śląsk i tu się zakotwiczył.

Przed wielu laty w ramach partnerstwa diecezji Essen i katowickiej organizowaną wystawę białoruskiej grafiki w Zagłębiu Ruhry w Niemczech. Białoruś, jeszcze wtedy wolna od reżimu Łukaszenki, otwierała się na zachód. Trzynastu artystów białoruskich prezentowało wówczas swoją twórczość w Galerii „Fra Angelico” przy Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach. Zachował się katalog tego wydarzenia. W Niemczech byłem świadkiem niezwykle bogatego programu wydarzeń w tym Regionie poświęconych kulturze rosyjskiej. Około trzysta imprez – wystaw, koncertów, spotkań, projekcji i spektakli – wszystko w ciągu jednego tygodnia w różnych miastach tej przemysłowej aglomeracji. Niemców fascynuje egzotyka Rosji. Artysta białoruski prezentowany przeze mnie w Mülheim an der Ruhr był wówczas zwiastunem nowego Ładu. Mieszkańcy tamtego regionu Niemiec nie mają uprzedzeń do Rosjan. Z końcem drugiej wojny światowej Zagłębie Ruhry bombardowali nie Rosjanie, lecz Anglicy. Kiedy przekonałem się, że w twórczości Goszy Safronowa nie ma tematów rosyjskich, byłem zaskoczony. W Niemczech rosyjska sztuka znajdowała zainteresowanie. Polacy mają inne doświadczenia, ostatnio pogłębione rosyjską agresją w Ukrainie. Jest wiele zrozumiałych uprzedzeń i zwyczajnej nieznamomości rosyjskiej kultury, przesłoniętej „czerwonoarmijskim” woalem. Język rosyjski, który dla Niemców jest językiem melodyjnym, w naszych uszach nie brzmi śpiewnie. Wielu uczyło się go z nakazu więc go nie zna i znać go nie chce, bo ufność wielu Polaków zwrócona jest ku zachodowi.

Do Moskwy pojechałem z Goszą z nadzieją, że uzbieramy tam dość dużo dobrego materiału, który pozwoli nam zorganizować wystawę w Polsce i w Niemczech. Chciałem pokazać Rosję taką, do której warto pojechać. Do Moskwy ciągnęła mnie egzotyka i spodziewany nowy klimat przemian lat „piestrojki”. Goszę ciągnęła do swojego miasta ukryta nostalgia.

Barierą, którą widać po przekroczeniu Bugu jest szeroki tor kolejowy, na który trzeba przestawić polskie wagony. Kiedy z Moskwy jechałem do Petersburga rosyjskim wagonem sypialnym, by „liznąć” Ermitażu przekonałem się, że ten szeroki tor daje wygodę podróżnym. Przedziały są obszerne. Zaplecze gastronomiczne i herba-



W roku 2003 z ks. Henrykiem Pyką odwiedziliśmy wspólnie Rosję

Lekcja rosyjskiego

KS. HENRYK PYKA

ta u konduktora pozwalają wyjść do miasta z pociągu już po pierwszym śniadaniu.

Wyjście z wagonu na dworcu Białoruskim w Moskwie skłania od razu do porównań. Tak chyba jest i dzisiaj. Walczą o klienta przewoźnicy bagażu, taksówkarze. A poza dworcem oświetlone jaskrawo kioski obłożone za szybko paczkami zachodnich papierosów i leżący pod kioskiem człowiek, może pijany, może narkoman.

W Moskwie bieda jaskrawo sąsiaduje z bogactwem. Wielka metropolia. Ale kiedy wyjedzie się z Moskwy w kierunku starych rosyjskich miast Włodzimierza i Suzdała, kończy się nagle architektoniczny rozmach. Za obrzeżem miasta okalanym monotonnymi dzielnicami zamieszkałymi przez „blokersów” rozpoczyna się rosyjski pejzaż: rozległe lesiste przestrzenie. Tuż za Moskwą drogowszk wskazuje drogę do Władywostoku. Małe, drewniane, parterowe domki zdobione „nalicznikami” – ozdobną framugą okien, stanowią wyłączny akcent cywilizacyjny.

Po Moskwie pędzą samochody najlepszych marek światowych. Przejazd samochodu prezydenta Putina, który z zawrotną szybkością „przeleciał” aleją Kutuzowa w otoczeniu czterech czarnych „trumien”, spowodował zatrzymanie całego ruchu. Stojący na przystanku poważny z wyglądu moskwiczanie zaklął siarczysto i wykonał znaczące kółko na czole. Człowiek w samochodzie jest w tym mieście istotą uprzywilejowaną. Pieszy nie ma szans, także na przejściu dla pieszych. Może to wpisało się w tamtejszą mentalność, że człowiek zespoleony z maszyną to coś lepszego.

W pasażach, przejściach dla pieszych za to wielu żebraków. To ludzie naprawdę biedni i ściska się serce kiedy po skromnym datku

biedak woła za plecami: „niech Bóg cię pobłogosławi”. Dwaj niewidomi stojący przed metrem śpiewają stare rosyjskie piosenki. Plastykowy worek stopniowo zapełnia się banknotami. Jajmużna wpisana jest w tradycję prawosławia. Kobieta obciążona siatką z zakupami wrzuca do worka kaleki ofiarę, po czym szybko oddala się kresząc na sobie potrójny znak krzyża. Wielu żebraków żebrze w moskiewskim metrze, które jest prawdziwie skutecznym środkiem komunikacji w tym mieście. Gosza pokazuje mi ławkę pod którą czeczeńcy podłożyli kiedyś materiał wybuchowy. Sporo tu milicji. Widzę jak sprawdzają dokumenty mężczyźni o ciemnej twarzy i czarnym zarostu. W metrze żebrzą młodzi mężczyźni, bez rąk, bez nóg. To byli afgańscy żołnierze. Dzisiaj myślę o kalekach wojny ukraińskiej. Podobno opiekuje się nimi moskiewska mafia: przywożą na wózkach, zabierają uzbierane pieniądze, dają jeść i kąpiel spać.

Lękałem się wyjazdu do Moskwy. Już wtedy, przed dwudziestu laty dowiedziałem się z mediów, że Putin wprowadza na nowo sprawdzone metody inwigilacji KGB. Nie czułem się jednak wtedy w Moskwie inwigilowany. Mieszkałem z Goszą na prywatnej kwaterze u Pani Marii, która kiedy przyjechaliśmy wyjechała na krótko do Londynu. W Moskwie uczyła angielskiego. Zostawiła nam klucze do mieszkania, dostęp do kuchni i zabrudzone szyby okien. Po powrocie, kiedy spotkała się z wymówką Goszy, odpowiedziała impulsywnie: szyby myjemy na Wielkanoc. Tymczasem w Moskwie rozpoczął się post i do Wielkanocy było ponad czterdzieści dni.

Do ścisłego centrum, na plac czerwony zaledwie pół godziny pieszo. Pierwszy kon-

takt z miastem to wizyta w klasztorze No-wodiewicznym i położonym opodal cmen-tarzu zasłużonych. Tu leżą Gogol, Czechow, ale i Chruszczow, Raisa, żona Gorbaczowa i wielu generałów. Klasztor w ostrym wiosen-nym słońcu mieni się złotem cerkiewnych kopuł. Po to tu przyjechałem. Jeśli Gosza tu zrobi dobre zdjęcia to wystawa i w Polsce, i w Niemczech znajdzie uznanie.

Moskwa jest pięknym miastem. Dla mnie jest to miasto Bułhakowa. Wkrótce znajdę się na Patriarszych Prudach i będę domyślał się kierunku, z którego nadejdzie Mefisto. Te miejsca najmniej są odwiedzane przez wycieczki, a najbardziej bliskie prawdzie o Moskwie dziewiętnastowiecznej, ale i współczesnej. Bo Mefisto dzisiaj, jakby otrzymał prawo obywatelstwa w tym mieście, w którym wszystko może się zdarzyć. Ciągnę w kierunku Arbatu. Kiedy wyjeżdżałem z Katowic znajoma prosiła mnie bym pozdrowił woźnicę, który na Arbacie karmi konie owsem. Coś przeczytała. Ale tego Arbatu już nie ma. Przypomina się piosenka Bułata Okudźawy: „i nie ma już sań, i po Moskwie nie chodzi już Puszkin”, choć tu na Arbacie kiedyś mieszkał. Na Arbacie sprzedają suweniry, a w miejsce rosyjskiej herbaciarni, gdzie mógłby dymić samowar pojawił się „Jackpot” – salon gier.

W porównaniu z Petersburgiem, budowanym na wzór miast zachodnioeuropejskich Moskwa jest jednak miastem odzwierciedlającym specyfikę kultury rosyjskiej. Kiedy po zamachu na życie cara Aleksandra II w roku 1881 zbudowano w Petersburgu cerkiew Spasa na Krowi powtórzo-no dla zaakcentowania narodowej dumy wzorce architektoniczne cerkwi Wasilija Błażennego, perły rosyjskiej architektury, ozdoby Placu Czerwonego.

Moskwa po „pierestrojce” jest miastem do którego powróciła rosyjska przeszłość ściśle przecież powiązana z prawosławiem. Ulica Twerska, na której znajdują się słynne delikatesy Jelisiejewa, gdzie można zjeść kanapkę ze siewrugą, rybą z carskiego stołu, jest mocnym argumentem przeciw „kulturze” Mc Donald’s.

Dominantą architektoniczną miasta oglądanego od strony hotelu „Rosija” jest patrialchalny „Chram Chista Spasitela”. Sąsiaduje z Kremlen. Tę potężną budowlę wysadzono w powietrze w roku 1931 z rozkazu Stalina. W miejscu cerkwi powstał kompleks basenów kąpielowych. Wyburzono więc cerkiew do fundamentów. Tak było z soborem każańskim i bramą zmartwychwstania przy Placu Czerwonym. W podobny sposób w Kijowie zburzono dwunastowieczną cerkiew michajłowską uprzednio przenosząc jej najcenniejsze mozaiki do Galerii Trietia-kowskiej w Moskwie. Gdyby nie interwen-cja malarza i teoretyka sztuki Grabara, który miał posłuch u Stalina zburzono by i So-bór Wasyla Błogosławionego. Dla rosyjskiej tradycji w latach 30. nie było respektu. Futuryzm pod nadzorem „Czeka”. Szło nowe: wiara w partię i elektryczność.

Odbudowę soboru patrialchalnego w Moskwie można uznać za materialny do-

wód nowej orientacji w świadomości współ-czesnych Rosjan. W odbudowanym za nie-wiarygodne z pewnością pieniądze sobo-rze patriarchatu moskiewskiego pojawiła się młodzież i wojsko, którym wcześniej wstęp do kościołów był zabroniony. Teraz nauczyciele sprowadzają tu wycieczki, pewnie w ramach nauki historii i wychowania obywatelskiego.

Dystans w stosunku do tego, co było i jak wydaje się minęło, ma tu różne posta-cie. Cel wszystkich „pielgrzymek” do Moskwy, mauzoleum Lenina, było zamknię-te. Nie można nawet przekupić straży, bo nie oni trzymają klucze. Za dziesięć do-larów pozwolą jednak podejść do muru kremłowskiego, gdzie złożone są prochy wodzów rewolucji.

Lenin pojawił się na koszulkach znaczą-cym gestem dystansując się i od tego co było i od tego co jest. Za takie koszulki przed kil-ku laty można było daleko wyjechać z Moskwy i już nie wrócić. Mumia Lenina stała się obiektem komercyjnym. Można kupić widokówki dobrej jakości z wnętrza mau-zolem, co dawniej nie było możliwe. Len-in pojawił się jako temat telewizyjnych programów satyrycznych. W oglądanym przeze mnie programie moskiewskiej te-lewizji aktor imaginuje taką oto sytuację: Len-in podnosi się ze swojego łoża – sarkofagu, patrzy swoimi chytrymi oczkami na to, co się dzieje obecnie w Rosji, po czym wyciąga spod poduchy flaszkę z siwuchą i mówi do siebie: napij się Wołodia, bo „zasochniejsz”. Tak było... przed dwudziestu laty.

Miejscem osobliwym w którym przecho-wuje się klimat minionej epoki jest „Specbufet nr 7”. Specbufet mieści się w moderni-stycznym gmachu z lat 30. zwanym „Dom na nabierieżno”. Budynek służył ówczesnej elicie władzy. Mieszkali tu także wybitni rosyjscy artyści i naukowcy korzystając z wszystkich udogodnień i luksusu, którego nie było na rynku, ale i doświadczając kolejnych czystek. Specbufet jest jedną z kanty-n, gdzie na zielonym stolczku pojawiało się wszystko to, o czym proletariaci mógł jedy-nie marzyć. A oto niektóre dania z menu bufetu nr 7 w cenach wyprzedzających obec-ne restrykcje: za trzy dolary / 90 rubli / moż-na było zjeść sałatkę gruzińską Towarzysza Koby z bakłażanów. W tej samej cenie jest „sałatka Stachanowa”. „Mieczta proletaria-ta”, czyli bryzol z wołowiny to już większy wydatek. Zamawiam ozorek ugotowany w chrzanie zwany „politagitator”, a do tego co-ca-ole, burżuazyjny napój zwalczany przed pierestrojką. W bufecie na nabierieżno plakaty z epoki przypominają mi o zachowa-niu czujności. Z „siedmiu Leninów na for-tepianie” zachowały się może cztery poroz-stawiane po różnych „kątach” tej nostalgicznej piwniczki. Kelner wita nas wylewnie, a portier podaje płaszcz przy wyjściu. W lo-kalu byliśmy sami, choć teraz każdy może tu przyjść. Nie wszyscy wiedzą, że jest takie „nostalgiczne” i zaciszne miejsce w Moskwie. A ci, co wiedzą, może jeszcze zbyt serio trak-tują tę „odgrzaną” atmosferę, lub wolą wy-

dać swoje pieniądze inaczej. Bryzol jest tu dla niejednego nadal marzeniem. Sprzą-taczka zarabiała wtedy 400 rubli, a kuzyn-ka Goszy – Tania, historyk, pracownik naukowy w Uniwersytecie Moskiewskim do-chodziła do czterech tysięcy, czyli nieco po-wyższej stu dolarów.

Cieszy mnie w Moskwie ogromny dystans do tego, co wokół i poczucie humoru moich rozmówców. W rodzinie lekarzy, gdzie spędziłem trzy pogodnie wieczory, plotkowano i o moskiewskim patriarsze, któremu wy-pomniano numer legitymacji KGB, o uwi-klaniu „wierchuszki” w mafię. Dowiedzia-łem się też dlaczego Maryna Mniszchów-na rodem z Sandomierza nie została moskiewską carycą: Matkę Boską na ikonie w Soborze Uspieskim w usta całowała ku zgorszeniu biskupów i bojarów. Teraz do-piero słyszę śpiewność języka rosyjskiego, który zdawałem na maturze.

Nie sprawdzało się też w tych kontaktach pomawianie Rosjan o wyniosłość w sto-sunku do Polaków. Igor, moskiewski chi-rurg, kiedy zwiedzałem Kitajgorod (dziel-nica miasta), stał za mnie w kolejce przed urzędem rejestrującym ruch cudzoziemców. Pod nadzorem stójkowego kozaka i Tani, hi-storyka, który wie jak w Rosji należy całować, całowałem w Daniłowskim monasty-rze (mieści się w nim budynek Konferen-cji Episkopatu Rosyjskiej Cerkwi) relikwie świętego Mikołaja Cudotwórcy.

Przez Moskwę szło wtedy nowe. Nie wie-działem jak na Kremle. Teraz wydaje się, że wiem. Tam za wejście (tylko do soborów i do skarbcy) płaci cudzoziemiec potrójnie. Lenina, który stałby gdzieś na placu, trzeba uważnie wypatrywać. Ja nie wypatry-łem. Gwiazdy na wieżach kremłowskich zostały, bo wykonano je z cennego rubinu. Felek Dzierżyński już nie stał przed Gmachem KGB na Łubiance od którego i bli-sko do Domu Dziecka, wielkiego maga-zynu zabawek, i do katolickiego kościoła świętego Ludwika. Rzeźbę Dzierżyńskie-go stojącą niegdyś na Łubiance odnalazłem w końcu w parku przed Nową Trietia-kowską, gdzie podobnych rzeźb bohaterów mi-nionej epoki jest jeszcze kilka. Wszystkie kiedyś stały na placach. Kto wie, czy jesz-cze nie wrócą. W samej zaś Galerii widzia-łem prace współczesnych moskiewskich artystów nasączone dowcipem tak okrut-nie prześmiewnym, że pomyślałem: to co było, nadęte i groźne, w tym, co jest już się teraz nie pomiesi. Myliłem się wtedy?! Ksenia, czternastolatka, córka Igora, jest normalną nastolatką. Jej mama mówi do mnie, kiedy przypominałem tradycję kom-somolską: „Sława Bohu, że jest taka jaka jest: chodzi na tenis, lubi fatalaszki, gra na fortepianie, choć lubi szkołę nie poszła na lekcje, bo nie odrobiła zadania”.

Starsza Pani jedynie, bileterka z Centralnego Domu Rosyjskiego Artysty, donośnie woła do Goszy obcym już tonem, kiedy ten zamiast biletu pokazuje jej legitymację Związku Polskich Artystów Plastyków: „Tawariszczu u was niet biljeta”.

Ku pamięci...

Moje wspomnienie o Marii Pańczyk-Pozdziej

DOROTA SIMONIDES

Kiedy w 1993 roku dziennikarka Radia Katowice, Maria Pańczyk-Pozdziej zaprosiła mnie do jury konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”, nie skojarzyłam początkowo, że jest ona moją byłą studentką, która wyróżniała się na zajęciach z piśmiennictwa śląskiego – w omawianych utworach dostrzegała i mocno w swych wypowiedziach podkreślała wartość gwary śląskiej. Później, przez lata obserwowałam jej niezwykle dar wydobywania ze śląskiej gleby kulturowej, starych, zakopanych tam zjawisk tradycyjnych, z których potrafiła uczynić kolorowe, żywe widowiska telewizyjne i audycje radiowe, promujące śląskie bogactwo kulturowe i wartości.

Toteż nie dziwi fakt, że Maria głęboko zakorzeniona w śląskiej kulturze, była jedną z nielicznych osób, którym udało się poderwać Ślązaków do pracy nad własną tożsamością, to dzięki jej pomysłowi i ogromnemu zaangażowaniu, tysiącom Ślązaków – jak sami o tym do niej pisali – udało się „powstać z kolan i wyprostować się”, i całej Polsce pokazać własne dziedzictwo, piękną tradycję i bogatą twórczość w swej gwarze górnośląskiej. Stało się to głównie za przyczyną konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”. Dla realizacji tego pomysłu Maria przekonała zarząd „Radia Katowice” oraz swoich współpracowników, umiała w niezwykle sposób pozyskać wielu sprzymierzeńców i sponsorów tego przedsięwzięcia wśród przedstawicieli władz regionu, świata kultury i sztuki. Do jury konkursu zostali zaproszeni znawcy kultury, tradycji i gwar śląskich: prof. Dorota Simonides, prof. Jan Miodek, reżyser filmowy Kazimierz Kutz i kulturoznawca Bolesław Lubosz.

Na początku wydawało się, że będzie to jednorazowe wydarzenie. Ale rozbudzona wśród Górnoślązaków potrzeba wyrażenia swej tożsamości w gwarze macierzystej, i „odświeżenia warto-

ści”, okazała się tak silna – na co wskazywały setki zgłoszeń – iż konkurs stał się coroczną, znaczącą dla Śląska imprezą, a wśród publiczności zasiadali coraz znamienitsi goście. Ciepły głos Marii, prowadzącej z wielką klasą, starannie przygotowane przez nią przedstawienie – stawał się w regionie rozpoznawalny. Ogromną jej zasługą była umiejętność wyszukiwania w terenie – można by powiedzieć – „śląskich pereł”, osób twórczych, które w swej lokalnej przestrzeni były znane z kulturowania i promocji bogactwa regionu,



które posługiwały się na co dzień gwara śląską, i chciały wziąć udział w konkursie. Cieszyła się z każdego zgłoszenia. Na pierwszym etapie przesłuchań odbywała się selekcja do półfinału, który wyłaniał finalistów. Tę selekcję przeprowadzali znakomici znawcy gwary śląskiej. Zdobyte tytuły Ślązaka Roku nobilitowało każdego laureata, otrzymywał on nie tylko nagrodę, lecz by-

wał zapraszany jako narrator ludowy na różne uroczystości i spotkania. Jednym słowem, stał się osobą znaczącą w swoim środowisku.

To dzięki inwencji Marii konkurs został wzbogacony o drugą ważną kategorię: Honorowy Ślązak Roku, tytułem tym wyróżniano osoby zasłużone dla Śląska. Wielkim przedsięwzięciem było zorganizowanie przez nią wyjazdowego konkursu do Teksasu, do Ślązaków, którzy tam przybyli w 50. latach XIX wieku, i nadal mówią gwara śląską.

Ludność śląska, co Maria tak często podkreślała, cieszyła się ogromnie, że mogła publicznie mówić o swoich korzeniach, o przywiązaniu do wiary i tradycji ojców, o rodzinie, szacunku do pracy i „starzyków”, opowiadać o lokalnych wydarzeniach historycznych – a wszystko to w swojej gwarze rodzinnej. A że wartości te przekazywano z pokolenia na pokolenie dowiodły występy dzieci, które z czasem mogły ubiegać się o tytuł Dziecięcego Ślązaka Roku. Retransmisję uroczystej gali konkursu, który odbył się w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze mogła za pośrednictwem TVP oglądać cała Polska. Mieszkańcy innych regionów mieli okazję zapoznać się z różnorodnością i bogactwem dialektu śląskiego.

Wartości kultury śląskiej dawnej i współczesnej tradycji przeniósł Maria Pańczyk-Pozdziej do przestrzeni ogólnopolskiej, będąc wicemarszałkiem senatu RP promowała je tak, jak ongiś czynili to także wicemarszałkowie Krystyna Bochenek i Kazimierz Kutz.

Dzięki Jej działalności utworzył się na Górnym Śląsku ruch osób twórczych, które widząc, jakie wartości posiada śląska kultura, prezentują ją w różnoraki sposób w swojej rodzimej przestrzeni. Oni to będą żywym pomnikami upamiętniającymi dzieło Marii Pańczyk-Pozdziej, słusznie nazwanej – Śląską Ikoną. ■

Zapisałem w kalendarzu pod datą 10 lipca: 80. urodziny Marii Pańczyk-Pozdziej. 12 maja, w czasie przedpołudniowego spaceru nad Odrą, odebrałem przez telefon smutną wiadomość od prof. Heleny Synowiec, że Marysia nie żyje.

Wśród wszystkich moich tarnogórskich znajomych była osobą, którą znałem najdłużej, bo od najwcześniejszego dzieciństwa. Sprawiała to bardzo niewielka odległość dzieląca nasze domy: Jej przy ulicy Sienkiewicza (mieszkał w nim także Bolesław Lubosz) i mój przy Powstańców 27. Do września roku 1958 zajmowaliśmy tam z Rodzicami locum na bardzo niskim parterze, dlatego – stojąc na kanapie i patrząc przez okno – widziałem wszystkich przechodzących ludzi. Prawie codziennie jedną z takich osób była starsza ode mnie o 4 lata Marysia, krocząca sama lub z koleżankami do szkoły albo z niej wracająca. Paroletni szczeniak – zaczepiałem ją (je) pukaniem w okno, robiąc przy tym głupie miny czy pokazując język, co mi do końca w żartach wypominała!

Po podstawówce poszła Marysia do Liceum Pedagogicznego i w dalszym ciągu od poniedziałku do soboty pokonywała tę samą trasę z ulicy Sienkiewicza, lecz my zmieniliśmy mieszkanie, więc przestałem ją widywać. Ale że moja Mama była polonistką w Jej szkole średniej, ciągle o Niej czegoś się dowiadywałem – zwłaszcza o Jej udziale w rozmaitych przedsięwzięciach literacko-artystycznych, które Mama z uczniami przygotowywała.

Wiedziałem też, a byłem wtedy uczniem ogólniaka, że po maturze w roku 1961 została nauczycielką i że podjęła też studia polonistyczne na WSP w Opolu. Dziesięć lat później, kiedy już byłem nauczycielem akademickim na polonistyce wrocławskiej, dotarła do mnie wieść, że Marysia Pańczyk została dziennikarką Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach.

Od lat 90. ubiegłego wieku nasza znajomość z dziecięcych lat przerodziła się w ogromną zażyłość i w trwałą przyjaźń. Ja – od roku 1987 stałem się człowiekiem telewizyjnej „Ojczyzny polszczyzny”. Ona – od roku 1993 była autorką niezwykle popularnego regionalnego programu telewizyjnego „Sobota w Bytkowie” przede wszystkim zaś wymyśliła i organizowała od tegoż roku 1993 gwarowy konkurs „Po naszymu, czyli po śląsku”.

Nie zapomnę do końca życia jednego z odcinków „Soboty w Bytkowie”, zrealizowanego w naszych rodzinnych Tarnowskich Górach. Byłem jednym z jego gości i nagle usłyszałem w wykonaniu Marysi piosenkę „W mieście na Górach Tarnowskich” z jej słowami i muzyką Grzegorza Spyry. Gdy doszła w niej do refrenu: „Tu był sam Ursyn, tu gościł Sobieski, Sedlaczek herbaty nie pijał. Dzisiaj Jan Miodek gwarkową spuściznę w ojczyznę polszczyznę zamienił”, nie byłem w stanie utrzymać na wodzy hamulców uczuciowych.

Konkursy gwarowe natomiast stały się na długie lata wielkim świętem całego naszego regionu i moim osobistym świętem także



– nieodmiennie pod koniec listopada każdego roku obchodzonym. Wraz z prof. Dorotą Simonides, Bolesławem Luboszem i Kazimierzem Kutzem zostałem przez Marysię zaproszony do jury. Z Dorotą Simonides zasiadaliśmy w nim najdłużej. Kiedy zabrakło Bolesława Lubosza i Kazimierza Kutza, gro no jurorów uzupełniał prof. Daniel Kadłubiec, a później – już na stałe – ks. prof. Jerzy Szymik i dr Jan Olbrycht.

A uczestnicy konkursu? – „Częstowali nas urzekającą gwarą, staropolszczyzną – zdawałoby się – dawno zapomnianą, a jednak ciągle żywą. Słuchaliśmy tych źródłanych strumieni naszej mowy, odnajdowaliśmy ją w sobie lub

dodawaliśmy do siebie – z poczuciem niewysłowionej przyjemności. Paśliśmy się na tej starej mowie niczym krowy na beskidzkich łąkach” – pisał pięknie Kazimierz Kutz (Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko. Wyd. ZNAK, Kraków 1999, str. 211-212).

Od roku 2004, kiedy objąłem w miesięczniku „Śląsk” stałą rubrykę „Śląska ojczyzna polszczyzna”, po każdej edycji konkursu Marysi dzieliłem się z czytelnikami językowymi wrażeniami z tych zmagania. Ona sama zaś czuwała nad całością, prowadziła w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzę finałową galę i była dobrym duchem nas, jurorów. Służyła radą, wsparciem, zawsze się dyskretnie

upominając w ocenie uczestników konkursu o obecność śląskiego etosu i jego najistotniejszych wartości. „Bo czuła Ona Śląsk i tak nim żyła, że nawet śniła po śląsku! Tą wiedzą o regionie i miłością do niego dzieliła się ze wszystkimi. A była to wiedza ogromna i gruntowna, zdobyta w trudzie obowiązków rodzinnych i zawodowych, zrodzona z niezliczonej ilości spotkań z ludźmi różnych środowisk, osadzona w śląskiej codzienności, a i wygenerowana z tradycji rodzinnych. Jej miłość do małej śląskiej ojczyzny była uczuciem mądrym, wyważonym, niezaślepiającym, owszem – dostrzegającym wszystko to, co w niej dobre i piękne, ale i to, co czasem boli” – napisałem w książce Marysi *Zapisałe w eterze. Mój Śląsk, moja Polska, moje radio*. (Wydawnictwo Naukowe ŚLĄSK, Katowice 2016, str. 205).

Kiedy przyszedł czas pandemii, a zarazem czas Jej zmagania z chorobą i nie mogliśmy się spotykać jak co roku na konkursie „Po naszymu, czyli po śląsku”, zaproponowała mi udział w swym radiowym coniedzielnym programie pod tym samym tytułem. Przygotowywała do rozmowy zestaw śląskich słów, a katowiccy radiowcy montowali nasze wypowiedzi. I to była ostatnia forma mojej współpracy z Marysią, a o jej ciekawych fragmentach również informowałem czytelników miesięcznika „Śląsk”.

Noszę więc w sobie wielki uczuciowy dług wobec Marysi Pańczyk-Pozdziej. Dług wdzięczności za tyle lat znajomości, przyjaźni, wspólnych pomysłów oraz dokonań. I powiem szczerze: czuję się dłużnikiem niewypłacalnym.

Na ramię broń!

TOMASZ BIENEK

Przypadająca w tym roku rocznica włączenia w granice państwa polskiego, wywalczonego w powstaniach śląskich obszaru Górnego Śląska jest okazją do wielu refleksji dotyczących tego doniosłego wydarzenia. Dość ciekawe, choć niszowe spojrzenie na ten fakt stanowią rozważania na temat wizerunku żołnierza polskiego z tamtego okresu. Obserwacje te są interesujące z dwóch zasadniczych powodów – wzrokowy kontakt z jednostkami regularnego Wojska Polskiego wchodzącego na Górny Śląsk był dla bardzo wielu lokalnych mieszkańców pierwszą okazją do zobaczenia polskich żołnierzy na własne oczy, i być może pozostając w pamięci na zawsze ukształtował on obraz sił zbrojnych II RP. Drugim powodem jest niesłychana różnorodność wzorów i odmian uzbrojenia oraz oporządzenia polowego, używanego w pierwszej połowie lat 20. przez stronę polską.

Rozpoczynając rozważania na temat sprzętu używanego przez Wojsko Polskie w połowie roku 1922, należy wspomnieć o bardzo istotnej prawidłowości, dotyczącej sił zbrojnych wszystkich krajów, które jako niepodległe twory państwowe pojawiły się na nowej mapie Europy po zakończeniu I wojny światowej, a ściślej ujmując po rozpadzie cesarskich Niemiec, monarchii austro-węgierskiej oraz carskiej Rosji. Te młode, dopiero tworzące swoje struktury organizmy państwowe, borykając się często z ogromnymi trudnościami ekonomicznymi panującymi w wyniszczonej Wielką Wojną Europie, organizując rodzime

siły zbrojne, w pierwszej fazie tego procesu zmuszone były korzystać ze wzorów uzbrojenia i wyposażenia otrzymanego niejako w spadku po rozpadach monarchii, w skład których niegdyś wchodziły. Było to w pewien sposób naturalną kolejną rzeczą – opracowanie własnych modeli broni i elementów ekwipunku polowego można było odłożyć na bliższą lub dalszą przyszłość, wobec gigantycznych ilości uzbrojenia i wszelkiego sprzętu wojskowego pozostałego po zakończonej dopiero co wojnie światowej. Odziedziczone po tym konflikcie mienie wojskowe liczyć można było w milionach ton i setkach tysięcy często niemal fabrycznie nowych moździerzy, karabinów, hełmów i innych elementów wojskowego mienia, które w listopadzie 1918 straciło właścicieli lub po prostu nie było już potrzebne zwycięskim mocarstwom w tak dużej liczbie. Dla krajów takich jak Królestwo Serbów, Chorwatów i Słowenów (czyli późniejsza Jugosławia), Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia i oczywiście Polska do darmowego „wzięcia od zaraz” było wszystko – za-

czynając od skrzynek z opatrunkami na pociągach pancernych kończąc. Warto wspomnieć, iż w latach 20. korzystanie ze sprzętu pochodzącego z lat I wojny światowej nie było niczym wstydlivym – był to jak na tamten moment historii nowoczesny sprzęt, zresztą kraje zwycięskie, jak Francja czy Wielka Brytania także nadal korzystały i to jeszcze w latach 30. z wyprodukowanego w czasie I wojny światowej ekwipunku, zalegającego w magazynach. Nam, współczesnym, określenie „broń z pierwszej wojny światowej” jawić się może jako synonim czegoś archaicznego i skrajnie przestarzałego, jednak w pierwszej połowie lat 20. był to sprzęt technicznie nowoczesny i stuprocentowo sprawny, w dodatku na tamten moment wyprodukowany na przestrzeni kilku, góra kilkunastu lat.

Choć w latach 20. wyposażenia z I wojny światowej używały wszystkie armie, Wojsko Polskie stanowi na tym tle pewien fenomen. W większości przypadków siły zbrojne utworzonych po 1918 roku krajów miały dość jednorodny sprzęt, wynikający z wcześniejszej przynależności państwowej. I tak wojsko czechosłowackie było wyposażone w zdecydowanej większości w broń i ekwipunek austro-węgierski, zaś Finlandia jako dawne Wielkie Księstwo Finlandii, czyli część imperium carskiego, używała wyposażenia rosyjskiego; prawidłowości takie miały nieraz daleko idące konsekwencje i ciekawe skutki – fińska armia jako podstawową amunicję karabinową przyjęła rosyjski nabój 7,62 mm do karabinów Mosin, jednocześnie wobec ogromnych ilości tej broni był to podstawowy karabin fińskiej armii. Był produkowany już przez samych Finów aż do wybuchu II wojny światowej, a gdy Stalin napadł na Finlandię 30 listopada 1939 roku, tracąc gigantyczne ilości wojska i sprzętu, dzielni Finowie uzupełniali swoje straty zdobycznymi sowieckimi karabinami i karabinami maszynowymi, strzelającymi tą samą amunicją, co ich własna (analogiczna pod tym względem sytuacja ma obecnie miejsce na Ukrainie).

Tymczasem niepowtarzalny gdzie indziej ewenement związany z Wojskiem Polskim polega na tym, iż to, czego używała tworzona po I wojnie światowej polska armia, było w zasadzie mozaiką wszystkiego, co na potrzeby wojskowe wyprodukowano w latach 1914–1918 na całym globie.

foto. Tomasz Bienek



Na początku lat 20. standardową ładownicą w Wojsku Polskim była niemiecka ładownica wz. 1909, która w późniejszym okresie została skopiowana z niewielkimi zmianami i aż do wybuchu II wojny światowej produkowana była w II RP jako ładownica wz. 22. Prezentowany na zdjęciu egzemplarz przebył interesującą drogę, która pokazuje cyrkulację wojskowego ekwipunku w pierwszej połowie XX wieku. Ładownica wyprodukowana w 1915 roku na potrzeby pruskiej armii została w 1918 roku przejęta przez Wojsko Polskie i mogła towarzyszyć polskim oddziałom wchodzącym w 1922 roku na Górny Śląsk. Na stanie polskiej armii była do 1939 roku, gdy została przejęta przez Niemców. Ci, wraz z wielkimi ilościami ekwipunku zdobytego w kampanii wrześniowej, sprzedali ją do Finlandii, która w latach 1939–1941 dokonywała w wielu krajach zakupów sprzętu wojskowego. W Finlandii przeszła remont, o czym świadczą dodatkowe nity wzmacniające pokrywy komór ładownicy. W toku walk na froncie wschodnim została zdobyta przez jakiegoś radzieckiego żołnierza, z którym przywędrowała ponownie na teren Polski i tu w jakichś nieznanych okolicznościach została utracona, a następnie po dekadach zalegania na jakimś strychu nabyta przez autora niniejszego artykułu

Odradzające się – lub raczej tworzone od podstaw, polskie siły zbrojne nie tylko dziedziczyły po wszystkich trzech zaborcach jednocześnie, co już stanowi niesłychaną różnorodność. Wielkie ilości sprzętu francuskiego dotarły do Polski wraz z tzw. Błękitną Armią gen. Józefa Hallera, we Francji dokonywaliśmy też zakupów. Bardzo dużo wszelkiego wojskowego mienia produkcji amerykańskiej otrzymaliśmy dzięki przychylniej postawie prezydenta USA Woodrow Wilsona; wielkiego przyjaciela Polaków i entuzjasty sprawy polskiej. Sporo różnorodnej broni i sprzętu zostało zdobyte na bolszewiach, którzy bazując na przejętym sprzęcie carskim także dysponowali różnorodnymi wzorami broni, gdyż niewydolny carski system już przed rokiem 1914 posiłkował się zakupami broni i amunicji w różnych krajach świata.

Zacznijmy od kwestii fundamentalnej – broni strzeleckiej. W latach 20. podstawową bronią każdego żołnierza na całym świecie był karabin powtarzalny, tzn. strzelający jednym pociskiem po ręcznym przeładowaniu, w trakcie którego z zamka wypadała pusta łuska, a kolejny nabój wprowadzany był do komory nabojeowej, donoszony przez sprężynę z pudełkowego stałego (niwymienialnego) magazynka pod zamkiem. Jego pojemność wynosiła z reguły pięć nabojeów. Po wystrzeleniu ostatniego z nich, żołnierz otwierał zamek i sięgał do ładownicy po tzw. ładownik, czyli umieszczoną w metalowej ramce porcję kolejnych pięciu (lub trzech, jak w niektórych konstrukcjach francuskich systemu Berthier, lub sześciu, jak we włoskich Carcano) nabojei.

Polska armia na początku lat 20. miała na stanie praktycznie wszystkie stosowane w tamtym okresie karabiny ze wszelkimi ich wariantami. Oczywiście na pierwszym miejscu pod względem ilości były niemieckie Mausery, francuskie Lebele i Berthier, austrowęgierskie Mannlichery, rosyjskie Mosiny, a do każdej z tych broni przeznaczona był odmienna amunicja. Chaos potęgowały włoskie Carcano czy amerykańskie Springfieldy, a już całkowitą egzotykę stanowiły japońskie karabiny Ariska. Jako że Japonia podczas I wojny światowej (podobnie jak Włochy) była po stronie państw Ententy, do momentu bolszewickiej rewolucji dostarczała Rosji produkowaną u siebie broń. Carat kupił jej na tyle dużo, że sporo znalazło się w rękach bolszewickich i potem jako zdobycz wojenna trafiła do Polski (co ciekawe, do końca 20-lecia międzywojennego pewna ilość karabinów Ariska wciąż znajdowała się w polskich magazynach, używała jej także polska Straż Celna i wciąż produkowano do tej broni amunicję, potem oręż ten w przededniu kampanii wrześniowej planowano wydać batalionom Obrony Narodowej, finalnie spore jej ilości zdobył Wehrmacht i z uwagi na nietypowy kaliber ponownie

przekazano ją – tym razem do różnych hitlerowskich formacji tyłowych i pomocniczych). Jeszcze większa różnorodność panowała w broni krótkiej. Stosowano najróżniejsze modele rewolwerów i pistoletów wraz z odpowiednimi kaburami, od legendarnych niemieckich Parabellum kal. 9 mm poczynając, poprzez pistolety Mausera, austro-węgierskie Frommery i Steyery, amerykańskie Colty, francuskie rewolwery Saint Etienne, rosyjskie Naganty, na różnych niestandardowych pistoletach, pochodzących z komercyjnej produkcji różnych krajów kończąc. Taki stan rzeczy stanowił poważne wyzwanie dla służb tyłowych, ponieważ skutkowało koniecznością dostarczania amunicji karabinowej i pistoletowej wielu różnych typów, i już podczas wojny polsko-bolszewickiej starano się ujednoczyć uzbrojenie strzeleckie w miarę możliwości. Proces ten trwał przez całe lata 20., i dopiero w 1929 poskutkowało przyjęciem karabinu Mausera jako podstawowego typu w Wojsku Polskim. Podczas wchodzenia na teren Górnej Śląska wśród polskich oddziałów nadal zaobserwować można było zróżnicowane uzbrojenie.

Wraz z karabinami wydawano żołnierzom bagnety przeznaczone do konkretnych rodzajów broni, oraz wszelkie akcesoria, jak ładownice, przybory do czyszczenia broni czy torby na dodatkową amunicję. Wchodźmy tu w jeszcze większy chaos wzorów, odmian i wersji ekwipunku, bo np. o ile Niemcy podczas I wojny światowej używali kilku odmian karabinu o ustandaryzowanej amunicji, to już wersji bagnety było w tej armii przynajmniej kilkanaście. Sprawę upraszczało nieco fakt, iż każdy niemiecki bagnet pasował do każdego niemieckiego karabinu, ale już np. do karabinów francuskich pasowały już tylko bagnety wyłącznie tej proveniencji; choć także były wymienialne między poszczególnymi modelami – ale tylko francuskimi. Wielkim ułatwieniem dla polskich kwatermistrzów był



Orzeł wz. 19 na nakrycia głowy. Wprowadzenie tego godła było jednym z pierwszych posunięć na drodze ujednoczania polskiego umundurowania



Metalowy pojemnik na francuską maskę przeciwgazową ARS, podstawowy sprzęt przeciwchemiczny armii polskiej do połowy lat 20.

fakt, iż nie trzeba było przestrzegać takiego reżimu np. w przypadku ładownic – amunicja francuska dawała się upchnąć w niemieckich ładownicach i odwrotnie, a żaden austriacki karabin nie ucierpiał od oliwienia carską olejarką.

Wszelkie te elementy uzbrojenia stanowiły fundamentalną podstawę bojową żołnierza tamtej epoki, lecz dla postronnego obserwatora – nawet dla Ślązaków obserwujących wejście polskich wojsk przez powitalne bramy – ich wersje były trudnym do odróżnienia niuanssem, czemu nietrudno się dziwić. Ówczesne karabiny, zwłaszcza dla cywilnego widza obserwującego paradę czy przemarsz z pewnego oddalenia, wydawały się identyczne. Wygląd bagnety pozostawał całkowitą tajemnicą, jako że w przeciwieństwie do wzorców rosyjskich armie europejskie z reguły zakładały bagnet na broń tylko w polu, na wyraźny rozkaz. Polskie (tzn. niemieckie, francuskie, austriackie, czy inne) bagnety w 1922 roku tkwiły w pochwach o boku żołnierzy, więc tym bardziej nie przyczyniły się do rozpoznawania polskich żołnierzy.

W owym czasie, elementem najbardziej rozpoznawalnym, związanym z sylwetką żołnierza, był hełm, bo jego charakterystyczny kształt pozwalał szybko przyporządkować właściciela do konkretnej armii. I tutaj, wkraczając w realia roku 1922 na Górnym Śląsku, trzeba podkreślić, iż w owym czasie nie istniały jeszcze hełmy polskiej konstrukcji. Sylwetkę żołnierza polskiego tamtej epoki określały hełmy francuskie, lub niemieckie. Trzeba tu podkreślić, iż o ile II wojna światowa pozostawiła po sobie setki odmian i wersji hełmów, tak po roku 1918 modeli tych było zaledwie kilkanaście, za to wyprodukowanych w wielu milionach egzemplarzy. Spotykano jedynie hełmy amerykańskie, brytyjskie, francuskie, włoskie, niemieckie i austro-węgierskie. Istniały też hełmy portugalskie, jed-



Emaliowana niemiecka menażka, stalowa manierka i składany niezbędnik – wszystkie te elementy było masowo stosowane w Wojsku Polskim w 1922 roku

nak nie dotarły na nasze ziemie, lub tzw. hełmy „rosyjsko-fińskie”, wprowadzone w carskiej Rosji tuż przed rewolucją, jednak w ilości tak nikłej iż niemal niezauważalnej. W armii polskiej przeważały hełmy francuskie oraz niemieckie. Dla dzisiejszego odbiorcy ówczesnych zdjęć dokumentalnych szokującym może zdać się obraz polskich żołnierzy, noszących na głowach charakterystyczne, głębokie niemieckie hełmy. Tymczasem w pierwszej połowie lat 20. klasyczny pruski hełm bojowy nie był niczym dziwnym, i przyjęty został na wyposażenie różnych armii. W latach 20. niemieckie hełmy wz. 16, wz. 17 i wz. 18 (jest to wersja hełmu wz. 16 z wycięciami w głębokim nakarczku, umożliwiającymi na przyłożenie do ucha słuchawki telefonu polowego), oraz ich austriackie kopie (niemal identyczne z niemieckimi), były w powszechnym użyciu w wielu krajach, także poza europejskim kontynentem. Oprócz głębokiego nakarczka charakterystyczną cechą tych hełmów były umieszczone w jego przedniej części odstające od dzwonu nity, przypominające „rogi”, zresztą w karykaturalnych rysunkach z okresu I wojny światowej chętnie eksploatowano to skojarzenie, przywołujące na myśl średniowieczne hełmy barbarzyńskich wikingów. Tak naprawdę te odstające od hełmu elementy to otwory wentylacyjne osłonięte potężnymi nitami. Wentylacja hełmu podnosiła nieco komfort żołnierza noszącego hełm w upalny dzień przy słonecznej pogodzie. Nity te służyły też do mocowania do hełmu dodatkowej płyty pancernej, stąd ich wielkość. Tych dodatkowych płyt używano w warunkach walk okopowych podczas I wojny światowej, zapewniały one lepszą ochronę przed kulami i odłamkami podczas wychylenia się z ukrycia. W Wojsku Polskim elementów tych już nie stosowano, zresztą poza realiami wojny pozycyjnej dodatkowe pancerze były niepraktyczne, zwiększały znacznie ciężar hełmu i powodowały jego ciągle zsuwanie się na czoło. Wszystkie przejęte hełmy niemieckie i austriackie (zarówno noszące trójkolorowy, okopowy kamuflaż jak i fabrycznie szare) przemalowywano na przyjęty w Wojsku Polskim kolor khaki.

Drugim powszechnie spotykanym w polskich oddziałach hełmem, i pierw-

szym pod względem ilości, był hełm francuski wz. 1915, zwany potocznie Adrianem, od nazwiska francuskiego pułkownika Louisa Adriana, który kierował pracami przy powstaniu tego hełmu. Charakterystyczną cechą tego hełmu był przynitowany do górnej części grzebień, przywołujący na myśl hełmy strażackie; zresztą przy opracowaniu tego nakrycia głowy wzorowano się na nich. Podczas I wojny światowej hełm ten skopowali Włosi; i pewne partie tych hełmów także trafiły do Polski. Hełmów francuskich polska armia posiadała ilości tak wielkie, że były one powszechnie spotykane aż do września 1939 roku, gdy znów użyto ich w boju.

O ile hełmy francuskie pozostały na stanie Wojska Polskiego przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego, tak hełmy niemieckie i auto-węgierskie starano się stopniowo wycofywać, jako że w Polsce ich profil jednoznacznie kojarzył się z sylwetką „prusaka”. Stopniowo przekazywano je np. policji, gdzie podlegały dodatkowemu „spolszczeniu” poprzez umieszczenie sporych rozmiarów metalowego godła państwowego na przodzie hełmu. Pomimo to niektóre oddziały Wojska Polskiego zachowały w całości hełmy niemieckie, najbardziej znany przykład to elitarna jednostka pancernomotorowa, 10 Brygada Kawalerii, która w wojnie obronnej roku 1939 dowodzona przez płk. Stanisława Maczka używała wyłącznie niemieckich hełmów wz. 16.

Kolejnym elementem związanym z wizerunkiem żołnierza jest oczywiście sam mundur. W 1918 roku w Wojsku Polskim panowała pod tym względem taka sama różnorodność jak w przypadku broni strzeleckiej. Donaszano wszelkie pozostałe po zaborcach sorty mundurowe,



Austro-węgierska aluminiowa manierka z polskimi oddziałami związana była już w czasach Legionów. Fot. Tomasz Bienek

stosowano płaszczki i kurtki niemieckie i austriackie, umundurowanie francuskie, amerykańskie a nawet japońskie. W celu zapewnienia wojsku należytego wyglądu, podkreślającego jedność armii, opracowano kurtkę wz. 1919, oraz wprowadzono barwę, czyli kolor polskiego munduru wojskowego. Stał się nim khaki, uznany za najlepiej spełniający funkcje ochronne. W 1919 roku wprowadzono też godło dla nakryć głowy – był to orzeł wz. 1919, noszący zamkniętą koronę, siedzący na tzw. tarczy amazonek.

W pierwszej połowie lat 20. udało się uporać z różnorodnością mundurów, nadal panowała ona w przypadku oporządzenia polowego. Oprócz bagnetów i ładownic różnej proveniencji, używano rozmaitych plecaków i tornistrów, pasów i chlebaków. Starano się ujednoczyć sprzęt przeciwchemiczny, gdyż w przypadku ataku gazowego konieczne było wymianianie pochłaniaczy w maskach, a elementy te miały różne rozmiary gwintów w poszczególnych krajach lub w ogóle same systemy połączenia pochłaniacza z maską różniły się między sobą dość znacznie. Zdecydowano się na rozwiązanie francuskie, przyjmując jako podstawowy typ maski przeciwgazowej przenoszone w cylindrycznym metalowym pojemniku maski typu A.R.S. 1917 (Appareil Respiratoire Special). Na podstawie tej właśnie maski opracowano pierwszą produkowaną w Polsce wojskową maskę przeciwgazową RSC, stało się to jednak dopiero w roku 1924, stąd maski określa się często w literaturze tematu jak wz. 24.

Osobną kategorię w żołnierskim ekwipunku stanowiła cała gama przedmiotów związanych z wyżywieniem żołnierza. Po I wojnie światowej zestawy te oprócz manierki i menażki składały się z różnych polowych zestawów sztućców (tzw. niezbędników), kubków, polowych kucherek, pojemników na suchary i inne produkty żywnościowe. W latach 20. w Wojsku Polskim panował w tej materii niesłychany chaos, gdyż używano elementów wyprodukowanych w różnych krajach, zasadniczo różniących się od siebie wyglądem i sposobem troczenia do reszty ekwipunku. Stosowano np. menażki francuskie – niskie cylindryczne kociołki; niemieckie – wysokie, o nerkowatym przekroju z zakładaną od góry pokrywką ze składanym uchwytem; amerykańskie – płaskie, owale patelnie po złożeniu przypominające dysk, lub np. carskie kociołki o wyglądzie małych wiader. Stopniowo polskim intendentom udało się zrobić porządek także i w tej przestrzeni, choć produkcja pierwszych elementów ekwipunku związanego z wyżywieniem ruszyła dopiero w drugiej połowie lat 20., a część sprzętu amerykańskiego, zgromadzonego w magazynach, zdążyła wziąć udział w kolejnej wojnie, gdyż w 1939 roku amerykańskich manierek używały np. niektóre oddziały kawalerii.



W pierwszej połowie lat 20. amerykańskie wyposażenie było masowo używane w polskiej armii. Na zdjęciu amerykańska manierka wraz z kubkiem i charakterystyczną płaską menażką (wszystkie przedmioty sygnowane datą 1918), zestaw wojskowych sztućców, oraz metalowe pojemniki na żywność (z lewej) oraz kawę i cukier (z prawej).



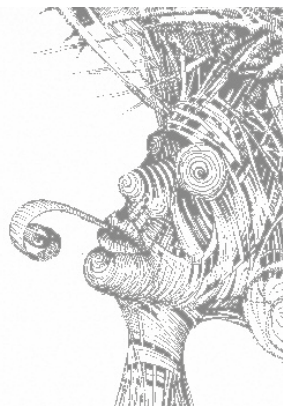
Francuski ekwipunek związany z wyżywieniem żołnierza w 1918 przybył do Polski wraz z tzw. Błękitną Armią i w drodze późniejszych zakupów. Na zdjęciu francuska manierka z charakterystycznymi dwoma szyjkami, żołnierski kociołek, stalowy kubek oraz przydzielowy widelec



Brama powitalna na ulicy Warszawskiej podczas wkroczenia Wojska Polskiego do Katowic 20 czerwca 1922. Ze zbiorów Biblioteki Śląskiej w Katowicach



Brama powitalna na ulicy Wolności w Królewskiej Hucie wybudowana na powitanie Wojska Polskiego 23 czerwca 1922. Ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

„Żywo to ta gadzina?”

To jedno z najbardziej mnie rozczulających wspomnień okresu tarnogórskiego dzieciństwa. Pewnego razu, gdzieś na początku lat 60. ubiegłego wieku, Ojciec przywiózł do nas ze wsi swoją Matkę, czyli moją Babcie. Mieliliśmy już telewizor. Nadawano akurat jakiś program redakcji rolnej. Na ekranie widać było przechadzające się po gospodarskim obejściu kury, gęsi, kaczki, indyki. Babcia – prawie kompletnie głucha (miała wtedy około 80 lat) – zobaczywszy je, zapytała w wyrażonym niedowierzaniem: „Żywo to ta gadzina?”. Do dziś nie wiem, czyśmy ją wówczas przekonali, że ta gadzina jest żywa.

Gadzina zaś to w mowie śląskiej (i nie tylko) tyle, co „drób, zwierzęta domowe”. To kolejny piękny archaizm leksykalny, często spotykany w tekstach staropolskich, np.: „Gadzina folwarkowa, mianowicie kury, gęsie, indyki, kaczki, gołębie” (Jakuba Kazimierza Haura *Oekonomika ziemiańska generalna* z roku 1693). U tegoż Haura spotkać też można *gadzinę* jako określenie „małego zwierzęcia” („Łaska ani żadna inna gadzina”) oraz „gada” („Gdzie niemało żabnej gadziny”).

Od *gadzin* urabiano przymiotnik *gadzinny* – znaczący tyle, co „żmijowy, wężowy” („Jak od żądła gadzinnego stronia”) – Fabian Birkowski 1566–1636), a od *gada* – to samo znaczący przymiotnik *gadowy* („Jad gadowy genuina vipersarum” – *Słownik staropolski*, wydawany w Krakowie od roku 1953, materiał do XV wieku). Oczywiście, *gad* i *gadzina* należą do tej samej rodziny wyrazowej, a mówiąc ściślej – *gad* jest podstawą słowotwórczą *gadzin* utworzonej od niego przyrostkiem *-ina*.

Prasłowiański *gad* to „coś, co budzi wstręt, obrzydzenie”. Zarówno *gad*, jak i *gadzina* pierwotnie takie właśnie znaczenie w sobie kryły, wywiedzione od prasłowiańskiego czasownika *žadati* (*se*) –

„brzydzić się, odczuwać wstręt”: oznaczały „wzbudzające wstręt małe zwierzątka lub insekty, również pełzające węże” (Wiesław Borys: *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, str. 153). W znaczeniu „drób, zwierzęta domowe” *gadzina* stylistycznie zneutralniała, owszem – może budzić bardzo pozytywne emocje, w odniesieniu jednak do ludzi *gad* i *gadzina* używane są do dziś z wielkim natężeniem negatywnych emocji. Mianem tym określamy „kogoś wyjątkowo podłego, nikczemnego” („Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszczcie nikt nie gością, ni prośba, ni dary” – napisał Adam Mickiewicz w „Grażynie”, „W zamkach tych gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu” – w „Ruinach zamku w Bałakławie”).

Określeniu drobiu i zwierząt domowych służy w naszym regionie jeszcze jedno archaiczne słowo, a mianowicie *gowiedź*, *gowiydź*: „Naszo starka sami gowiydź musieli opatrzeć”, „Ciepniej tam co gowiedzi na plac!” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: *Mały słownik gwary Górnego Śląska*, Katowice 2000, str. 75).

Przywołany wyżej słownik prof. Borysia informuje o pierwotnym znaczeniu *gawiedzi*: „pospólstwo, hałastra, motloch”, „tłum”, „wielka gromada (młodych ludzi, kobiet)”, „wszelki drobiazg w domu: dzieci, kury, drób”, „inventarz żywy, bydło”, „robactwo w dużej ilości, wszy”. *Gawiedź* jest kontynuacją prasłowiańskiej postaci *gaved’* o znaczeniu „coś budzącego wstręt, wywołującego obrzydzenie (np. robactwo, owady, gady, płazy)” – od prasłowiańskiego czasownika *gaviti* – „czynić szpetnym, wstrętnym, wywoływać odrazę, obrzydzenie, wstręt”. Ostatecznie wiodą te wszystkie formy do praindoeuropejskiego pnia *guou* – „zanieczyszczać, zeszepecić, plugawic”.

Kiedy zatem drób i zwierzęta domowe określa się w mowie śląskiej słowem *gowiedź*, *gowiydź*, to w perspektywie historycznojęzykowej – tak jak w wypadku *gadzin* – trzeba widzieć proces stylistycznego zneutralnienia tego rzeczownika.

A jak jest w języku ogólnym? – Współczesne słowniki, np. *Uniwersalny słownik języka polskiego* pod red. prof. Stanisława Dubisza z roku 2003, opatrują hasło *gawiedź* stylistycznym kwalifikatorem lekceważenia albo pogardliwości i odnoszą je „do grupy natrętnych obserwatorów, ludzi wścibskich, żadnych sensacji” (*gawiedź uliczna*).

Wracając na koniec do *gadzin* i *gowiedzi* – „drobiu i zwierząt domowych”, trzeba stwierdzić, że w śląskiej mowie najsilniej jest reprezentowany *indyk*, bo może on być *hyndykiem*, *jyndykiem*, *hańdykiem*, *hajdykiem*, *pulokiem*, *pultokiem*, *bulbulą*, *pulputem* i *putrem*. Pierwsze cztery postacie są fonetycznymi wariantami standardowego *indyka* (z łacińskiego *indicus gallus* – „indyjski kogut”), ostatni – *puter* – to leksykalny germanizm (niem. *Puter*). *Pulok*, *pultok*, *pulput*, a zwłaszcza *bulbula* są najpewniej twórcami dźwiękonaśladowczymi. Kogut to w naszym regionie *kokot*, a irysy nazywane są *kokocimi galotami* („La-toś my mieli pełno zegroda kokocih galotów, piyknie to wyglóndał” – czytamy w *Małym słowniku gwary Górnego Śląska* na str. 106). Te *kokoci galoty* skojarzyłem natychmiast z *gęsim pępkim*, którym mój Tata określał *stokrotkę*, a ja słyszałem to połączenie wyrazowe często w fonetycznym wariantcie *gansi pampek* – typowym dla wielu regionów Śląska Opolskiego. To „a nosowe” w *gansim pampeku* to relikwyt czasów, kiedy w polszczyźnie – w XIV-XV wieku – nie było „e nosowego” i „o nosowego”, tylko właśnie takie „nosowe a”. ■

„W niedzielę i święta we mszy świętej nabożnie uczestniczyć”. To zwykła droga do kościoła: ulice Limanowskiego, Piotra Skargi, jeden szeroki przejazd z piętrową nastawnią, zwany sztreką – prawie zawsze zamknięty, drugi wąskotorowy z budką dróżnika – prawie zawsze otwarty, potem tylko na skrzyżowaniu ulic przekroczyć Wolności, przeparać przed frontonem Domu Kultury kop. „Zabrze” i już schody na dziedziniec kościelny św. Franciszka z Asyżu. Tak jest co niedzielę i oczywiście w dni świąteczne. Dla chcącego nic trudnego i połowa mieszkańców Domu Nauczyciela to praktykuje. Dziś jednak ostatnia niedziela maja, więc jest inaczej. Ten wyjątek powtarza się co roku, właśnie w ostatnią niedzielę maja, a że ta niedziela każdorazowo wypada w innym liczbowo dniu miesiąca, więc dzień pielgrzymki to takie swoiste „święto ruchome”. Dzisiejsza data roczna – 1978 rok – mniej tu istotna. Dziś nie przechodzi się przez Wolności, tylko zostaje się na przystanku, koło kiosku, i czeka na tramwaj, „czwórkę” lub „jedynekę” – do miasta. W rękę torba nylonowa z termosem, wałówką i „Drogą do Nieba”; składane krzeselko o skomplikowanej metalowej konstrukcji, wzmocnione jeszcze parciałymi paskami po bokach, prawdziwe ustrojstwo. Oto ojciec i dwóch synów, w domu został z mamą najmłodszy. Sąsiad Niemirski, też nauczyciel, wyjechał rowerem nieco wcześniej, wróci później.

Jakże to swojskie klimaty. Ojciec pamięta jeszcze trochę z takiego wiersza:

Więc w rano dzisiejsze, w jasne rano
Wyszło nas mężczyzn sto tysięcy
Na konferencję
Do Najświętszej Panny Przenajświętszej!

Zbyszko Bednorz, Pielgrzymka mężów

Autora wiersza zaraz potem zamknięto (to były lata stalinowskie). Może dlatego wielu nauczyło się tego wtedy na pamięć. Ponieważ nie wolno go było drukować, raczej był zapominany niż odświeżany i po latach w głowie ojca zostały jakieś pojedyncze zwrotki. Dobrze choć tyle pamiętać.

W mieście szybko pod dworzec, przed którym już stoi „piątka” do Bytomia. Nawet się nie patrzy, o której odjadł. Przyjdzie czas, to odjedzie. Sporo mężczyzn z krzeselkami, wiadomo dokąd zmierzają. Piekary Śląskie to już inna diecezja – katowicka, tutaj i w Bytomiu jeszcze opolska. To takie zaszczości z dzielenia Śląska po pierwszej wojnie.

Gdy kto pracuje w Bytomiu i dojeżdża z Zabrza codziennie, temu jazda może nie wydawać się długa. Dla jednorazowych pasażerów dłuży się to niemożliwie. Najpierw w Biskupicach dłuży się ulica Bytomska, przy której mieszkał Pstrowski, potem z prawej dłuży się miedza pól i łąk Rudzkiej Kuźnicy, potem powraca ceglasta zabudowa familoków, gdy tramwaj wjedzie w autochtoniczne przedmieścia Bytomia (bo w śródmieściu, skąd zaraz po wojnie wysiedlono Niemców, zamieszkali repatrianci).

Ktoś mówi, że „Szombierki Bytom” są śląskie, a „Polonia Bytom” to przedwojenna „Pogoń Lwów”, przeniesiona w całości tutaj. Może tak, może nie, ale ciekawe. Przynajmniej wiadomo, dlaczego toczą pozasportowe boje, choć są z jednego miasta.

Gdy tramwaj skręci pod most i ocierając się o dworzec skręci w gęsto zabudowaną ulicę, to znak, że już niedługo.

Starszy syn jest studentem, drugi jeszcze w liceum. Licealista musi sobie co roku odświeżać w pamięci drogę, bo jakoś mu przez rok wietrzeje z głowy. Píše wiersze, na razie tylko dla siebie, niczego jeszcze nie publikował i nikt go jeszcze nie nazywa „młodym zdolnym”. Ojciec tworzył kiedyś szarady rymowane do „Szaradzysty” i „Rozrywki”, ale to było jeszcze zanim się syn urodził. W każdym razie do ojcu to ma.

Odświeża więc sobie zeszłoroczną drogę w głowie. Wyśiadka. Zaraz potem Plac Thälmana i przebite w bryle modernistycznego budynku tunelowe przejście na zewnętrzną ulicę. Koło kościoła świętego Jacka chodnik zakręca półkole i wyprowadza na ulicę Witczaka. Jeszcze nie jest tu tłoczno. Pojedynczy mężczyźni, jakieś niewielkie grupy koleżeńskie, po dwóch, trzech, wielu z krzeselkiem i torbą, flanelowe koszule, stroje takie jakieś turystyczne, raz na setkę ktoś w marynarce i pod krawatem, zawsze zauważony, choć nie zawsze wskazany ruchem głowy i porozumiewawczym spojrzeniem. Idzie się i idzie, droga wiedzie na wprost, na razie nikt nie zabłądzi. Z tyłu od Bytomia słychać śpiew dochodzący z przenośnego głośnika. Rosły ministrant taszczy go na plecach na stelażu, obok ksiądz w cyklistówce, z mikrofonem: „Ave, ave, ave Maryja”. Idą szybko i śpiewają szybko. Grupa liczna, rozciągnięta na asfalcie, ale wyprzedza niezorganizowanych, którzy trzymają się chodnika. „Lewa wolna!” – rozlega się raz po raz. Kilku chłopców ma żółte opaski na rękawach.

Każdy z czymś idzie. Po prośbie lub z podziękowaniem, z nadzieją lub dla podtrzymania tradycji. Są też pewnie tajniacy, ale kto by tam teraz o nich myślał. Ojciec zadowolony: minął rok, a oni znów w drodze do Piekar. Kiedy przed kilku laty dowiedział się, że pismo dominikanów „W drodze” (miesięcznik poświęcony życiu chrześcijańskiemu) uzyskało debiet na druk, zaraz zaprenumerował. Myśli o zbieżności nowego tytułu z dzisiejszą pielgrzymką. Oni dziś też są „w drodze”. Ostatnio przeczytał także książki Mertona i Świeżawskiego, popodkreślał sporo. Inteligent. Gdy czasem przeczyta coś Wiecha albo wiersz syna, podsumowuje: „W dechę!”. Po Świeżawskim i temu podobnych jakoś już nie wypada.

Jest i pan Niemirski. Tak jakoś się składa, tak to jest jakoś w Niebie wycyrklowane, że powtarza się co roku, jak jaki rytuał: sąsiad mijają ich na rowerze niemal zawsze w tym samym miejscu ulicy Witczaka. Pozdrawiają się wzajemnie, pan Niemirski coś komentuje wesoło. Ma inną koncepcję życia: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Zaraz skręci w prawo i pomknie wzdłuż kolonii domków fińskich, by za chwilę znów skręcić w lewo i znaleźć się w niekończącym się już do końca sznurze rowerów.

Oni idą dalej prosto. Ojciec pokazuje miejsce, gdzie przed wojną była granica polsko-niemiecka. Bytom w Niemczech, Piekary w Polsce. Jest nauczycielem historii w technikum górniczym, dobrze mu się mówi. Głos obejmuje już większą liczbę słuchaczy, choć adresatami są tylko synowie. Ciekawe to. Przed pierwszą wojną Piekary nazywały się „Piekary Niemieckie” („Deutsch Piekary”), po podziale Śląska zniknął ten przymiotnik, zastąpiony najpierw dookreśleniem „Wielkie” później „Śląskie”. Rozglądają się po tej granicy, szukając jej śladów, nie pierwszy raz zresztą. Czy ktoś z sąsiadujących domów to dawne urzędy celne? Może bytomianie by powiedzieli, ale poznasz to teraz kto bytomianin, a kto z Zabrza czy Gliwic? Chłopcy wypatrują, co by tu mogło wyglądać na siedzibę urzędu. Może ten dom z prawej, z tabliczką „ul. Stara 7”? Trochę im przypomina te na granicy Zaborza i Rudy Południowej. To dla jednego dziesiąta pielgrzymka, dla drugiego chyba ósma, już się pogubili w liczeniu, a co dopiero będzie później; niebawem zaczną pielgrzymować najmłodszy. Ważne jednak dzisiaj, żeby się nie pogubić w tłumie. Będzie jak w wierszu – ze sto tysięcy.

Ulica kończy się urwiskiem. Wszyscy piesi wybierają ten przełaj. Przed nimi rozciąga się szerokie torowisko. Schodzą ostrożnie po stromej piaszczystej ścianie. Dziś nie pada, było jednak też gorzej. Trzeba teraz szybko pokonać te szyny, rozglądając się ciągle na boki. To niebezpieczne miejsce. Nigdy nie mieli tu do czynienia z żadnym składem węglarek, jakoś tak się składało, ale linia jest użytkowana, bo szyny błyszczą metalicznym połyskiem, nie zardzewiały.

Za torowiskiem strome podejście, u góry las i ścieżka, która wyprowadzi na smółkę, a dalej jak w pysk strzelił aż do wzgórza „kalwaryjskiego”.

Po lewej przydrożny krzyż, po prawej rzadki młodziak, który jest ostatnim osłoniętym miejscem na odlanie się. Prowadzi tam wąska ścieżka dobrze wydeptana wśród wysokiej trawy. W ścianie krzewów przed pierwszymi drzewami widać prześwit wyrwy, w której znikają pielgrzymi. Potem trzeba będzie wytrzymać przez co najmniej pięć godzin. Korzysta się więc z laski.

Jakże szybko odżyła przyroda po zimie. Dopiero co był pierwszy maja i liści tyle co nic, pąki ledwie. Miało się wrażenie, że przed pielgrzymką gałęzie nie zdążą się przyzodobić. Kiedy to nastąpiło, nikt nie wie. Nie widzimy, nie słyszymy jak trawa rośnie. Tak i nagle okazało się, że liście już są, i to jakie, już wyrosnięte, takie jak trzeba. Nieużytki z prawej też pokryte nieszlachetną trawą i chaszczami na pół człowieka.

Stąd widać już wieżę świątynną, która wyznacza kierunek marszu.

Zaraz potem wielki przedwojenny gmach szpitala upewnia, że to już na pewno Piekary. Idzie się już miastem, jego główną ulicą. Na chodniku ścisk, trudno wyprzedzać maruderów, raczej równa się krok i idzie się owczym pędem. Czasu jeszcze trochę, więc to nie problem. Na ulicy też ścisk. Muszą pomieścić się rowerzyści i samochody. Samochody mają pierwszeństwo, rowerzyści przytulają się niemal do krawężnika, ale gdy tylko pomiędzy samochodami zrobi się większy prześwit, wskakują szybkim szusem i gnają za samochodem. Bywają odcinki, gdzie rower jest szybszy. Ktoś macha ręką z samochodu. W zasięgu wzroku wszyscy odpowiadają tym samym. „Widzieliście? Jakiś biskup”.

Na chodnikach stoją młodzi gazeciarze, proponując „Gościa Niedzielnego”. To na Śląsku najważniejsze pismo kościelne. Szczupłe, zaledwie ośmiostronicowe, ale drukują wiersze i jeszcze je ozdobnie ilustrują. Dla młodego poety zawsze to jakaś nadzieja. Pojawiają się stragany, ustawione jakby w zwartej zabudowie. Chłopcy już strzelają z kapiszonów, balony na gaz mają dziś większe wzięcie niż te na druciku. Większość pielgrzymów zamieni się w klientów dopiero w drodze powrotnej, jakże tu wrócić bez pamiątki, bez zabawki dla dziecka, bez świętego obrazka.

Jest i wzgórze piekarskie. Wchodzą tam zawsze bocznym wejściem. Mijają jedyny po tej stronie ustęp, murowany, do którego stoi zawsze długa kolejka. Las przydał się na coś.

Pewnie i inni mają swoje stałe, ulubione miejsca, swoje drzewo, swoją przestrzeń, jakiś punkt orientacyjny. Nasi pielgrzymi w każdym razie mają. Rozglądają się. Jest. Gdy spojrzeć w kierunku ołtarza, tylko częściowo stąd widocznego pomiędzy pniami drzew, to zobaczy się tuż przed sobą młode drzewo rozszechniające w górę dwie gałęzie, jak różdżka lub proca, przypomina stylizowaną na sposób cepeliowski figurę Chrystusa Ukrzyżowanego. Tego drzewa będzie się szukało po komunii, by trafić bezbłędnie do swoich. Pielgrzymi wciąż napływają. Jeszcze można wybierać, potem zostaną już tylko gorsze miejsca – na korzeniu, na spadzie.

Ojciec rozkłada krzeselko. Mają tylko jedno, to tutaj norma. Zmieniają się co jakiś czas – i to tutaj norma. Ktoś więc siedzi, żeby stać mógł ktoś. Ojciec sadza starszego, młodszy usiądzie podczas kazania; ojciec sam da znak, kiedy zechce usiąść. W grupach rodzinnych to zwykły rytuał. Wszędzie zaparkowane rowery. Nieco kolarzówek; przy nich zobaczy się czapki kolarskie z podniesionym ku górze daszkiem.

O wiele więcej składaków, modnych teraz, z wysoko wysuniętą kierownicą i siodełkiem. Wygląda się na tym jakby czapła brodziła w wodzie. Tu i ówdzie pień grubego drzewa służy jako oparcie parkingowe dla kilkunastu rowerów, które poza tym podtrzymują się wzajemnie.

Nad ołtarzem tegoroczne hasło: „Mocni w wierze”. Trudno z tego wywnioskować, o czym konkretnie będzie mowa. Ale lepiej być mocnym w wierze, niż mocnym w pysku.



Fronton kościoła na wzgórzu kalwaryjskim w Piekarach Śląskich z hasłem pielgrzymkowym, 28 maja 1978 r. Kadr z filmu dokumentalnego ks. Jerzego Rasiaka

Przed krzeselkiem co chwila ktoś przechodzi. Nie ma tu ścieżek, bo i ściółki leśnej brak. Kępki trawy są rzadkie, nie można w tym miejscu mówić o trawniku. Trawa jest niżej, bliżej bram wyjściowych. Chodzą ludzie w poprzek, przystają, rozglądają się, szukają kogoś wzrokiem. Rzadko który odnajduje, ale takiego co właśnie odnalazł od razu poznasz po ucieszonej minie.

Nieco po lewej znajduje się Grota „Lourdzka”. Nie widać stąd jej wnętrza, ale widać dobrze skałę. Sztucznie wykonana, kamienna wolnostojąca konstrukcja jest dziś już zdobyta przez kilkudziesięciu śmiałków. Siedzą tam, niektórzy na samym skraju. Jest to jakby najbardziej prestiżowe miejsce, cokolwiek, postument. Niby nie ma tam już miejsca, a przecież nadal ktoś się wspina po skale, ktoś mu podaje z góry rękę. A miejsca wciąż nie ubywa.

Ten, który się właśnie wspina, to inżynier Sewiłło, wicedyrektor „do spraw” w Zjednoczeniu PW, jedyny tam (w dyrekcji) bezpartyjny, więc nie rozliczany z uczestnictwa w pielgrzymkach przez Komitet Miejski Partii, jak to bywało nieraz z partyjnymi. Nagabują go, by się zapisał, ale jak dotąd opędza się skutecznie. Licealista jeszcze go nie zna, ale przecież widzi tego starszego pana, szczupłego, sprawnego, jak zwinnie wspina się po skale, wołając w górę, żeby go na ostatnim podejściu wciągnąć. Pozna go niebawem. Drogi Opatrzności już działają, tu i tam.

Trafiają się w tłumie także kobiety. Towarzyszą mężom lub ojcom. Nie budzą zdziwienia, choć to pielgrzymka stanowa, dla mężczyzn i młodzieńców. Czasem para młodzieżowa, narzeczeni, chłopak i dziewczyna. Będą mieli co wspominać, gdy dojdą starych lat: „A pamiętasz pielgrzymkę?”, „A pamiętasz tamte nieszpory?”.

Nagle szum, ktoś wstaje, zaraz następni, w końcu wszyscy. To idzie procesja z bazyliki, już jest na długim podejściu, które zaczyna się zaraz za bramą. Feretrony, banderie, insygnia biskupie. Znak, że zaraz się zacznie. Nie trzeba wcale stać, a że akurat wszyscy wstali to tylko owczym pędem. Więc zaraz siada się, by złapać jeszcze chwilę odpoczynku po męczącym marszu. Jaki tam męczący? Sama przyjemność! No cóż, *de gustibus non disputandum est*. Biskup Herbert Bednorz, gospodarz diecezji, przedstawia gości. On dziś jest tutaj gospodarzem („Czy wszyscy u was mają na imię Herbert?”

– Nie, ale wielu. Niektórym zmieniono po wojnie na Jan”. Podobno nie łączy go pokrewieństwo z poetą Zbyszkiem Bednorzem. Tak, był taki poeta).

Po raz pierwszy są na pielgrzymce górniczy z Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Na razie to coś tu egzotycznego. Jakoś tak kojarzyło się górnictwo węgla wyłącznie ze Śląskiem. Otrzymują brawa. Są kardynałowie, arcybiskupi i biskupi – z kurii rzymskiej, z Waszyngtonu, z Jugosławii, z Zairu. No i polscy biskupi z sąsiednich górniczych diecezji.

„Szczęść Boże! Szczęść Boże!” – rozlega się. To prawie demonstacja, takie ma się poczucie wolności. Tu wolno pokrzyknąć, choć na razie tylko to „Szczęść Boże!”, potem także „Dziękujemy!”. Ale wolno będzie też bić brawo, gdy który kaznodzieja powie coś „politycznego” lub bodaj aluzyjnego. „Dobrze im powiedział!” – będą się wtedy pielgrzymi rozglądać, w prawo w lewo, szukać się wzrokiem, kiwać głowami, w nagłe odkrytym porozumieniu myśli, w solidarności poglądów. Nie są sami. Już pełno. Pewnie znów sto tysięcy, jak przed rokiem, jak przed dwoma.

Nad głowami krąży helikopter.

„Liczą nas”. Dobrze, przynajmniej dowiedzą się, jak to w Polsce jest naprawdę.

Młody głos lektora odczytuje na powitanie List Prymasa Wyszyńskiego. Adresatem imiennym jest biskup Bednorz, ale treść dotyczy wszystkich.

– Każdego roku prowadzisz Drogi Biskupie, Wierny Lud Śląski do Piekar Śląskich, do Wspomożycielki Górników, Hutników, Pracowników różnych zawodów i działów pracy domowej, rolniczej, fabrycznej, urzędniczej, wychowawczej i opiekuńczej. Cały ten wspaniały Lud Boży od dawna ma wielkie zaufanie do Najświętszej Matki Chrystusowej. Wszak wszyscy wiedzą, że Ojciec Niebieski oddał swego Syna pod opiekę Służebnicy Pańskiej i świętego Józefa, Rzemieślnika. Święta Rodzina Nazaretańska była związana ściśle z ciężką pracą codzienną ludzi ubogich, zarabiających na chleb powszedni i utrzymanie własne. Chrystus nazwał Ojca Niebieskiego Oraczem, sam był nazywany Synem Pracownika, żył i działał wśród ludzi ciężko pracujących, powszechnie uważany za człowieka z ubogiej rodziny...

Słyszając imię świętego Józefa, inżynier Sewiło myśli o książce, którą akurat w tych dniach czyta. Książka jest właśnie o św. Józefie! Jakoś tak już kilka razy się tu złożyło, że w czasie powitań, w słowach biskupa Bednorza, albo w kazaniu, albo w tłumaczonych na bieżąco słowach gości zagranicznych, którzy dojdą do głosu na koniec, znajdował coś dla siebie, coś, co udawało mu, że nie jest Bogu i Kościołowi obojętny, że Ktoś Jest i mówi też wyłącznie do niego. Książka nosi tytuł „Cień Ojca”, dopiero co wydana, oczywiście Dobraczyńskiego. To ulubiony pisarz inżyniera, katolik. Ma jednak Sewiło poczucie pewnej wyjątkowości: w tej ludzkiej masie pewnie niewielu jest czytelników tej samej książki; a jeśli już są, to wątpliwe, by tak samo jak jemu przypominała się w tej samej chwili. Piekary to sanktuarium Matki Bożej. Jak to dobrze, że akurat dziś nie zapomniano o świętym Józefie. Przynajmniej w jednej duszy rozjaśniło się z tego powodu.

Kilka zdań z Listu Prymasa umyka inżynierowi niezauważonych, gdy mimo woli przypomni sobie o książce. To rozartagnienie. Młody lektor w komży jest już dalej:

– ...Matka Jezusa Chrystusa, która sama nazwała się Służebnicą Pańską, znała trud ciężkiej pracy, wczuwała się w myśl swojego Syna, który wzywał do Siebie wszystkich, którzy ciężko pracują i są obciążeni, budząc w nich nadzieję: „Ja was ochłodzę”. Taka Matka budzi zaufanie wśród ludzi pracy. Wiedzą oni z doświadczenia, że warto Jej powierzać wszystkie troski i kłopoty...

Większość pielgrzymów to właśnie ludzie pracy. Jakże nie mieliby nimi być, skoro państwo forsuje i egzekwuje politykę pełnego zatrudnienia, co może jest i dobre, ale kiedyś się chyba przerwie, jak owe rozsyłane po ludziach „łańcuszki świętego Antoniego” – niby coś gwarantujące, a niczym nie owocujące.

Teraz już jednak wszyscy czują, że to o nich mowa, że oni są adresatami Prymasowego listu.

– ...Pragniemy, by Wasza praca była łatwiejsza, przyjemniejsza i owocniejsza. Pragniemy, byście w tej pracy nie zapominali, że nie samym chlebem żyje człowiek, ale i słowem Bożym. Pragniemy, byście nie ulegali pokusom pracy ponad siły, z utratą zdrowia, byleby tylko więcej zarobić i szybciej zabezpieczyć byt rodzinie. Pragniemy, byście po Bożemu łączyli pracę z wypoczynkiem, służbę społeczną ze służbą Bożą, troskę o rodzinę z troską o sumienność w zawodzie: pragniemy byście owoców Waszej ciężkiej pracy nie trwonili, zwłaszcza na nietrzeźwość i rzeczy zbędne...

Kiwają głowami. Słuszna racja. Biją brawo. Oklaski przypominają szum wiatru pomiędzy liśćmi. Całe wzgórze szumi.

Orkiestra dęta gra pieśń na wejście. Msza się dzieje. „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”.

Przychodzi wreszcie chwila, że student ustępuje miejsca licealiście. Ojciec usiadł dopiero po Podniesieniu. Teraz jest czas kazania. Wcześniej zapowiedziano, że wygłosi je arcybiskup krakowski.

Kardynał Wojtyła nie jest tak popularny jak Wyszyński, ale cieszymy się tym co mamy, zawsze byśmy tylko narzekali. Gdy się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Nie widać stąd jego twarzy, postać ledwie z dala widoczna, raczej tylko szaty liturgiczne i czerwony biret kardynalski. Niewielu u nas zna jego twarz, może w Krakowie inaczej, może. Gdyby trzeba podać rysopis (niby komu, po co?), nikt tu prawie nie byłby w stanie. Przynajmniej głos ma czysty, wyraźny, rzadka dykcja. Bardzo dobrze się go słucha.

Młody poeta też ulega roztargnieniom: a to mrówka ciągnie patyczek, a to jakiś przeciskający się niezgrabiasz – akurat teraz! – rozdeptał żuczka, gdy ten toczył kulkę. Może coś pisz-czy w trawie? (...)

Takie to roztargnienia. Każdy ma swoje.

– Przybywamy jak co roku w ostatnią niedzielę maja – mówi Wojtyła – i odczytujemy słowa na frontonie kościoła: Mocni w wierze. Aby odpowiedzieć wezwaniu tych słów, my tutaj zgromadzeni, pragniemy sięgnąć do źródeł naszej wiary. Otwieramy przeto księgę Pisma Świętego i od pierwszych słów czytamy: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”. Przychodzimy tutaj w imię Boga Stworzyciela. Jesteśmy Jego stworzeniem, Jego ludem. Przechodząc po kolei werse-ty pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju czytamy, że stworzył Bóg męzczyznę i niewiastę na obraz i podobieństwo swoje. I rzekł Bóg do człowieka: Czyńcie sobie ziemię poddaną. Przychodzimy z tej ziemi śląskiej, przychodzimy z różnych stron Polski, i pytamy: Czy się spełniły te słowa Stwór-cy na dziejach naszej ziemi?

Czy się spełniły?

Inżynier Sewiło kręci głową. Oczywiście, że jeszcze się nie spełniły. Jeszcze tyle jest do zrobienia. Ale staramy się. Przynajmniej my w Zjednoczeniu Węgla, w górnictwie.

Jakiś wiersz mu napływa do głowy. Jakaś resztką z dawnych lat. Jest pewien, że tylko jemu. Kto by to tam jeszcze pamiętał? No tak, miał wtedy dwadzieścia lat, a ten wiersz, wtedy tu na wzgórzu odczytany, nagrodzono rzesistymi oklaskami. Był rok 1948. Pasowało jak ulał. Przekazywali sobie potem na Politechnice jeden drugiemu, żeby sporządzić odpis. Autor – Zbyszko Bednorz – zaraz potem został aresztowany i skazany na 15 lat. Mówiło się, że to za ten wiersz. Ale nie ma się co dziwić. Trwała wtedy walka o wykonanie Planu Trzyletniego. Wszystko nastawione na zintensyfikowanie produkcji. A ten takie coś:

Że żywot nasz jest krótki jak górniczy wystrzał,

A dusza wieczna, Chrystusowa przystań,

Żeśmy pracy pełni,

Robotnicy, chłopi, urzędnicy i kupcy –

Zdrowaś Panno Maryjo.

Bądź łaski pełna, byśmy się nie zagubili w produkcji.

Zbyszko Bednorz, Pielgrzymka mężów

To było tuż przed Kongresem Zjednoczeniowym partii robotniczych. A ten o jakiejś „partii wiernych”! Do stutysięcznego tłumu!

My z tych dróg utrudzonych,
My z tych dni powszednich,
Zakładamy dziś partię
Ludzi Tobie wiernych.

Zbyszko Bednorz, j.w.

To nie tylko pielgrzymka. To odpust. Będzie się tu coś działo przynajmniej do wieczora. Zapraszają na tyły kościoła kalwaryjskiego, także na plac przy bazylice. Młodzież przygotowała koncert piosenek religijnych. Będą nieszpory.

Ale ci z Bytomia, Zabrze, Gliwic, którzy nie przybyli tu w zorganizowanych grupach i żaden autokar, żadna Nyska czy Żuk nie odwozą ich potem przed dom, pójdą za chwilę z powrotem. Po drodze coś kupią. Potem półtoragodzinna droga do tramwaju. Jeszcze tylko posiłek w grupce rodzinnej lub przyjacielskiej, termosy podawane z rąk do rąk, nadstawiane kubki, przekazywane butelki, wałówka odwijana z szleszczącego papieru śniadaniowego. Z czym jest? Ze wzgórze spływają strumyki schodzących pielgrzymów z krzeselkami w dłoniach, omijając jedzących. Jakoś nikt się nie nawołuje – „i nikt nie usłyszysz na ulicach Jego głosu”. Jakiś tylko fragment rozmowy w przelocie, jakieś tylko podchwytone zdanie, a i to przecież nie wdziera się w cudzą „przeźrzeń powietrzną”. Co najwyżej jest jak owe słowa, które obudziły kiedyś świętego Augustyna: „Bierz i czytaj!”. W tle ktoś śpiewa do mikrofonu, akompaniując sobie na gitarze. Gdy przychodzi pora na refren, dołącza chórek. To neoprezbiterzy. Wyczytywano dziś ich nazwiska. Wszyscy z diecezji katowickiej, więc pielgrzymi z diecezji opolskiej, do której należą trzy wielkie miasta górnicze, położone tuż za miedzą, nie usłysze-li znajomych nazwisk.

Wychodzi się zazwyczaj główną bramą, więc trzeba będzie przejść do alei, którą wchodziła procesja, i zejść nią w dół. Dopiero stąd ołtarz i fronton kościoła są dobrze widoczne, nie zasłonięte drzewami. Nad wejściem wisi obraz Matki Boskiej Piekarskiej. To cudowny obraz. Kto chce i wierzy, może uprosić cud. Nie wszystkim potrzebny jest akurat cud, przynajmniej na razie, jeszcze im środki naturalne wystarczają. Ale o łaskę prosił tu pewnie każdy, może nawet ci, którzy przyszli tu służbowo. „Nie sądzicie, bo nie wiecie, co dzieje się w duszy ormowca” – mówią księża w rozmowach prywatnych, wśród samych swoich. To już chwila pożegnania przed opuszczeniem wzgórze. Ostatnie spojrzenie. „Mocni w wierze” – czyta się. Ubogi prosi o wsparcie. Lepiej dać niż nie dać.

O pół do czwartej jedzą już obiad w domu. Mama też się modliła, a i tak zdążyła ze wszystkim. Przez okno w stołowym widać jak na podwórzu Domu Nauczyciela wjeżdża rowerem pan Niemirski.

*

Kto pielgrzymował już wiele razy, a choćby tylko kilka razy, ten bez trudu dostrzega punkty stałe. Dlatego jedna pielgrzymka podobna do drugiej. Ta z 1978 podobna do poprzednich i takie będą te kolejne. Tak zawsze mijał rok za rokiem, pielgrzymka za pielgrzymką, tak życie mijało. Taka jeszcze jedna mała stabilizacja.

*

Ale w kolejnym roku już nie było tu Karola Wojtyły. Zamieszkał w Watykanie i zmienił swe miano na inne. Odtąd to Jan Paweł II, papież. Każdy z pielgrzymów zna już teraz tę twarz (bo głos znali od dawna), jasną, szeroką, słowiańską i uśmiechniętą, każdy by podał rysopis, gdyby było potrzeba. Wszyscy żyli już jego pielgrzymką „do Ojczyzny”, która miała się zacząć w sześć dni po tej piekarskiej. Bardzo chciał odwiedzić Piekary. Jeśli nie w tym terminie (ostatnia niedziela maja 1979), to w innym.

Biskup Herbert Bednorz słał prośby do towarzysza Gierka. Pielczęłowicie dobierał słowa, żeby czymś nie obrazić: „jako biskup śląski, zwracam się do w i e l c e s z a n o w n e g o p a n a z u p r z e j m ą p r o s b ą o ł a s k a w e p o z w o l e n i e n a o d b y c i e t e g o s p o t k a n i a . . . ”. Władze przyjęły Papieża godnie; do Piekar wszakże nie wpuścili. Na nic się zdała głódówka Kazimierza Świtonia, o którego Wolnych Związkach Zawodowych już nadawała „Wolna Europa” z Monachium. Tym razem się nie udało. Jednak Duch, o którym mówi się, że „wieje kędy chce”, został publicznie wezwany na Placu Zwycięstwa w Warszawie, by dokonał zmiany w obliczu ziemi, tej ziemi. Ano, zobaczymy. Czy może raczej: pożyjemy, zobaczymy...

W Piekarach zaczęto mówić o dziwnych sprawach. Biskup Bednorz nie zgadzał się na system czterobrygadowy, który zabierał ludziom niedziele i rozbił chrześcijański rytm życia rodziny górniczej. Niedziela jest Boża i nasza, powtarzał. Nie było też zgody Kościoła na budowę tunelu w okolicach Jasnej Góry, co z kolei – jako że zakłóciłoby tam ruch pielgrzymkowy – stanowiło bieżącą troskę prymasa Wyszyńskiego. Podskórnie wyczuwało się, że te nieprzebrane tłumy pielgrzymów – wciąż widywane tu i tam (w Piekarach i na Jasnej Górze) osiągnęły już swe pierwsze cele i wypowiedzą teraz nowe pragnienia. Brawa i okrzyki bywały coraz burzliwsze, „Szczęść Boże!, Szczęść Boże!” jeszcze głośniejsze niż w zeszłym roku.

Ojciec-nauczyciel pielgrzymował nadal, z synami – jakby inaczej, teraz już trzema. Pan Niemirski wyruszał rowerem przed nimi, wracał po nich. Miał rok 1979, mijała ostatnia niedziela maja 1980 roku. Na szczycie wapiennej groty lozardzkiej nadal było tłoczno i nadal wspinał się tam inżynier Sewiło, prosząc na ostatnim podejściu o podanie pomocnej dłoni. Miał jeszcze rok czy dwa do emerytury. Zresztą jeszcze miesiąc i nastanie okres urlopowy, wakacyjny: lipiec i sierpień. Czas spowolni tempo swego naturalnego biegu. A przecież jakby na coś innego czekano. Niby nic się nie zmieniło, bo nawet wiersz Zbyszko Bednorza tu i tu, w tej i w tamtej głowie, przypominał się w ostatnią niedzielę maja 1980. Może to niesprecyzowane oczekiwanie, to łamanie w kościach – jak na zmianę pogody – było powiewem owego Ducha? W ustalonych i niezmiennych przecież okolicznościach pielgrzymki inna już bowiem zwrotka dochodziła do głosu:

Bogiem napelnimy maszyny,
Miłością maryjną motory.
W miasta pójdziemy jak płomień,
**My – Twój, Maryjo Panno,
Związek Zawodowy.**

Zbyszko Bednorz, Pielgrzymka mężów

Tekst jest fragmentem większej całości.



Abp krakowski Karol Wojtyła wygłasza homilię podczas Pielgrzymki Mężczyzn i Młodzieńców, 1978 r. Była to już Jego ostatnia pielgrzymka do Piekar przed wyborem na Stolicę Piotrową. Kadr z filmu dokumentalnego ks. Jerzego Rasiaka.

Buntownik z Zaolzia i kamrat z „Zarania”

KATARZYNA SZKARADNIK

„Drogi Pawle! Kiedy redaktor »Głosu« Henryk Jasiczek zwrócił się do mnie z propozycją, bym napisał coś o Tobie na Twoje 50. urodziny, chętnie się na jego propozycję zgodziłem, choć wiedziałem, że narażę Ci się, jako że nie lubisz gadulstwa, kądziel i innych ceremonii [...]” – sumitował się w 1957 r. Ludwik Brożek (1907–1976), podówczas kustosz muzeum w Cieszynie, w liście do poety i publicysty Pawła Kubisza (1907–1968). „Kurzelowskiemu, wiem to z poważnego źródła – kontynuował – zakazałeś o sobie pisać [...] na łamach redagowanego przez Ciebie »Zwrotu«, ale zakaz ten chyba nie będzie dotyczył mnie, Twojego przyjaciela, i szpalt pisma, w którym zakazywać niczego nie możesz”. Nadawca pokusił się tu o żart, ponieważ „Jan Kurzelowski” to jego własny pseudonim, pod którym ów regionalista i fenomenalny bibliograf zamieszczał artykuły w różnych periodykach. Następnie sięgnął po argument z autorytetu: „Zresztą rozgrzesza mnie stary Benvenuto Cellini, którego obaj cenimy. [...] [W zacytowanym fragmencie usprawiedliwiający powstanie *Żywota własnego* – K.Sz.] Cellini myślał o ludziach dzielnych, co czegoś dokonali i stanęli na wyżynie lat – a Ty właśnie do takich należysz”. Nie ma stuprocentowej pewności, czy przesyłka o takiej treści trafiła do adresata; list przytoczony tutaj znajduje się w zbiorach Książnicy Cieszyńskiej, w jednej z teczek zawierających spuściznę epistolarną Brożka. Niemniej przepisywał on ręcznie nawet cudzą korespondencję (osób interesujących go jako badacza, m.in. Jana Wantuły i Gustawa Morcinka), niewykluczone więc, że sporządził też „drugi czystopis” owej nietuzinkowej wiadomości do kamrata.

W każdym razie wypada zajrzeć do wzmiankowanego w niej zaolziańskiego „Głosu Ludu” (1957, nr 57), gdzie w artykule *Pawłowi Kubiszowi na 50-lecie jego urodzin w dniu 12 maja „śląski Estreicher”* zaznaczył: „Twoje *Kajdany i róże* (1927), *Przednówek* (1937), *Opowieść wydziedziczonych* (1949) i *Rapsod o Oszeldzie* (1953) to dorobek [...] stanowiący jedną całość poetycką i myślową [...]. Tytuły tych tomów posiadają swoistą wymowę [...]. Wszystkie prawie wiersze Twoje były buntem przeciwko krzywdzie i uciskowi, przeciwko kajdanom i wydziedziczeniu, a obok buntu zakwitały róże, by po trudnym przednówku objawić zniwo. [...] Gwara, ludowość i chłopski światopogląd polityczny zaprzyjaźniły Cię z ludową literaturą innych regionów i zbliżyły do postępowych ugrupowań pisarzy chłopskich, wśród których długo byłeś jedynym reprezentantem Śląska”. Jak zaś dowiadu-

jemy się z życiorysu jubilata w *Śląskim słowniku biograficznym* (t. 3), również autorstwa Brożka, w *Przednówku* „poeta w sposób niezwykle sugestywny przedstawił społeczny i narodowy ucisk ludności Śląska Cieszyńskiego w dawnej i niedawnej przeszłości. Jeden z utworów tego tomu: *Co to młody gorol prawił, jak się mu na śmierć niósło*, zyskał w 1934 r. nagrodę »Wiadomości Literackich«. Zbiór został dostrzeżony i pochlebnie oceniony m.in. przez Józefa Czechowicza i Stanisława Czernika, a cieszyński kustosz, jak na sukcesora Estreichera przystało, skrupulatnie opracował wykaz recenzji *Przednówka* (zachowany w brudnopisie).



Paweł Kubisz. Fot. arch.

Przedwojenni komentatorzy akcentowali autentyczność regionalnego, ludowego języka; w tym kontekście warto przywołać list z 16.08.1936 r., w którym Kubisz zdradzał swoje zamiary i odślaniał kulisy twórczości: „W ostatnich dziesięciu miesiącach pracowałem nad *Balladą o hawirskim* [‘górnictwym’] *Śląsku za Cieszynem*. Może być, że utwór ten skonczę już za jakich 5–6 miesięcy [...]. Gwarą piszę poema; chcąc bowiem pisać dobrze gwarą, trzeba się mozolić, [...] ciągle kreślić i rozszerzać. [...] jesteście w Katowicach, prawie [‘akurat, właśnie’] w bibliotece [od 1935 r. Brożek był adiunktem w Bibliotece Sejmu Śląskiego –

K.Sz.], a czy tam przypadkiem nie macie jakichś starych szpargałów dotyczących pańszczyzny na Śląsku Ciesz[ynskim]? [...] [Chcę] napisać powieść zupełnie gwarą śląską, pt. *Pięści grozóm*. Mam już nawet szwarny kasek [‘spory kawałek’] tej powieści. Będzie to znowu pierwszy eksperyment tego rodzaju [...]”. Chodzi tu nie tylko o dzielenie się planami z kolegą i prośbę o pomoc – adresat w latach 30. sprawował obowiązki redaktora odpowiedzialnego i sekretarza „Zarania Śląskiego”, w którym publikował też wiersze autora *Rapsodu o Oszeldzie*.

Późniejsze dokonania Kubisza nie dorównały *Przednówkowi* – przynajmniej artystyczne, gdyż poeta poświęcił się działalności redaktorskiej i społecznej i ma na tym polu znaczące zasługi. „Dzięki Tobie i Twojemu udziałowi w pracy organizacyjnej takich zrzeszeń jak Śląski Związek Literacko-Artystyczny w Cz[eskim] Cieszynie przed wojną czy Sekcja Literacko-Artystyczna przy PZKO po wojnie [obydwu przewodniczył – K.Sz.] powstał ośrodek kulturalny mający w swym dorobku szereg pięknych osiągnięć w postaci wystaw, wydawnictw, imprez literackich i artystycznych itd.” – podkreślał Brożek w artykule jubileuszowym. Wszakże nie tylko zaangażowanie odmiennymi zajęciami przyczyniło się do braku kolejnych sukcesów poetyckich. Rolę innych okoliczności zasygnalizował tajemniczo w haśle w ŚSB przyjaciel Kubisza, kreując go poniekąd na bohatera tragicznego: „[P]isarz niewątpliwie uzdolniony i niezwykle ambitny, *Przednówkiem* zablasył jak me teor i zgasł w ciężkich warunkach, w jakich mu żyć wypadło”.

W owym niedopowiedzeniu łatwo doszukać się (auto)cenzury. Istotnie, pod koniec 1958 r. bohater biogramu – będący znanym polskim działaczem narodowym na Zaolziu i redaktorem cenionego miesięcznika kulturalnego „Zwrot” – został z powodów politycznych pozbawiony stanowiska oraz zepchnięty na margines życia społeczno-literackiego. Zatrudnił się więc w hucie w Trzyńcu jako robotnik, a potem uległ poważnemu wypadkowi, który zmusił go do przejścia na rentę. Objęty w Czechosłowacji zakazem druku, Kubisz zrezygnował z twórczości. Brożek usiłował pomóc kamratowi, czego dowodzi odpis listu z 16.11.1958 r.: „[W] rozmowach z czynnikami oficjalnymi na naszym te-

renie doszliśmy do wniosku, że stworzenie Ci *modus vivendi* w tych warunkach, w jakich się znalazłeś u siebie, jest chyba niemożliwe, a zatem, że najbardziej realna jest koncepcja, żebyś się przeniósł do Polski. [...] Czekam od dwóch miesięcy na obiecane mi przez Jasiczka zaproszenie na odczyt do SLA [...], bo chcę mieć podstawę do otrzymania przepustki [granicznej – K.Sz.]. [...] to jest w tej chwili jedyny możliwy sposób spotkania się z Tobą [...].”

Niemniej już przed wojną autor *Opowieści wydziedziczonych* borykał się z przeciwnościami losu. W przytoczonym liście z 1936 r. tłumaczył: „Tryb mego dotychczasowego życia tak się układał, że nic mi w rękach nie zostało [z wierszy – K. Sz.]. Złożyło się na to szereg wypadków. Było to najpierw w [...] 1928 aresztowanie mnie przez Czechów i skazanie mojej małości w procesie przy zamkniętych drzwiach (Olomuniec!) na 13 miesięcy ciężkiego więzienia, zaostrożonego dniami postnymi [...]. Wszystkich czterysta i kilka więźni [!] [...] znało mnie pod ogólną nazwą »polskiego buntownika«. Czesi skazali mnie [...] za to, jakoby miał dążyć do oderwania terenu dzisiejszego Śląska czeskiego i Słowaczyny od granic republiki, aby przydzielić to wszystko Polsce. [Kubisza osadzono w celi za kolportowanie wydawnictw irredentystów słowackich – K.Sz.]. Później [...] wpadłem w wir roboty społeczno-politycznej na Śląsku czeskim. Było to przeprowadzenie organizacji Stronictwa Ludowego, [...] agitacja przed »sławetnym« spisem ludności... łącznie od dziedziny do dziedziny [od wsi do wsi] i huczenie do ludzi. Artykuły, satyry, zgromadzenia, teatry amatorskie, wszystko na przemian. Potem wyjechałem do Kowna (r. 1931) jako dziennikarz [...] [i wkrótce] musiałem z Kowna wiać, gdyż grożono mi odstawieniem pod »litewskimi bagnetami« do granicy. Następnie zostałem mianowany na stanowisko korespondenta półurzędowej agencji prasowej [...] do Rygi [...]. Od przeszło trzech lat pozostawałem ciężko chory [za kratami nadawca nabawił się gruźlicy – K.Sz.] przy równoczesnym przeżywaniu pewnej osobistej tragedii”. Wydarzenia te cieszyński bibliograf uznał za rzutujące na całą dalszą drogę przyjaciela. Jak podkreślił w niedokończonyj notatce *O Pawle Kubiszu* (towarzyszącej listom od niego wraz z innymi materiałami biobibliograficznymi): „Jeśli się zważy, że Kubisz liczył [sobie] wtedy zaledwie 20 lat, »wina i kara« będą dobitnym wyrazem polityki czeskiej w tych stosunkowo spokojnych czasach. Pobyt w więzieniu nie tylko nadszarpnął zdrowie poety, lecz i wrył się w duszę, zapładniając ją pesymistycznym poglądem na świat”.

Ze względu na niepokorność i epizod więzienny autora *Kajdan i róż* nic

dziwnego, że Brożek upatrywał jego *alter ego* w postaci *Rapsodu...*, Pawle Oszeldzie. Ten XIX-wieczny medyk i rewolucjonista, organizator gwardii ludowej w rodzinnych stronach (na ziemi przyznanej w 1920 r. Czechosłowacji i zwanej odtąd potocznie Zaolziem), spędził cztery lata w twierdzy Spielberg, po czym jeszcze wziął udział jako starszy lekarz ułanów w wojnie austriacko-francuskiej. „Kubisz miał wiele wspólnego z bohaterem, którego sobie upodobał” – przekonywał „śląski Estreicher” w jednej z zachowanych notatek. „[N]awiązywał niejako do Oszeldy, widział w nim wzór duchowy dla siebie, a osobiste losy upodabniał w swej [wyraz nieczytelny – K.Sz.] do losów bohatera cieszyńskiej Wiosny Ludów. Był Kubisz duszą rogatą, niezadowoloną z istniejącego stanu rzeczy i spalającą się w wiecznej rozterce i walce między tym, co go otaczało, a tym, co sobie wyimaginował”.



Ludwik Brożek. Fot. arch.

Świadectwem owych zmagania jest też korespondencja. Co znamienne, jako pewien „dokument ludzki” postanowił ją potraktować sam adresat, dla którego nadawca był nie tylko przyjacielem, lecz także intrygującą osobowością twórczą, a jego życie – egzemplifikacją doli polskiego działacza na Zaolziu. Dowodzi tego np. odpis listu Jana Wiktora, autora *Orki na utorze*, do Morcinka z 23.11.1954 r.: „Ile razy czytam »Zwrot«, zawsze ogarnia mnie głębokie wzruszenie. [...] To pismo to bojownik w najszlachetniejszym znaczeniu, to żeglarz na łodzi rozbujanej wśród skał zdradzieckich, w czas burzy – podąża wytrwale, a jedynym jego celem, jedynym wezwaniem – Polska”. Wśród materiałów poświęconych poecie z Czeskiego Cieszyzna znajdziemy więc również luźne notatki opatrzone nagłówkiem *Nad listami Pawła Kubisza*, rozpoczęte przypuszczalnie tuż po jego śmierci, gdyż pozostało wykropkowane miejsce na datę dzienną. „Kiedy Kubisz w r. 1957 kończył lat 50,

ogłosiłem w GL artykuł o nim w postaci listu” – wyjaśniał Brożek niedoszłym czytelnikom szkicu. „Ale nie o tego rodzaju listach będzie tu mowa. [...] pochylałem się nad autentycznymi listami jego, pisanymi do mnie w latach 1936–1958. Jest tych listów około 80 [...]. Listy sprzed lat 40. pełne są przeróżnych plotek i ploteczek literackich, często zmyślonych, których przypomnieć nie wypada, bo ludzie »oplotkowani« dawno już nie żyją. [...] listy dotyczyły wyłącznie spraw literackich, Kubisz bowiem tkwił w nich po uszy i tylko nimi się interesował”.

Wbrew obiekcjom kustosa warto przywołać fragmenty tej przedwojennej korespondencji – z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, jak przyznaje adresat, późniejsza nie jest tak ciekawa, ma na ogół charakter służbowy: zawiera prośby o artykuły do „Zwrotu” i „Kalendarza »Zwrotu«” oraz rozliczne... monity. Istotnie, wybitny bibliograf i znawca piśmiennictwa związanego z regionem słynął z nieterminowości, lecz tłumaczy go bezlik otrzymanych próśb o kwerendę lub napisanie na jakiś temat. „[B]yłem naocznym świadkiem – wspominał w tekście *Pasja Ludwika Brożka* („Poglądy” 1979, nr 24) ustronński bibliofil i historyk amator Józef Pilch – kiedy jako bezinteresowny doradca służył każdemu piszącemu i każdemu badaczowi dziejów Śląska swoją ogromną wiedzą. [...] Już nie da się odtworzyć, ilu udzielił informacji, ile prac magisterskich, doktorskich (i zapewne niejedną książkę wartościową) ukazało się dzięki jego pomocy”. Wprawdzie działalność społeczno-naukową rozwinął głównie po wojnie – zwłaszcza gdy od 1960 r. kierował cieszyńskim Oddziałem Zabytkowym Biblioteki Śląskiej – ale już jako adiunkt w centrali tej instytucji i sekretarz „Zarania” prowadził prace badawcze (m.in. w ramach Komitetu Redakcyjnego Bibliografii Śląskiej), a wykaz jego przedwojennych publikacji obejmuje 91 pozycji. „Jedną z cech naukowej postawy Ludwika Brożka była zadziwiająca wszechstronność” – zaznaczał po jego śmierci Mirosław Fazan („Książnica Śląska” 1975/1978, t. 20). „W dziejach kultury polskiej na Śląsku [...] poruszał się swobodnie i chyba nie było w niej takich zjawisk i sfer, faktów i zdarzeń, które by mu były nieznanne. Stąd brał się jego autorytet naukowy, stąd liczne obowiązki i zaproszenia do współpracy, słane przez wybitnych uczonych polskich”.

Wróćmy jednak do listów Kubisza i drugiego powodu, dla którego warto zacytować te przedwojenne. Otóż pozwalają one zaprezentować próbkę stylu czupurnego twórcy i potwierdzają opinię jego przyjaciela z innej niedokończonyj notatki – że był „doskonałym tympem z naszej wałaszczyny [neologizm od grupy etnograficznej Wałachów cie-

szyńskich – K.Sz.]: rubasznym, hałaśliwym, odważnym...” Najbardziej jędrną wypowiedzi autora *Przednówka* dotyczące krytyki literackiej; np. 3.12.1937 r. relacjonował Brożkowi: „Roztomili [‘przemili’] kamracie! [...] Nie wiem, czy o tym wiesz, ale Morcin[ek] otrzymał cholernego łupnia za swą recenzję o Osmańczyku i o mnie, jaką zamieścił na łamach »Gazety Polskiej«. Zjechał go, i szykownie [‘zgrabnie’, też ‘w dużym stopniu, mocno’], jakiś pan [Józef – K.Sz.] Maśliński, redaktor »Kolumny Literackiej« [dodatku] w »Kurjerze Wileńskim«. Także Osmańczykowi dostało się dosyć morowo. Ja wyszedłem tak jeszcze najśluszniej [‘najporządniej, najpoważniej’] z tej bryndziej”.

Wyjątkowo ciężkie działa wytaczał Kubisz przeciwko innemu zaolziańskiemu poecie, Adolfowi Fierli (któremu zarzucał więcej niż inspirowanie się cudzymi utworami), oraz przeciwko Pawłowi Musiołowi – publicyście, krytykowi literackiemu, redaktorowi „Kuźnicy”, założycielowi organizacji „Młoda Polska” i współpracownikowi „Zarania”, a prywatnie przyjacielowi Brożka. W liście z 8.09.1936 r. nie krył sarkazmu: „Otóż – jak widzę, Pawliczek ubrał się w togę chmurnego, zamamranego [‘gderliwego’] krytyka i hajże na moją *Balladę*. Dostaję szereg rad od niego, lecz powiadam zaraz szczerze i otwarcie: z takimi radami do dupy jechanie! Czytam bowiem wiele, stanowczo więcej niż Pawliczek. W zrosłokach [‘kombinezonie dla niemowląt’] już też nie chodzę, lecz obiektywną, wnikliwą, nieprzykrojoną na miarę swego widzimisię – krytykę rad respektuję, choć bywały nawet bardzo surowa. Pawliczek szermuje jednak nie krytyką, [...] lecz ukłuciami, które klasyfikuję jako wyrażnie złośliwe”. Nasuwa się uwaga: przyganiał kocioł garnkowi; ale dalej nadawca nieco tonował oskarżenia: „Cenię kochanego kamrata Pawła Musioła jako dobrego społecznika – jako bystrego obserwatora i politycznego publicystę, lecz niestety nie mogę do tych resortów dohaczyć poezji”.

Niemniej pod koniec listu znów poniosła Kubisza zapalczywość, choć tym razem w imieniu nie tylko własnym, bo ogółu poetów z regionu: „Psiakrew, będzie trzeba napisać koniecznie nową szopkę satyryczną pt. *Defilada literatury śląskiej* [...]! Chciałem wierzyć, że Pawliczek Musioł stanie się śląskim Catem-Mackiewiczem z wileńskiego »Słowa«. [...] Cat śląski dawno by wyrznął artykuł, że Śląsk, będąc najbogatszą dzielnicą Polski, nie stara się nic o poetów, ale natomiast pcha wszystko w prozę [...] – później też tak ta poezja wygląda!”. Wszakże na jego osąd wpłynęło osobiste rozczarowanie. „W prośbie swej piszę – informował Brożka 16.08.1936 r. – aby (jeśli łaska!) przyznało mi T[owa-

rzystwo] L[iterackie] stypendium i wydało po kilku miesiącach mą książkę. Spolegając na Waszą pomoc, może tym razem będę miał szczęście. Przed laty bowiem zwróciłem się już raz w podobnej sprawie do Katowic, lecz niestety spotkałem się z wyraźną niechęcią, czy nawet bojkotem. Chciałem podówczas »rznąć« do kąta na pewien czas polityką i chwycić się na serio – »pisania«, lecz [...] prośba ma została potraktowana jak petycja »kominiarza z Grajdołka« [...]!”.

Przede wszystkim zaś występował w imieniu Polaków z Zaolzia, o których sytuacji władze II RP przypominały sobie jedynie wówczas, gdy mogły ją wykorzystywać politycznie, tj. koniunkturalnie. Notabene, aneksja Zaolzia w 1938 r. także zawiodła jego oczekiwania – okazało się, że administrację obsadzono przybyłymi z Warszawy, a miejscowych lekceważono, lub wręcz nimi pogardzano. Tymczasem już w liście z 14.12.1936 r. wzburzonego Kubisz donosił przyjacielowi: „Wątpię, czy będziecie otrzymywać spokojne wiersze [do »Zarania« – K.Sz.]... ja w swych wierszach będę coraz więcej gwałtowniejszy. Piszę dłuższy wiersz pt. *Dragóni jadam* [...], może dałoby się go jeszcze wpakować do »Spokojnego Dziennika«. Zresztą tymczasowo mają tam panowie do dyspozycji *Znam tylko jeden Śląsk*. A tu znowu temat, więc ja tam wysłałem ten wiersz do Katowic, to za jakieś dwa tygodnie znalazł się w Cz[eskim] Cieszynie p. [Jerzy] Langman z radia w Katowicach i hajże tutaj gadać, że w tym roku radio już nie będzie poświęcało tylko za jasnie łaski pół godzinki Opolskiemu, Cieszyńskiemu, lecz że to będzie radio jednego Śląska! *Haraszo!* Dobrze, że wiersze mają taki »uczynek«, ale źle to, gdy dopiero jak ktoś powie: znam tylko jeden Śląsk, od Opawy przez Katowice po Frydek i Wrocław, to radio się skapuje, że też to trzeba w nikły przynajmniej czyn wprowadzić [...]. Ale co więcej, p. Langman przyjdzie do Cieszyna, zbierze gromadę jakichś osób, które mają o całej sprawie zielone pojęcie, i tam im gada, pomijając tych wszystkich, którzy piszą... To już jest skandal! Ludzie, którzy ubijali rzeźbiarzy, piszących itd., mają prowadzić w takich akcjach prym. Tego nie było i nie będzie! Bez nas i o nas – to nie!”.

W wiadomości z 17.06.1937 r. Kubisz zarzucał Towarzystwu Literackiemu, że stanowi zatęchłe towarzystwo wzajemnej adoracji. „[C]hcę, żeby demoniczne i hegemoniczne Katowice były trochę więcej sprawiedliwsze [...]. Przyrzekam Ci także, że jeśli rozgłosnia katowicka nie zacznie nadawać audycji gwarowych, to puszczyć w gazetce serię bengali bardzo złośliwych... A jakby i to nie pomogło, to rąbnym [!] *via* urząd list do Warszawy z 14 podpisa-

mi członków Związku Literackiego [...]. Ja się w ciuciubabkę nie będę bawił, albo chcąc dawać dalej odczyty o mydle, których nikt nie słucha... albo też będę robił wojnę”. Buńczuczna natura poety doszła do głosu również w liście z 3.12.1937 r., w którym jednak nie brakuje rubasznego autoironii: „Wściekły jestem na cały świat i basta, pewnie dobrze napiszę *Harrest*, gdyż kiedy jestem wściekły, piszę dość łunako [‘dobrze, znośnie’]. Więcej Ci się z niczego nie będę zwierzał, gdyż wszystkie listy, jakie dostajesz od gryzi-piórków, zachowujesz w specjalnym archiwum. Pieron wie, co byś jeszcze był w stanie o mnie napisać, kiedy zdechnę”. Cóż więc ponad przytoczone uwagi napisał „śląski Estreicher” po śmierci Kubisza? Nie ukrywał, że często nie zgadzał się z jego bezkompromisowymi przekonaniem. „W 30-letniej naszej przyjaźni przy zadziornym charakterze Pawła wiele było sytuacji spornych, ale zawsze dochodziło do porozumienia”. Potwierdzeniem może być początek listu z 17.06.1937 r.: „Drogi i Kochany Ludwiku! Musiałem Cię złać, sam jesteś winien, bo to wyprowokowałeś [!]. Trudno, ja jestem dosyć cięty w pysku”.

Niemniej autor *Rapsodu o Oszeldzie* nie należał do rewolucjonistów-destruktorów – jego orężem było twórcze słowo. Jak wyznawał 22.10.1936 r.: „Kiedy tak po tej długiej chorobie i szamotaniu... rozpatruję się w tych naszych stunkach za Olzą... widzę rzeczy wprost straszne. Ale wychodzę z tego założenia, że nie wybijanie okien, nie polityka robienia kariery jednostek, lecz jedynie kultura i sztuka musi wygrywać prawo polskie do Śląska”. Tu akurat Brożek podzielał jego poglądy, czemu wyraz dał wkrótce po wojnie w planowanym szkicu pod przewrotnym tytułem *Kubisz plagiatorem?* (była to polemika z sugestią pewnego krytyka). Zauważył, że w Polsce problem Zaolzia jest marginalizowany, a sztandarowy tom bohatera artykułu mimo wszystko wywołał zbyt słaby rezonans, aczkolwiek spełnia niezwykle ważną funkcję – tę właśnie, którą poeta przypisywał kulturze i sztuce. „*Przednówek* był i jest dla większości Czechów tym taranem, który na każdym kroku zda się rozbijać ich zakusy [...]. Te buntownicze wiersze o nędzy, ucisku i przesładowaniu, o twardej pracy górniczej, o pańszczyznianych góralach i chwale Ondraszkowej tworzą uciemioną epopeję wciąż poniewieranego ludu [...]. I dziś spełniają nadal swój społeczno-narodowy cel [...]. Może najlepiej przysłużyłby się społeczeństwu ten, kto by potrafił i zechciał *Przednówek* sfotografować współczesnym nurtem życia zaolziańskiego, aby całe nasze społeczeństwo zetknęło się namacalnie z głębią Kubiszowych akordów i lepiej doceniało autora *Kajdan i róż*”.

Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie do Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie na premierę spektaklu zrealizowanego przez Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina na podstawie dwóch jednoaktowych oper Giacomina Pucciniego: „Siostry Angeliki” i „Gianniego Schicchi”, obu kompletnie różnych od siebie – tragedii oraz komedii (którą tu zrealizowano wręcz z farsowym zacięciem). Warto pochwalić młodych wykonawców: śpiewaków i orkiestrę symfoniczną UMFC, sprawnie, z precyzją i energią prowadzonych przez Rafała Janiaka.

Duże brawa należą się realizatorom: reżyserce Ewie Rucińskiej, która pozytywnie zaskoczyła mnie konsekwencją i pomysłowością i Elżbiecie Tolak, której udało się stworzyć zupełnie odmienne w klimacie scenografie i kostiumy do obu części spektaklu. Ilona Molka zajęła się choreografią – nie było dziwacznych pomysłów, lecz panowanie nad dobrym układem podczas scen zespołowych. Opiekę artystyczną nad spektaklem objęli wyjątkowi artyści i pedagodzy: dziekan prof. dr hab. Robert Cieśla oraz dr hab., prof. UMFC Jolanta Janucik. Kierownictwo muzyczne spoczęło w rękach wspomnianego już Rafała Janiaka, dziekana Wydziału Dyrygentury Symfoniczno-Operowej UMFC, znakomitego dyrygenta, zapraszanego chętnie do filharmonii i teatrów operowych w Polsce, a także wybitnego kompozytora (w tym miesiącu wreszcie po prawie 3 latach przerwy będzie wznowiona w Teatrze Wielkim w Łodzi jego opera „Człowiek z Manufaktury”). Doskonale odnajduje się w gatunku operowym, świetnie prowadzi śpiewaków oraz muzyków, panując przez każdą sekundę nad wszystkimi wykonawcami.

Spektakl został zrealizowany w koprodukcji UMFC z rektorem prof. dr hab. Klaudiuszem Baranem na czele oraz TWON z dyrektorem Waldemarem Dąbrowskim. Szkoda tylko, że Opera Narodowa nie poinformowała na swojej stronie internetowej o tym wydarzeniu. Powinno to być naturalnym i czytelnym zwyczajem, aby promować młodych artystów, tym bardziej, że niektórzy z nich mogą w przyszłości stać się gwiazdami scen operowych Europy, a nawet świata. Laureaci wielu nagród (w tym Nagrody im. Bogusława Kaczyńskiego) Piotr Beczała, Aleksandra Kurzak i Małgorzata Walewska też kiedyś występowali w przedstawieniach dyplomowych w Katowicach, Wrocławiu i Warszawie.

Mroczna historia Angeliki, popelniającej w finale samobójstwo, jest opowiedziana w czarno-białej tonacji scenograficznej. Przeorysza jest wręcz brutalna, dyscyplinując zakonnicę nie tylko ostrymi jak nóż słowami, ale także wymierzając karę spoliczkowaniem jednej z dziewczyn. Symboliczna jest scena sypania płatków czerwonych róż (krew, miłość, cierpienie). Warto zwrócić uwagę na: Aleksandrę Utrącką-Skoczeń w kreacji Księżnej – okrutnej ciotki Angeliki (znakomitą wokalnie i aktorsko), Aleksandrę Wittchen w trudnej tytułowej partii (dobrą wokalnie i świetną aktorsko), Pauli-



Puccini z Janiakiem w Operze Narodowej

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

nę Krupę we wzruszającej roli Genowefy oraz Roksanę Maciejczuk jako przekonującą Przełożoną. Zespół reprezentował wyrównany poziom, a orkiestra brzmiała świetnie. Przygotowanie Angeliki do śmierci, rytuał obnażenia ramion i rozpuszczenia włosów robi wrażenie. Gdy dowiaduje się od ciotki, że jej syn nie żyje, chce pójść do niego, a wraz z popełnieniem samobójstwa cierpi potwornie, obawiając się piekła... To bardzo dobre przedstawienie.

Gdy zobaczyłem scenę przygotowaną do spektaklu „Gianni Schicchi”, miałem skojarzenie z rupieciarnią, składowiskiem rzeczy niepotrzebnych i zużytych, ale było to bardzo dobre tło dla akcji. Po śmierci starego bogacza florenckiego Buoso Donatego zjeżdżają się bliźsi i dalsi krewni, aby go opląkiwać. Gdy jednak dowiadują się, że zapisał wszystko w spadku zakonnikom, wpadają we wściekłość i knują intrygę, prosząc Gianniego Schicchi, aby udając Donatego, w obecności notariusza zmienił spadek. Przebiegły Schicchi jednak większość dóbr zapisuje sobie. Świetnie od strony aktorskiej zaprezentowali się wszyscy soliści, jednak gwiazdą wieczoru był Mateusz Michałowski, który niezwykle przekonująco i rewelacyjnie od strony wokalne wcielił się w tytułowego bohatera. Warto też pochwalić Adama Walaska w partii Rinuccia, Bartosza Kieszkowskiego jako Simona, Grzegorza Króla w partii Notariusza, Roksanę Maciejczuk jako pazerną Zitę i Wioletę Sędzik jako Laurettę, choć rola dla niej, wymyślona przez reżyserkę, polegała głównie na snuciu się po scenie. Bardzo ładnie zaśpiewała słynną arię skierowaną do Gianniego „O mio babbino caro”.

Po tym spektaklu mam kilka przemyśleń. Warto wspierać młodych artystów i realizować

przedstawienia z ich udziałem na profesjonalnej scenie. Warto zainwestować czas i pieniądze na dobrą reżyserię, scenografię i kostiumy. Warto jednak także zadbać o promocję, której było zdecydowanie za mało – nie ma śladu o tym wydarzeniu na stronie Opery Narodowej i UMFC (po premierze informacja znikła). Dwa spektakle zostały sprzedane bardzo szybko, tym bardziej, że wiele osób przybyło z zaproszeniami w ręce. Należałoby koniecznie powalczyć o obecność tych przedstawień w repertuarze Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, ponieważ są zrealizowane na bardzo wysokim poziomie. Mam nadzieję, że uda się do tego przekonać dyrektora Waldemara Dąbrowskiego, który zgodził się na koprodukcję premiery, a rektorowi UMFC prof. Klaudiuszowi Baranowi należą się duże brawa za zagwarantowanie środków, które sprawiły, że nie powstało przedstawienie „szkolne”, lecz artystyczne, broniące się na scenie im. Emila Młynarskiego, gdzie wystawiane są wspaniałe kameralne (jak na Teatr Wielki) realizacje operowe i koncerty.

Zachwycony brzmieniem orkiestry, zaprosiłem maestra Rafała Janiaka razem z prowadzoną przez niego Chopin University Chamber Orchestra na IV Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej, który otrzymał dofinansowanie od prezydenta miasta Michała Litwiniuka, Białskiego Centrum Kultury, Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego. Wstępną tę wspaniałą orkiestrę 3 lata temu na festiwalu przyciągnął trzy tysiące widzów, którzy zęgnali warszawskich muzyków i śpiewaków operowych długą owacją na stojąco. Mam nadzieję, że podobnie będzie we wrześniu. ■

Chwila w żywiole zdarzeń

WOJCIECH LIPOWSKI

W końcu po latach tułaczki Odys powrócił do domu. Przy stole siedzieli już, dziwnie obojętni wobec niespodziewanego gościa, wierna żona i dorosły syn. Właściwie powrócił, by rozpocząć kolejną wyprawę, tym razem w głąb siebie, szlakiem wielu historii, różnych doświadczeń. Stało się tak, jakby świat znalazł się w związku z tym powrotem, w stanie metamorfozy, jakiejś iluzji, gdzie każda chwila to odbicie zmiennej, pełnej wrzenia rzeczywistości, trudnej do unieruchomienia, uciekającej prawdzie, nie-trwałej. Przybycie pielgrzyma przypominało figurę powtórzenia, bo tylko ono mogło nadać sens, umożliwić zagranie całej gamy doświadczeń czasu przeszłego. Nieoczekiwanie, przewodnikiem po tym świecie stał się spotkany na nowo Telemach. To on opisze wszystko, co znalazł w bagażu przeżyć ojca, podąży jego śladem ukrytym w pamięci i wyobraźni, sprawi, biorąc go symbolicznie na swe barki, że wszystkie okruciny zwierciadła odbijającego wspomnienia człowieka, zostaną wmontowane w większą całość, porządek, pomoże nam uwierzyć, że nic nie przepadnie, a każdy fragment ma swoje znaczenie.

Zasiedliśmy w ten sposób na jednym z wolnych krzeseł przy stole znajdującym się w domu, do którego powrócił Odys. To właśnie w tej przestrzeni najnowszego spektaklu Agaty Dudy-Gracz *Odys i świnie*, czyli opowieść mitomana, którego premiera odbyła się w Teatrze Śląskim, nastąpi konfrontacja odwiecznego mitu powrotu z rzeczywistością, historycznych obrazów z kontekstem współczesnym, obyczajowością, postrzeganiem rodzimych rzeczywistości w perspektywie dylematów antycznych bohaterów. To będzie także dla widzów zderzenie z pytaniem o nasze miejsce w tej całej historii, nasze, czyli polskie, lokalne. Będziemy rozpamiętywać i zestawiać to, co spotkamy między czasem dokonanym i rzeczywistym, świadomością wszystkiego, co stało się i staje naszym udziałem a sprawami, które nigdy już nie zostaną załatwione. Autorka tekstu zdaje się już od pierwszej sceny tego ogromnego fresku, jaki stworzyła na scenie, zwracać uwagę, że jesteśmy odpowiedzialni – podobnie jak postaci dramatu – za każdą chwilę naszej zbiorowej i prywatnej egzystencji. Dlaczego? Bo we wspomnianej figurze powtórzenia losu i trudnych doświadczeń Odysa powracamy do siebie, własnych, skrywanych wstydliwie bólów i powoli stajemy się jednością.

Zawiodą się ci, którzy pomyślą, że Duda-Gracz uraczy nas w Śląskim kolejną wersją losów bohaterów *Odysei* Homera. Nic bardziej mylnego. Dzieło greckiego wędrownego epika jest tylko pretekstem, kluczem do budowania ogromnej, wielowarstwowej historii, skłaniającej widza, by z rzeczy zapamiętanych z lektury eposu, budować jakiś inny, odmieniony kształt.

Najprościej, rzecz jasna, odczytać ów powrót do domu w kontekście odniesień do polskiej rzeczywistości. Przecież Telemach z ojcem na swych plecach, wędrując od jednej sceny do drugiej, przemierza także karty historii naszego kraju, zbiorowych doświadczeń, obyczajowości, licznych wad, momentów dziejowych jak

i najbardziej współczesnych. Wszystko to w imponujących, malarskich, pulsujących barwą, rytmem, muzyką obrazach. Czego tam nie ma: rozliczenia z wojenną przeszłością pełną chwały, ale też przemocy i brutalności (Duda-Gracz bardzo udanie wyraziła to cytatem z Churchilla i sceną upokorzenia przez zwycięzców pokonanego króla), echa socrealistycznych uniesień budowniczych naszego szczęścia, pieśni opozycji walczącej z komunistycznym systemem, symbole wolnej, ale pogubionej w sporach ojczyzny, pomiędzy tym Rota, Oda do radości, krzyk panny młodej żegnającej wyruszającego na wojnę męża; hymn amerykański, sprawy i ludzie przegrani, bohaterowie i rycerze, upadli patrioci i zwykłe szumowiny,



fol. Przemysław Jendroska



zadowoleni i zawiedzeni, przedmiotowe traktowanie kobiet powracające w scenach pełnych przemocy wobec nich, brutalnych ogniskujących się w postaci Kassandra poniżanej, wyszydzanej, gwałconej, sponiewieranej. Nieustanny kontrast, brak chwil oddechu i ciągle poczucie niepokoju, jaki reżyserka, podtrzymuje każdą z kolejnych, odgrywanych w zawrotnym tempie scen. My i świat, sprawy lokalne i problemy współczesności. Czasem powstaje pytanie, czy nie za dużo autorzy tego widowiska chcieli zmieścić w jednym spektaklu?

Przyjęty przez Agatę Dudę-Graczą myśl kompozycyjny najnowszej sztuki sprawił, że widz ma nieustanną pokusę, aby zestawiać rzeczy przeszłe i teraźniejsze oraz układać je w nowych, nieoczekiwanych porządkach. Zarówno te zaczerpnięte ze świata realnego, jak i antycznego źródła. Można powiedzieć, że w ten sposób dokonuje się niejako transfiguracja różnych planów – przeszłych i teraźniejszych – w ciąg obrazów, bardzo atrakcyjnych estetycznie, wspartych bez wątpienia malarską wyobraźnią twórczyni, ale funkcjonujących już na innych zasadach a czasem w odmiennym kontekście i znaczeniu. Wydaje się, że w tym ogromnym malowidle symboli, jaki powstał na potrzeby widowiska, chodziło także, by nie tylko wyrazić przemyslenia i niepokoje artyści, ale też nieco uporządkować świat, porządkować i zebrać w całość wszelkie obawy, z jakimi mamy do czynienia w najbliższym otoczeniu społeczno-politycznym.

Wspomnijmy zatem najbardziej przejmujące obrazy spektaklu. Na pewno wielkie wrażenie wywarł na wszystkich fragment odnoszący się do aktualnego tematu uchodźców. Utrzymany w nieco ironicznym, momentami śmiesznym ujęciu przedstawia emigrantów koczujących na granicy nieosiągalnego raj. Po drugiej stronie muru popularne ikony, turyści, Kaczor Donald i człowiek przypominający Chrystusa, wszyscy niechętni obcym, ale bezpieczni, oddzieleni, spokojni, usprawiedliwieni na swych leżakach, bo łaski wstąpienia do raj. dostąpi tylko jeden, wybrany z oczekujących, pasujący do porządku ich świata oraz sumień. I druga, najlepsza scena Odysa, przypominająca nieco fragmenty Rzymu Felliniego. Gdy Telemach wraz z ojcem zawitają do Lotofagów staną przed grupą hierarchów, niewinnych tylko w bieli szat, żalonych w pantomimie grymasów, pod którymi czai się kłamstwo i manipulacja, broniących dostępu do milczącego, zagrożonego w myślach papieża. Ta polemika i jednocześnie oskarżenie skierowane w stronę środowiska wstrząsanego skandalami, angażującego się w politykę, moralizującego innych, prowadząc jednocześnie niemoralne życie jest przejmująca, ma ogromną siłę rażenia, a wręcz charakter parodii, szczególnie we fragmencie, gdy na głowy duchownych spa-



dają dziecięce buciki niczym dokuczliwy deszcz win. Mamy także w tym kontekście nawiązania do znanych instalacji artystycznych przedstawiających papieża: pamiętamy jego figurę przygniecioną przez meteor autorstwa Maurizia Cattelana, natomiast Jerzy Kalina wyobraził postać, która owemu meteorowi nie pozwala spaść na ziemię.

Wartość artystyczna spektaklu zawarta jest także w jego formie. Dwanaście stacji wędrowki Odysa i Telemacha to teatr niezwykle plastyczny i pojemny w znaczeniu, posługujący się w większym wymiarze obrazem niż tylko słowem. Pobrzmiewają w nim zapewne inspiracje tradycją teatralną zaczerpniętą z twórczości Tadeusza Kantora, szczególnie w scenach-korowodach postaci przemierzających rozległe przestrzenie znaczeń dziejowych i mentalnych. Obrazy sceniczne tworzą na równych prawach ludzie i otaczające ich przedmioty. Imponujące, wypełnione treścią kompozycje poszczególnych scen stwarzają, nieoczywiste rekwizyty zwykłej codzienności: walizka, dziecięcy wózek, mundury, husarskie skrzydła, zmienione, przemalowane, o innym statusie niż wyznaczyło im przeznaczenie. Wszechobecna biel postaci z wyjątkiem czarnego stroju Telemacha również tworzy znaczenie symboliczne. Nie koniec na tym. Jak nigdzie indziej u tej artystki ważnym elementem narracji jest światło. Katarzyna Łuszczuk tworzy w tym względzie osobne byty, jak choćby w scenie rodzinnych fotografii, gdy odgłos migawki aparatu wybrzmiewa naszym złowieszcze memento antycypujące niedalekie tragiczne zdarzenia.

Widzowie tego mieniącego się różnorodnością dzieła zetkną się także z nieustanną żonglerką cytatami z tekstów kultury, licznymi, zaskakującymi nawiązaniami do zjawisk popkultury, tasowaniem konwencji, gatunków, czasem teatralną publicystyką. Wspomnieć tylko odwołania do romansu, epopei. Odys będzie świadkiem ukrzyżowania, Telemach spojrzy na rzeczywistość zaczerpniętą z typowego produkcyjniaka zeszłej epoki, a Kirke przeżyje romans odsyłają-

cy za sprawą cytatu muzycznego do słynnych Nocy i dni. Można odnieść wrażenie, że tylko w ten sposób można dziś przekonująco opowiadać o naszej teraźniejszości i przeszłości, nadając przy tym fabułą mitycznym nowe znaczenia.

Najnowszy utwór sceniczny Agaty Dudy-Graczą to także przestrzeń ciekawych możliwości artystycznych dla aktorów Teatru Śląskiego. Każda ze scen to w zasadzie osobny, autonomiczny fragment. Cały zespół wykazał olbrzymią sprawność budując kolejne plastyczne obrazy tej wielowątkowej, trudnej interpretacyjnie opowieści. Bartłomiej Błaszczczyński w roli Odysa odnalazł potrzebny tej postaci dystans, grając swego bohatera w pełnej amplitudzie przeżyć i doświadczeń, Michał Rolnicki znakomity Telemach skoncentrowany na opowieści i podążaniu śladami doświadczeń ojca, próbuje wszystko składać na nowo w inny kształt niczym strażnik Wielkiego Powrotu i pamięci tak ważnej dla zachowania tożsamości. Niezwykła, witalna Kasandra Anny Lemieszek, przejmująca Alina Chechelska w roli Penelopy, kipiąca erotyzmem Kirke Kariny Grabowskiej, czy poruszające sceny z rodzicami Odysa – Katarzyną Brzoską, matczyną, pełną troski i Arturem Święsem Laertesem strzępem ludzkiej rozpaczy w obliczu rozpadu dawnego świata; będą z pewnością długo pamiętane przez widzów.

Gdy opowieść o domu, rodzinie, ojczyźnie i jej historii, dokonany powrocie dobiegnie końca, ostatni obraz wygaśnie. Telemach usiadzie przy posłaniu umierającego Odysa spojrzy przed siebie w zakrytą mrokiem dal i nie powie nic więcej, bo będzie wiedział, że wszystko, co ożywiło jego pamięć i wyobraźnię, choć trwało tylko chwilę, zostało wyrwane z pewnej całości, której już nie da się zapamiętać. ■

Odys i świnię, czyli opowieść mitomana

**Tekst, reżyseria, scenografia i kostiumy Agata Duda-Gracza
Premiera 29 kwietnia 2022
Teatr Śląski w Katowicach**

Koty miauczą w Chorzowie

MARCIN HAŁAŚ

Teatr Rozrywki w Chorzowie jest drugą w historii polską sceną, na której wystawiono jeden z najważniejszych musicali wszech czasów. Chodzi o „Koty”.

Warto podkreślać: chorzowska „Rozrywka” to drugi – po warszawskiej „Romie” (premiera w 2004 roku) – teatr w Polsce, który zrealizował „Koty”. I nie chodzi bynajmniej o to, że zdecydował się na takich wybór repertuarowy, bo w takim przypadku samo chciejstwo nie wystarczy. Trzeba najpierw otrzymać licencję, a dostać ją może tylko scena, dająca pewność, że legendarnego tytułu „nie sknoci”.

Zacznę od deklaracji, której być może nie powinienem tu składać. Otóż nie jestem fanem musicalu „Koty”. Jeśli Andrew Lloyd Webber, to „Jesus Christ Superstar” i „Evita”, dopiero potem i bez entuzjastycznego zachwyty „Koty”. Brak akcji, linearnie opowiedzianej historii, sprawa, że dzieło to należy traktować w kategoriach musicalowego koncertu. Koty na dorocznym balu opowiadają o sobie i niekłym losie „dachowców” w formie piosenek. Nie chodzi o to, że nie lubię osobnych monologów – wysoko cenię, *toutes proportions gardées*, „Umarłych ze Spoon River” Mastersa, ale „Koty” Eliota (a ten cykl wierszy stał się literackim fundamentem musicalu) już mnie nie tak porywają.

Równocześnie zdaję sobie sprawę z miejsca, jakie miejsce musical ten zajmuje w historii swego gatunku. Pamiętam z czasów „złotej epoki” Teatru Rozrywki jedną z konferencji prasowych dyrektora Dariusza Miłkowskiego, który z nutą żalu mówił, że wspólnie z Marcelem Ko-

chańczykiem wystawili wszystkie najważniejsze światowe musicale, oprócz „Kotów” właśnie. Bo przecież zrobili „Skrzyżka na dachu”, „Jesus Christ Superstar”, „Evitę” i „Cabaret”, a „Kotów” nie zdołali.

To jedyne niespełnione programowe marzenie „złotej epoki” Miłkowskiego i Kochańczyka Teatr Rozrywki urzeczywistnił teraz pod dyrekcją Aleksandry Gajewskiej. W obsadzie znalazło się grono aktorów występujących gościnnie, bo solistów wybrano w ogólnopolskim castingu. Całość wyreżyserował Kuba Szydłowski, który przed laty grał Ram Tam Tamka w polskiej prapremierze „Kotów”. Nad stroną muzyczną przedstawienia czuwała doświadczona Ewa Zug.

Najpierw pochwały. W Chorzowie nieustannie potrafią robić wielkie, pełne rozmachu widowiska. Takie, na których teatralnie, plastycznie, przysłowiowa „mucha nie siada”. Teatr Rozrywki potwierdza, że jeśli chodzi o musicale wciąż pozostaje jedną z wiodących scen w naszym kraju. Jego „Koty” mogą się podobać i mają pełne szanse oraz prawo zbierać pochwalne recenzje (co zresztą już zrobiły).

A teraz szczypta marudzenia. Na samym początku byłem pod wrażeniem doskonałej charakteryzacji. Ale w drugim akcie, zdałem sobie sprawę, że ta świetna pod względem rzemieślniczym i plastycznym (tak makijaż, jak kostiumy) charakteryzacja jest równocześnie niezwykle dosłowna. Tak dosłowna, że najlepiej pasująca do... widowiska dla dzieci. Kot musi wyglądać jak kot, żadnej metafory, otwarcia miejsca dla wyobraźni widza. Po prostu: kawa na ławę (choć

być może w czasach, kiedy Makbet biega po scenie z dredami na głowie i ajfonem w rękę jest to jakaś solidna wartość). Chociaż w tej kociej dosłowności zdarzają się też potknięcia. Na przykład Nestor wygląda raczej na stare drzewo – Króla Lasu niż na najbardziej nawet wypasione kocura.

Bogiem a prawdą, to nie wiem, czy miała to być opowieść tylko o kotach, odprawiających swój doroczny bal w lokalnym, śląskim, postindustrialnym klimacie, czy też realizatorom chodziło o coś więcej, bo w dobrym teatrze zawsze powinno chodzić o coś więcej niż to co zawarte zostało w tekście albo libretcie. Czy te „Koty” mają nam przekazać również jakiś okruszek wiedzy o ludziach i ich losie? Czy też skupiają się tylko na opowieści o kotach in extenso, takiej dla dzieci i wielbicielek tych zwierząt, które przecież tak uwielbiają każdego kotunia personifikować.

Spektakl jest bardzo dobry pod względem choreograficznym (brawa dla Jarosława Stańka i Katarzyny Zielonki), niestety pod względem wokalnym zrobił na mnie gorsze wrażenie. Jakby za mało było wyrazistości, charyzmy. Czyżby dlatego, że spod grubej warstwy makijażu i szminek trudniej jest wydobyć na zewnątrz i pokazać coś, co nazywamy osobowością, indywidualną ekspresją? Chyba nawet Wioletta Białk zaśpiewała gorzej niż do tego przyzwyczaiła. A jeśli chodzi o inne partie solowe – odniosłem takie, być może niesprawiedliwe, wrażenie, że niektórzy soliści „Kotów” w „złoty czasach” Teatru Rozrywki zajmowałyby raczej miejsca chórzystów.

Te uwagi oczywiście nie powinny przysłonić ogólnej oceny: w Chorzowie zrobiono bardzo dobry spektakl, który z pewnością będzie musiał być brany pod uwagę przez jurorów kolejnej edycji Złoty Masek. Tak się jednak złożyło, że kilkanaście dni przed premierą „Kotów” odświeżyłem sobie nową (premiera: marzec 2019) chorzowską realizację legendarnego „Cabaretu”. I gdybym dzisiaj miał iść raz jeszcze na któreś z tych przedstawień, bez chwili wahania wybrałbym „Cabaret”. Ale jeżeli ktoś ma „dzieciomłodzież” i chce pokazać latoroślom jak wygląda teatralne widowisko muzyczne – niechaj wali na „Koty” jak w dym. Niech na „Koty” bez chwili wahania idzie także każdy, kto oczekuje od teatru rozrywki. W końcu instytucja w Chorzowie nazywa się Teatr Rozrywki. ■



Laury dla aktora

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Co łączy Henryka Talara – wybitnego aktora teatralnego i filmowego z Edwardem Budnym, zasłużonym dla polskiego sportu biegaczem i trenerem narciarskim oraz prof. Krzysztofem Jędrzejko, znanym botanikiem, autorem licznych opracowań naukowych na temat flory leczniczej Śląska? Każdy z nich urodził się w Kozach, miejscowości u podnóża Beskidów, w powiecie bielskim.

To obecnie największa pod względem liczby ludności (13 tys. mieszkańców) wieś w Polsce. Na jej terenie znajdują się, co warto odnotować, aż trzy przystanki kolejowe (Krzemionki, Kozy, Zagroda). W przeszłości wieś była historyczną częścią Księstwa Oświęcimskiego. W następstwie XVIII-wiecznych rozbiorów Polski wchodziła natomiast w skład zaboru austriackiego. Współcześnie organizowana jest w Kozach cykliczna impreza o oryginalnym charakterze – Święto Wiatru Halnego (widowiskowe zawody latawcowe).

Wiejskie okno i... media

W latach powojennych mały Henio wglądał przez okno w domu swojej babci w Kozach, zastanawiając się, dokąd właściwie jadą te wszystkie furmanki, skoro we wsi jest tylko jedna droga. Po latach dorosły Henryk Talar, rozślawiony już na dobre telewizyjną popularnością odebrał uroczystość w miejscu swoich narodzin urzędowe dokumenty, potwierdzające przyznanie mu Honorowego Obywatelstwa Gminy Kozy.

Stało się to na początku maja, w Domu Kultury w Kozach. W wypełnionej tłumnie sali pojawili się liczni mieszkańcy „Małej Ojczyzny” sławnego aktora, który jest bez wątpienia jednym z najbardziej znanych kozian w historii. Uroczystość z jego udziałem zorganizowano z powodów pandemicznych dopiero teraz, po blisko dwóch latach od podjęcia w czerwcu 2020 uchwały Rady Gminy o uhonorowaniu artysty zaszczytnym tytułem.

Cenny dorobek

Henryk Talar (ur. 25 czerwca 1945) słynie nie tylko ze wspaniałych ról scenicznych, telewizyjnych, filmowych i dubbingowych, ale również z owocnego pod względem artystycznym kierowania teatrami w Częstochowie (1994–1997) i Bielsku-Białej (1997–1999). Występował m.in. z dużym powodzeniem na scenach dramatycznych w Szczecinie, Kaliszu i Warszawie. Jego niektóre role filmowe i telewizyjne przeszły do historii rodzimej kinematografii. Dał się poznać z niezwykłych kreacji w: „Soli ziemi czarnej” Kazimierza Kutza (1969), serialu „Polskie drogi” Janusza Morgensterna (1976–1977), nieśmiertelnej komedii „Kochaj albo rzuć” (trzecia część dziejów wiejskich rodzin Kargula i Pawlaka z 1977 roku) oraz w fil-

mach „Prymas – trzy lata” w reżyserii Teresy Kotlarczyk (2000), „Kler” Wojciecha Smarzowskiego (2018) i „Pętla” Patryka Vegi (2020). Zagrał również całkiem niedawno w interesujących serialach „Leśniczówka” (o tematyce obyczajowej) i „Archiwista” (tajemnicze zagadki kryminalne).

Samorządowcy na scenie

Henryk Talar przyjechał do Kóz z Komorowa, mazowieckiego miasta-ogrodu, w którym obecnie mieszka. Sympatycznym akcentem majowej uroczystości było wręczenie mu okolicznościowych dokumentów i kwiatów przez miejscowych samorządowców – wójta Jacka Kalińskiego i przewodniczącego Rady Gminy, Miłosza Zelka (na zdjęciu). Wzruszające słowa uznania pod adresem Honorowego Obywatela Kóz przekazali ponadto przedstawiciele lokalnego środowiska artystycznego. Ogromne zainteresowanie uczestników spotkania wzbudził wyświetlony na ekranie film telewizyjny z ciekawym wywiadem, przeprowadzonym przez dokumentalistkę – Martę Perchuć-Burzyńską. Zdołała ona wydobyc od aktora niezwykle szczerze zwierzenia artystyczne. Podobny charakter miała potem rozmowa Talara z publicznością.

Jej istotną część stanowiła opowieść artysty o szkolnych latach w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Bielsku-Białej. Rodzice młodego Talara widzieli go bowiem w zupełnie innej roli życiowej – specja w zakresie obróbki skrawaniem.

Matematyczne perypetie

Traf chciał, że Talar zetknął się w tej właśnie szkole z niekonwencjonalnym nauczycielem matematyki, Tadeuszem Lubowskim, ojcem niżej podpisanego (rozmowa z Henrykiem Talem: „Śląsk”, nr 4/2021). Ów nauczyciel w zasadniczy sposób wpłynął na późniejsze losy swojego ucznia, który został ostatecznie aktorem, a nie technikiem-mechanikiem o specjalności „obróbka skrawaniem”.

– Zdarzało mi się niekiedy uciekać ze szkolnych lekcji, by recytować wierszyki w śródmiejskim Domu Kultury Włókniarzy. W trakcie jednej z imprez w tej placówce zobaczyłem z przerażeniem na widowni naszego pana od matematyki. W programie tamtej imprezy była recytacja wierszy Galczyńskiego. Wiedziałem, że następnego dnia ma być w szkole lekcja matematyki. W domu nie mówiłem nic o swoim przerażeniu, sugerując tylko, że trzeba będzie może zmienić szkołę. Ale nie doszło do takiego radykalnego rozstrzygnięcia. Skończyło się na tym, że na każdą kolejną lekcję matematyki przygotowywałem nowy wiersz Galczyńskiego, bo profesor uwielbiał jego twórczość. Dzięki temu patrzył przez palce na moje niedostatki wiedzy matematycznej. Moja późniejsza decyzja o przystąpieniu do egzaminów wstępnych w krakowskiej uczelni teatralnej była naturalnym następstwem poczynań mojego wspaniałego nauczyciela matematyki – opowiadał Talar zaskoczony, ale zarazem rozbawionej publiczności koziańskiej. ■



Henryk Talar otrzymuje dyplom Honorowego Obywatela Gminy Kozy

Jak zostałem noblistą?

fragment większej całości

ADAM LIZAKOWSKI

Jesień roku 1988 była dla mnie bardzo pracowita, wcześniej złożyłem podanie o amerykańskie obywatelstwo do Urzędu Imigracyjnego w San Francisco, dlatego musiałem przygotowywać się do egzaminu ustnego i pisemnego. Dużo czasu spędzałem na czytaniu różnego rodzaju skryptów, książek, broszur dotyczących konstytucji i historii stanu Kalifornia, w której mieszkałem i Ameryki. Tej najnowszej i tej najstarszej historii z czasów wojny z Anglikami. Egzaminy zdałem bezbłędnie i powstała możliwość, że zanim zostanę oficjalnie zaproszony na przysięgę, a tam otrzymam certyfikat stwierdzający, że jestem obywatelem amerykańskim, zanim złożę podanie o paszport mogę zmienić swoje polskie nazwisko na jakieś amerykańskie. Na przysięgę czekało się wtedy kilka miesięcy, ale ja nie mogłem się zdecydować, czy zostać przy swoim nazwisku polskim, czy wymyślić sobie coś amerykańskiego.

Sugerowali mi urzędnicy imigracyjni, a nawet zachęcali, do zmiany nazwiska, tłumacząc mi, ile miałbym korzyści z amerykańskiego, nawet to, że będzie Amerykanom łatwiej wymawiać je, poza tym będę miał o wiele mniej kłopotów w życiu codziennym. Prawdę mówiąc w duchu zgadzałem się z nimi, wiele razy byłem zmęczony pytaniami: How do you spell your last name? Are you Russian? Where is Poland? Sam wiele razy miałem ochotę zmienić Lizakowski na amerykańskie np. Lickman lub Litopon. Nowe życie w nowym kraju, dobrze byłoby rozpocząć z nowym nazwiskiem. Tak robiło przede mną miliony Polaków, miliony emigrantów ze wszystkich kątów świata. Długo o tym myślałem, ale żadne mi się nie podobało, ani też żadne oryginalne nie przychodziło mi do głowy. Z tłumaczem mojej poezji Richardem, którego ojciec weteran II wojny światowej zmienił swoje polskie nazwisko na amerykańskie (bardzo dużo tłumaczyliśmy mojej poezji na angielski, bo Richard sam, beze mnie nie tłumaczył) zastanawialiśmy się, co by tu wybrać, aby nazwisko było i piękne, i poetyckie. Studiowałem wtedy dziennikarstwo na City College of San Francisco, przygotowywałem się do wydania następnego tomiku po angielsku, i siłą rzeczy sporo wysyłałem wierszy do amerykańskich pism literackich z różnym skutkiem. Miałem wrażenie, że miałbym więcej publikacji, gdybym miał amerykańskie nazwisko.

Był koniec XX wieku i Polacy w Ameryce byli inaczej przestrzegani niż w XIX, czy na początku XX wieku. Teraz był polski papież, była „Solidarność”, sporo sympatii dla Polaków. To już nie ta Ameryka, w której Polak był przedstawiany jako idiota w dowcipach, ale mimo tego, myślałem o zmianie nazwiska. Po co komu taki poeta, którego nazwiska nawet nie można wymówić. Przy okazji zacząłem z ciekawości w miejskiej bibliotece doszukiwać się, szperać w książkach, czy są jacyś Lizakowscy w Ameryce i okazało się, że są, i to sporo ich. Najwięcej przybyło w drugiej połowie XIX wieku i to z Kaszub, a osiedlali się głównie w stanach bardzo zimnych na północy Ameryki, w Wisconsin, Minnesocie, Dakocie.

W październiku tego roku odbyła się w śródmieściu w Berkeley w siedzibie YMCA promocja najnowszego numeru poetyckiego pisma *The Galley Sail Review*, w którym była zamieszczona moja twórczość poetycka. Magazyn ten należał do tak zwanej grupy *little magazines and small presses* (nawet nie wiem jak to przetłumaczyć na jęz. polski). Prasa lokalna dużo o tym pisała, a w komunikatach prasowych obok nazwisk miejscowych poetów było zamieszczone także moje.

Szczęśliwy zadzwoniłem do pana Czesława, aby się pochwalić, że będę czytał swoje wiersze podczas promocji pisma z wieloma gwiazdami lokalnej sceny poetyckiej z San Francisco, Oakland, czy Berkeley m.in. z: Jaimes Alsop, Jack Mueller. Mary Rudge, H.D. Moe, Robert Sward, Morton Felix, oraz beatnikiem Jackiem Muellerem. Pan Czesław już wiedział o tym spotkaniu, pogratulował mi, ale nie miałem odwagi zaprosić go na nie, chciałem tylko się przed nim pochwalić. Jakie było moje zdziwienie (chyba los tak chciał), gdy podczas mojego właśnie czytania wierszy w drzwiach YMCA pokazał się kosmita pan Czesław oraz Carol (przyszła żona poety). Miłosz kosmita ubrany jak zawsze w marynarce, wełniany krawat, wygolony, wyczyszczone buty, jasna wyprasowana koszula i spodnie. Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi, jakoś chłodnie, ale się nie przestraszyłem jego wzroku.

Powstało małe poruszenie, gdybym nie czytał, to bym wstał, podszedł do niego i zaprosił, aby usiadł w pierwszym rzędzie, a tak pan Czesław usiadł sobie skromnie na końcu sali. Oczywiście poeci amerykańscy, beatnicy, lub poeci z kręgów beatników, tak samo byli zdziwieni jego obecnością jak ja. Oni byli ubrani w jakieś stare znoszone ubrania, w stare jeansy, przetarte na tyłkach i kolanach, w rozciągniętych swetrach lub w koszulach flanelowych wypuszczonych na spodnie. Z pierścieniami po kilka na każdej ręce, z indiańskimi wisiorami na szyjach i przegubach rąk. (Amerykanie dużo mniej poświęcają uwagi wyglądowi zewnętrznemu niż Polacy). Polski poeta w krawacie był im znany z nazwiska, ale tylko niektórzy go widzieli na własne oczy, potrafili rozpoznać w tłumie. Ci, co go znali, zaczęli szeptać jeden do drugiego, noblista przyszedł, noblista przyszedł. Miłosz był poetą akademickim, a oni byli poetami ulicznymi tzw. street poets. Nic ich nie łączyło ze światem Miłosza i odwrotnie. Oni czytali wiersze w pubach i kawiarniach, na skrzyżowaniu ulic i w parkach, a on na kampusie uniwersyteckim lub uznanych „biznesowych księgarniach”, które rzadko, kiedy miały na swoich półkach tomiki wierszy poetów ulicznych, chyba, że księgarnia miała półkę z książkami tzw. *local poets*. On sprzedawał w księgarniach swoje tomy wierszy po 20, 30 dolarów, a oni po 3 lub 5 dolarów w barach. Często oddawali swoje tomiki za filiżankę kawy, piwo lub lampkę wina każdemu, kto był gotów zapłacić za trunek.

Akademia i ulica to dwa kosmosy poetyckie. Nie natrafiłem jednak na obecność polskiego poety w życiu literacko – poetyckim u poetów ulicznych mieszkających nad Zatoką San Francisco, łącznie z będącymi u szczytu sławy poetów z *beat generation*. Co wcale nie oznacza, że o Miłoszu nie słyszeli, albo go nie znali. Pan Czesław mieszkał w Berkeley od roku 1960, czyli już prawie 30 lat, a to „kawał czasu”. Jak już wyżej napisałem, słyszeli i to bardzo dużo słyszeli o nim, był ceniony jak tłumacz, jak wykładowca, ale jego europejska poezja i to, co robił, była im obca. Natomiast ku mojemu całkowitemu zdziwieniu na licznych spotkaniach poetyckich, w których uczestniczyłem, gdy przedstawiałem się, że jestem z Polski, gdy rozmowa schodziła na temat literatury, poezji, pytało mnie, proszono kilka razy o recytację wiersza Tadeusza Różewicza pt. *W środku życia*. Ja tego wiersza z Polski nie pamiętałem, ale Amerykanie znali tłumaczenie Miłosza i chcieli usłyszeć go po polsku, tak bardzo im się podobał, albo przypadł do serca, do końca nie wiem dlaczego, choć można się domyślać, dlaczego.

rys. Agata Gromada



Wiersz znalazłem w San Francisco Public Library, było kilka półek z książkami polskimi. Było sporo Mrożka, polskiej klasyki i tomiki wierszy Różewicza. Piszę to dla tych osób, które z błyskiem w oku pytają się mnie o popularność Miłosa w Ameryce przed i po Noblu. Także dla tych, co w życiu nie kupili tomiku wierszy, nie byli na spotkaniu poetyckim, ale zadają takie i podobne pytania, myślą, że popularność poety w Ameryce, w świecie jest równa popularności gwiazd filmowych. Dostał Nobla, to musiał być znany – tak wciąż wielu myśli – sławny przede wszystkim zbił majątek na poezji, itp. Aby podeprzeć się mocnym argumentem zacytuję samego poetę, który tak pisze o sobie: *O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie wzmianka w czterdziestym tomie encyklopedii w pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse*. Jak widać poeta dobrze wiedział o małej roli poezji, zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i poezji w świecie współczesnym.

Hippisi-poeci w San Francisco nie znali poetów polskich, ani nie interesowali się na tyle poezją ze Wschodniej Europy, która dla nich była tak samo spostrzegana jak przez Polaków dorzecze Amazonii. O pani Szymborskiej wtedy właściwie nikt nie słyszał, twórczości Herberta była spostrzegana jako wtórna, bo Herbert był dla nich taki „kieszonkowy” Konstandinos Kawafis. (Chociaż na północ od San Francisco, w stanie Oregon, było wydawane pismo *a little magazine* z bardzo dziwnym tytułem „*Mr. Cogito*”, w którym też zamieszczałem swoją twórczość, a jego redaktorem był John Gogol, który pokochał twórczość Herberta całym sercem, który tłumaczył z polskiego na angielski).

Różewicz najbardziej do niech przemawiał, hippisi uwielbiali tę zwrotkę:

siedziałem na progu domu
ta staruszka która
ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza

i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójcą

Ale wracajmy do spotkania poetyckiego, moja koleżanka Mary Rudge, która była moim przewodnikiem po scenie poetyckiej w S.F. Bay Area wtedy zaniemówiła. Po spotkaniu poszliśmy na piwo, tak jak to było w zwyczaju. W pubie po dwóch piwach Mary odzyskała głos, przy wszystkich obecnych oznajmiła, że poeta Czesław Miłosz noblista przyszedł specjalnie na to spotkanie dla mnie, a dlaczego, bo moja twórczość bardzo mu się podoba. Pochwaliła mój amerykański akcent, mówiąc, że prawie wszystko zrozumiała, co przeczytałem, a po chwili dodała, kto wie, czy nie słuchaliśmy wierszy następnego polskiego noblisty, wznosząc wysoko w górę rękę z butelką piwa, patrząc w moją stronę. I stało się, od tego czasu zostałem noblistą, nikt nie mówił mi po imieniu, tylko noblista. Pół biedy było, gdy przedstawiała mnie Amerykanom, mówiąc: Adam, poeta, noblista, ale gdy w towarzystwie byli Polacy na przykład w *Cafe la Boheme*, to był dla mnie koniec świata.

Przypomniałem sobie tę historię o szukaniu nazwiska amerykańskiego, trzydzieści lat później, gdy powróciłem do Polski na stałe i szukam swojego miejsca na ziemi, z polskim dowodem osobistym wystawionym na nazwisko Adam Lizakowski. Co by się stało, gdybym został Adamem Noblem? Dobrze, że skończyło się na tym, że zostałem przy nazwisku swojego ojca i przodków, którzy na Kaszuby przybyli w połowie XVIII wieku z Holandii (teraz wiem, że jest to udokumentowane w księgach parafialnych na Kaszubach) i głupio bym się czuł, gdybym po dwustu latach, wielu generacjach Lizakowskich zaparł się siebie. ■

Nie bajka o Kopciuszku

EDWARD WIECZOREK

Co łączy dzielnicę Rudy Śląskiej – Rudę, bytomskie Szombierki, ruiny zamku w Chudowie i Kopice w województwie opolskim? łączy je osoba Joanny Gryczik (Gryzik) z podzabrzańskiej Poręby. Jej niesamowita kariera przypomina znaną bajkę o Kopciuszku, choć bajką nie jest

Zaczął się od Goduli

A zaczęło się od kariery jej dobroczyńcy – Karola Goduli, nazywanego śląskim Królem Cynku, który dorobił się olbrzymiej fortuny. Nie był lubiany przez otoczenie, a w niektórych kręgach był wręcz znienawidzony. Ludzie bali się go, ponieważ był osobą tajemniczą, a do tego fizycznie oszpeconą. Nie ufał też swojej rodzinie, podejrzewając ją o miłość wyłącznie do jego fortuny. Być może niechęć do Goduli powodowała też zwykła bezinteresowna ludzka zawiść, być może apodyktyczna postawa, o której wspomina Norbert Bonczyk w „Starym kościele miechowskim”: *Wiedział jak użyć ziemi, bydła, ludzi, świata; / Kto się nie bał Goduli, bał się jego bata; / Jego rozum i praca były te zagony, / Z których na podziw świata żął swe miliony...*

Mała Johanka

Jedna tylko zapewne osobka nie bała się ani Goduli, ani jego „bata” – urodzona w 1842 r. Johanka (Joanna) Gryczik. Jej matka Antonina była służącą w domu Karola Goduli. Po śmierci ojca Joanny, matka zwróciła się o wyznaczenie przez sąd prawnych opiekunów dla jej córek. Opiekunami Joanny zostali: Jan F. Finckler (szychtmistrz) i przyjaciółka rodziny Emilia Lucas, ochmistrzyni Goduli. Według legendy powielanej w XIX-wiecznych niemieckojęzycznych powieściach brukowych i ich polskich odpowiednikach, pewnego razu mała Joanna narwała w ogrodzie kwiatów i przyniosła Goduli. Tak bardzo ujęła go bezinteresowne i szczerze zachowanie dziecka, że Godula bardzo polubił dziewczynkę i od tej pory spędzał z nią wiele czasu. Godula zaangażował także dla jej edukacji domowego nauczyciela, M. Kulanka.

Johanka wraz ze swoją opiekunką Emi-

lią Lucas mieszkały w domu Goduli, tzw. rządówce, w sąsiedztwie pałacu Ballestremów w Rudzie (dziś dzielnicy Rudy Śląskiej), a po zbudowaniu pałacu w Szombierkach – tam. Gdy Joanna miała 6 lat, Godula zabrał ją w swoją ostatnią podróż, kiedy to ciężko chory udał się na leczenie do Wrocławia.

Dzień przed swoją śmiercią sporządził przed komisją sądową testament, w którym ustanowił ją główną spadkobierczynią swojego majątku, obejmującego m.in. 19 kopalń galmanu, 6 kopalń węgla, 3 huty cynku, 4 majątki ziemskie (Szombierki, Orzegów, Bobrek, Bujaków), które łącznie miały 70 tys. mórg pola i 3,5 tys. mórg lasu. Przez 2 tygodnie prawie 300 osób prowadziło inventaryzację „masy spadkowej”, którą oszacowano na 2 mln talarów (ok. 6 mln marek w złocie). Majątek Karola Goduli porównywalny był z ówczesnymi majątkami Bellestremów i Donnersmarcków.

Dziedziczka fortuny

Otwarcie testamentu Goduli było niewątpliwie największą sensacją roku 1848. Spadek po Karolu Goduli uczynił Joannę Gryczik najbogatszą na Śląsku panną do wzięcia. W jednej chwili z biednej dziewczynki stała się dziedziczką jednej z największych fortun ówczesnych Niemiec, nic więc dziwnego, że w wielu publikacjach o niej pojawia się określenie „śląski Kopciuszek”.

I jak to z Kopciuszkiem było, zawistni krewni ruszyli do ataku. Siostrzeńcy Goduli, którzy otrzymali legaty w wysokości „tylko” 200 tys. talarów, chcieli obalić testament. Ponoć później próbowano także Joannę otruć. Opiekunowie prawni Joanny i wykonawcy testamentu (Maksymilian Scheffler – wieloletni radca prawny Goduli oraz wspomniani już prawni opiekunowie Jan F. Finckler i Emilia Lucas) umieścili dziewczynkę w klasztorze sióstr Urszulanek we Wrocławiu, gdzie nabierała ogłady potrzebnej w jej nowym życiu. Zadbano także o jej staranne wykształcenie.

Szlachectwo i ślub

Za sprawą Maksymiliana Schefflera, z rąk pruskiego króla Fryderyka Wilhelma IV, Joanna Gryczik otrzymała w 1858 r. szlachectwo wraz z nazwiskiem von Schomberg-Godulla (z Goduli i Szombierek – dzisiejszych dzielnic Bytomia i Rudy Śląskiej) oraz



Posąg Joanny Gryczik na Wzgórzu św. Wojciecha w Opolu

herbem przedstawiającym górniczy symbol (kupłę): skrzyżowane żelazko i pyrlík w złotym trójkącie na błękitnym tle.

Jeszcze w tym samym roku Joanna, w wieku 16 lat, wyszła za mąż za hrabiego Hansa Ulryka von Schaffgotscha, potomka śląskiego rodu, korzeniami sięgającego jeszcze średniowiecza. Do ich spotkania doszło prawdopodobnie w domu Maksymiliana Schefflera, u którego po opuszczeniu zakładu Urszulanek Joanna zamieszkała.

Ślub Joanny i Ulryka odbył się w Bytomiu 15 listopada 1858 r., a udzielił im go biskup Brna – Hans Anton Schaffgotsch – w asyście ks. Józefa Szafranka (proboszcza parafii Wniebowzięcia NMP) i ks. Alojzego Ficka z Piekar Śląskich. Co ciekawe, panią młodą – zgodnie z tradycją – pobłogosławiła matka Antonina, wówczas już trzeci raz zamężna.

I żyli długo i szczęśliwie...

Hrabia Hans Ulryk – jak píše znakomity historyk genealogii górnośląskiej, Arkadiusz Kuzio-Podrucki – „potomek piastowskiej księżniczki Barbary Agnieszki, poza nazwiskiem nie miał wiele do zaoferowania.” Praktycznie cały majątek Schaffgotschów dziedziczył jego stryj Karol III. Pomimo zawarcia małżeństwa, właścicielką godulowskiej fortuny nadal była Joanna.

Małżonkowie Schaffgotsch byli małżeństwem szczęśliwym. Mieli czwórkę dzieci: Hansa Karla, Clare, Elisabeth i Eleonorę. Rezydowali początkowo w pałacu Goduli w Szombierkach (spalonym w 1945 r.), potem we Wrocławiu, wreszcie w 1896 r. – w kupionym w 1859 r. i przebudowywanym ponad 30 lat – pałacu w Kopicach koło Grodkowa w woj. opolskim. Tam szczęśliwie doczekali złotych godów.

W 1905 r. Joanna i Hans Ulryk przekształcili swój majątek przemysłowy w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością „Gräflich Schaffgotsch Werke” z siedzibą w Byto-



Ruiny domu Karola Goduli w Rudzie Śląskiej, tzw. Rządówce



Ruiny pałacu w Kopicach



Ruiny zamku w Chudowie



Elektrownia „Szombierki” w Bytomiu



Kościół Świętej Rodziny w Bytomiu Bobrku



Hans Ulryk i Joanna Schaffgotsch oraz Joanna Schaffgotsch z dziećmi



miu. Warto w tym miejscu dodać, że do tego momentu majątek odziedziczony po Karolu Goduli został ośmiokrotnie pomnożony. W spółce wartości 50 mln marek (w 1873 r. miała miejsce reforma walutowa i talar zastąpiła marka w stosunku 1:3) Joanna miała 49980 tys. marek, jej mąż 10 tys., a pozostałe 10 tys. – generalny dyrektor spółki Barnard Stephan.

Do „perel w koronie” spółki należały m.in. kopalnie „Paulus-Hohenzollern” (Szombierki), „Godulla” (Paweł), „Gotard” (Karol), „Gräfin Johanna” (Bobrek), „Berve” (Barbara), elektrownia „Oberschlesien” (Szombierki), zakłady koksownicze Schaffgotsch Benzin Werke Odertal w Zdziessowicach (woj. opolskie) i koksownia „Bobrek”.

Joanna zmarła 21 czerwca 1910 r. w Kopicach i tam w rodzinnym mauzoleum została pochowana. Jej mąż, chociaż 11 lat od niej starszy, przeżył ją o 5 lat.

Śladami Joanny i jej dziedzictwa

Historia obeszła się z dziedzictwem Joanny brutalnie. Zniknął dom Goduli w Rudzie, w którym mała Johanka towarzyszyła swemu dobroczyńcy. Przeszedł istnieć pałac w dzielnicy Bytomia – Szombierkach, podpalony w lutym 1945 r. już po zakończeniu działań wojennych.

Z ukochanej rodowej rezydencji Joanny – „Pałacu na wodzie” w Kopicach – pozostały obecnie ruiny. Choć pałac przetrwał wojnę w stanie niemal nienaruszonym, w 1958 r. został podpalony. Mówi się, że nastąpiło to dla zatuszowania niedoboru zboża w magazynie, na jaki zamieniono wówczas pałac.

W Kopicach, oprócz ruin pałacu i zachowanych budynków folwarcznych, pozostało mauzoleum Schaffgotschów, zrewaloryzowane dzięki społecznej inicjatywie grupy entuzjastów z Mackiem Mischokiem na czele.

Joanna i Hans Ulryk pozostali w pamięci Górnoślązaków także jako sponsorzy kościołów, które do dziś służą wiernym w dzisiejszych dzielnicach Bytomia: Bobrku (Świętej Rodziny z 1905 r.) i Szombierkach (Najświętszego Serca Pana Jezusa z 1904 r.) oraz dzielnicach Rudy Śląskiej: Orzegowie (św. Michała z 1911 r.) i Goduli (św. Jana Chrzciciela z 1871 r.). W tym ostatnim na południowej ścianie znajduje się witraż z 1911 r., z podobizną Joanny i Hansa Ulryka Schaffgotschów oraz ich dyrektora generalnego Bernarda Stephana. Do dziś stoją także ruiny zamku w Chudowie, będącego własnością Schaffgotschów, spalonego w 1874 r.

Oboje Schaffgotschowie byli także założycielami licznych szkół, sierocińców i klasztorów (np. w Goduli i Szombierkach). Górnośląski Kopciuszek okazał się bardziej hojny od swego bajkowego pierwowzoru. ■



Nie istniejący pałac w Szombierkach i pałac w Kopicach na archiwalnej pocztówkach

Dwie kosy Dziennika Ludzie redaktora Ziembry

GRZEGORZ SZTOLER



Joł. arch.

Nie o wszystkich będzie. Tylko o kilku, najważniejszych – moim zdaniem – dziennikarzach z pierwszego zespołu założycielskiego „Dziennika Zachodniego”.

Kilian Bytomski

W 1955 roku, 3 sierpnia, w środę, na łamach DZ [nr 183] opublikowano nekrolog-pożegnanie z red. Kilianem Bytomskim, który wszedł w skład pierwszego zespołu redaktorskiego gazety. Żegnano go z żalem:

„Dnia 2 VIII 1955 zmarł przeżywszy 42 lata KILIAN BYTOMSKI dziennikarz – publicysta długoletni pracownik Redakcji »Dziennika Zachodniego« oznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Medalem 10-lecia. W Zmarłym Redakcja DZ traci wzorowego i cenionego dziennikarza, a zespół redakcyjny oddanego i serdecznego Kolegę”.

Natomiast rodzina zmarłego informowała, że odszedł „zaopatrzony Św. Sakramentami”, a jego pożegnanie nastąpi w czwartek 4 sierpnia.

Kim był redaktor Kilian, ur. 28.5.1913, jeden z członków pierwszego zespołu dziennikarskiego DZ? W 1945 r., kiedy rodziła się gazeta, ten rodowity Ślązak miał 32 lata, był więc stosunkowo młody i doświadczony, u progu dziennikarskiej kariery. Zmarły był bardzo utalentowany i kierownictwo redakcji pokładało w nim spore nadzieje. Jak czytamy w opinii wystawionej przez sekretarza POP [Podstawowej Organizacji Partyjnej] tow. Stefana Kalbarczyka, redaktora naczelnego DZ Bogusława Reichharta i kierownika Sekcji Kadr H. Kwiczki:

„Kilian Bytomski, kierownik działu ekonomicznego. Przedwojenny, rutynowy, doświadczony w swoim zawodzie dziennikarz. Jeden z najstarszych pracowników DZ. Stosunek do pracy – dobry. Doskonale zorientowany w dziedzinie ekonomicznej, szczególnie dobrze zna się na węglu i hutnictwie. Wiadomości z zakresu ekonomicznego umie połączyć z wyczuciem politycznym. Ma dużo intuicji dziennikarskiej i potrafi w artykułach wyciągać właściwe, trafne wnioski. Inna rzecz, że nie można twierdzić z całą pewnością, że myśli i czuje tak jak pisze...”

A swoją drogą, to déjà vu w życiorysach oficjalnych, a rzeczywistych, ta rozbieżność między tym, co się skrywało,

a tym, co robiło – to świetny materiał dla rekonstrukcji psychohistorycznej. Nie miejsce tu i pora na takie rozważania, ale z całą pewnością dla człowieka przedwojnia było pewnym szokiem, w którym musiał się znaleźć, całe to powojnie, z umacnianiem się przy władzy komunistów, socrealizmem, umiłowaniem Stalina... Ten szok poznawczy prowadził ludzi do wielu rozterek moralnych i nieszczyć osobistych. I na tym stwierdzeniu poprzestaśmy.

„Czy czuje tak jak pisze?” – zastanawiali się nad Kilianem Bytomskim przełożeni. „Raczej zachodzą tu rozbieżności” – podsumowywali. Bytomski był bowiem zbyt inteligentny [nie bez kozery określano jego inteligencję jako „nieprzeciętną”], by mówić i pisać szczerze to, o czym myślał. Podobnie jak innego czołowego dziennikarza, redaktora Surówkę, cechował go głęboki dystans do rzeczywistości.

Szkołę dziennikarską odebrał, tak jak większa część zespołu DZ, w korfantowskiej „Polonii”. Od początku 1936 roku pełnił tu funkcję redaktora odpowiedzialnego. „Ślązak, z rodziny górniczej – czytamy w jego ocenie pracy zawodowej, co tłumaczy znajomość realiów przemysłowych. – Znany na Śląsku. Przed wojną pracował w „Polonii”. Jego artykuły posiadają na tutejszym terenie swoją wagę gatunkową...” Ale miewa też „pozostałości klerykalizmu [bo] przed wojną należał do Chadcacji, które powodują, iż aczkolwiek rozumie on i docenia zmiany społeczne jakie zaszły [a więc komunizm] – nie w całości aprobuję politykę prowadzoną przez Partię i Rząd, np. w sprawach Niemiec, kościół”. Tak starano się „zdiagnozować” rzeczywiste nastawienie redaktora Kiliana. Dalej dowiadujemy się o jego złym stanie zdrowia, wyniszczającej w sposób straszny gruźlicy...

Ojciec Kiliana Bytomskiego był powstańcem śląskim, stąd rodzina przeprowadziła się po 1922 roku do Siemianowic, gdzie Kilian kończy szkołę powszechną i gimnazjum humanistyczne. Od 1933 r. praktykuje w „Gazecie Siemianowickiej”. W czasie wojny wywieziony na roboty do Niemiec, ucieka i ukrywa się. W „Dzienniku...” znalazł się 5 lutego 1945 r.

Założyciel DZ red. Stanisław Ziembra był natchnieniem dla wielu utalentowanych dziennikarzy. Był dla nich wzorem. Posiadał też umiejętność przyciągania prawdziwych skarbów, mistrzów pióra, jak choćby publicysta „Polonii” Bolesław Surówka.

We wspomnieniach, założyciel DZ, Stanisław Ziembra wspomina, że jedną z pasji Bytomskiego była historia. Miał on olbrzymi wkład w udokumentowanie m.in. zbrodni gestapo w Katowicach i działalności tutejszej, osławionej gilotyny... A znajomy historyk potwierdza informację, że redaktor Kilian działał w Armii Krajowej, co udokumentowane jest w publikacji Wojciecha Kempy o „Okręgu Śląskim Armii Krajowej”. Dokładniej był przedstawicielem biura tajnej śląskiej oświaty na Katowice. Był też poetą. Oto przykład, zamieszczony w DZ z 25 lutego 1945 roku:

KILIAN BYTOMSKI

Jest jeden cmentarz...

Jest jeden w Polsce ogromny cmentarz,
Który dziś w mroku ponurym tonie
I chociaż każdy o nim pamięta
Żadne światelko na nim nie płonie.

Jest jeden w Polsce ogromny cmentarz
Jak żaden inny krwią ubroczony
I chociaż każdy o nim pamięta
Dzisiaj jest cichy i opuszczony.

Jest jeden w Polsce ogromny cmentarz
Który nad inne po świecie słygnie.
Wie o nim każdy, każdy pamięta
I pamięć o nim nigdy nie zginie.

Jest jeden w Polsce ogromny cmentarz,
Skąpany w blaskach wieczystej sławy.
Wie o nim każdy, każdy pamięta, —
Bo to jest wielki cmentarz Warszawy.

Katowice, listopad 1944

Redaktor S. Ziembra wspominał, że wojna Bytomskiego pozbawiła wszelkich oszczędności, dlatego musiał zakupić mu parę butów, by mógł przyjść do redakcji...

Ludwik Wieczorek,

ur. 20.08.1898 w Czeladzi, należał nie tylko do pierwszego zespołu redakcyjnego DZ, ale także zorganizował od podstaw i pozostawał od początków szefem oddziału DZ w Sosnowcu. „Bezpartyjny – czytamy w opinii z 1956 roku o nim. – Jeden ze współorganizatorów redakcji DZ od pierwszych dni jego powstania. Bardzo zdyscyplinowany i wydajny dziennikarz cieszący się zaufaniem i autorytetem wśród społeczeństwa Zagłębia, gdzie pracuje jako kierownik oddziału. Chętny do pracy społecznej”.

Jeszcze w 1947 r. Wieczorek prostuje poważną jego zdaniem nieścisłość, jaka wkradła się do jego akt: „proszę uprzejmie o sprostowanie daty przyjęcia do pracy w DZ. Pracuję faktycznie od dnia 2 lutego 1945 r. [a więc równo z Ziembą], natomiast w wyżej wymienionym piśmie [adresowanym z Czytelnika] figuruje data przyjęcia 17 marca 1945.” Chociaż z drugiej strony we własnoręcznie napisanym życiorysie z 1954 r. wspomina, że miało to miejsce... 6 lutego 1945 r., w jeszcze innej wersji życiorysu, z 1950 r., jest to jednak 3 lutego... Natomiast kierownikiem ekspozytury w Sosnowcu Wieczorek został formalnie 24 września 1945 r. Dodajmy jeszcze, że tak jak część zespołu redakcyjnego, Wieczorek pracował przed wojną w korfantowskim dzienniku „Polonia”, przy czym miał chyba najdłuższy staż dziennikarski, bowiem – jak podaje – był reporterem w latach 1928–39.

Zmarł w wieku 81 lat, 13 kwietnia 1978 roku. Niewątpliwie o tej legendzie DZ powinno się napisać znacznie więcej...

Marek Wydra

w 21 lutego 1956 roku zostaje kierownikiem działu kroniki. W opinii o nim czytamy: „Bardzo zdyscyplinowany dziennikarz”. Było to ukoronowanie dosyć szybkiej i efektywnej kariery. Przypomnijmy, że red. Wydra był kolejno w latach 1945–68: redaktorem technicznym [II 1945–46], reporterem [1947–48], kierownikiem działu sportowego [1949–52], kierownikiem działu ekonomicznego [1952–54], kierownikiem działu miejskiego [1955–56], kierownikiem działu depesz [I–VI 1957], ponownie kierownikiem działu miejskiego [VI 1957–59], publicystą [1959–67] i wreszcie starszym redaktorem działu [1968].

Pochodzącego z Tychów redaktora Wydrę łączyły zażyłe stosunki z pierwszym naczelnym DZ, Stanisławem Ziembą. Ten był nawet świadkiem na jego ślubie. Warto dodać, że w tym czasie Ziembą był – po krótkim epizodzie w „Trybunie Robotniczej”, gdzie również był wysoko oceniany jako redaktor – naczelnym tygodnika ilustrowanego „Panorama”. Ziembę i Wydrę łączyły stare, dobre czasy – praca w przedwojennym koncernie wydawniczym „Polonia”.

Wydra pracował w dzienniku „Polonia” jako redaktor od września 1938 r., a trzy miesiące później przeniósł się do redakcji „Siedmiu Groszy”. Kiedy tworzył się „Dziennik Zachodni”, wszedł w skład pierwszej redakcji, wspomina, że „po kapitulacji Stolicy, przenieśliśmy się do Krakowa, skąd następnie 8 lutego przyjechałem do Katowic i objąłem pracę w redakcji DZ”. Redaktor Wydra miał za sobą wojenne przejścia, m.in. pobyt w obozach w Dachau i Guzen. Wiadomo, że był bliskim współpracownikiem Stanisława Ziembę, a w powstaniu warszawskim miał przydział – Delegatura Rządu na Kraj – Polska Agencja Telegraficzna. Od lipca 1943 r. redaguje biuletyn warszawski, z którego materiału czerpały inne wydawnictwa konspiracyjne stolicy. Na tej placówce współpracuje z kol. Ziembą, jego przełożonym. Współpracują aż do wybuchu powstania, w którym cała placówka wzięła czynny udział jako korespondenci wojenni. Materiał publikowany przez nich był wykorzystywany przez wszystkie stołeczne. Po kapitulacji Warszawy, transportowany do Pruszkowa, skąd zbiegł z Ziembą i przedostał się do Krakowa. Tu obaj kontynuowali pracę konspiracyjną aż do wyzwolenia.

Skądinąd wiadomo też, że Reinhold (Marek) Wydra z katowickiego „Dziennika Zachodniego” był obiektem zainteresowania katowickiej bezpieki. A Krystyna Heska-Kwaśniewicz podaje w publikacji pt. „Taki to mroczny czas: losy pisarzy śląskich w okresie wojny i okupacji hitlerowskiej” (2004), że „Wydra Reinhold, pseud. »Marek«” został zwerbowany do pracy przez Bednorza dla konspiracyjnej organizacji Ojczyzna.

Redaktor Marek Reinhold Wydra zmarł 12 grudnia 1992 roku. Pochowany został na katowickim cmentarzu na ul. Sienkiewicza, niedaleko grobu Kiliana Bytomskiego.

Człowiek z ogniem

Zasłynął dzięki felietonom „Pod włos” pisanych na łamach korfantowskiej „Polonii” i kontynuowanych później na łamach „Dziennika Zachodniego”. „Niejaki X”, czyli Bolesław Surówka, najwybitniejsza postać śląskiego dziennikarstwa.

Barbara Surman w książce o „Aktorach i realizatorach lwowskich na scenie Teatru Śląskiego po roku 1947” (1991) tak pisze o jednej z największych osobowości „Dziennika” i „Polonii”: „Redagowane przez niego felietony w stałym cyklu zatytułowanym: „Pod włos” stały się najchętniej czytaną i oczekiwaną rubryką tej gazety. Nie unikał bowiem tematów trudnych, dyskusyjnych, palących, które odważnie podejmował z temperamentem polemisty. Był bowiem Bolesław Surówka znakomitym polemistą walczącym na argumenty, logicznie piętnującym błędy i śmieszności codzienności, czerpiącym z ogromnych zasobów wprost encyklopedycznej wiedzy, która wprawiała w zakłopotanie adwersarzy, a przynosiła satysfakcję przyjacielom. Był wielkim miłośnikiem słowa polskiego. Surowym sędzią błędów językowych, które bezlitośnie wytykał wszystkim winowajcom, bez względu na ich hierarchię; zawodową i polityczną. Sam operował piórem w sposób bezbłędny. Pisał jasno, prosto, unikając zbędnych słów dla przedstawienia najbardziej zawiłych spraw”.

Nie trzeba lepszej charakterystyki. „Bolek bardziej lubił ludzi, z którymi



U „Jorga” czyli wojewody Jerzego Ziętka po Krzyż Komandorski dla redaktora Bolesława Surówki (pośrodku) na jego jubileusz. N/z część zespołu DZ m.in. B. Schmidt-Kowalski, F. Dendor.

foto. arch.

mógł się posprzeczać niż tzw. niekonfliktowych” – to opinia jednego z jego przyjaciół – dziennikarzy, który podkreśla jeszcze jedną ważną cechę Surówki. „Rzadka to zaleta i umiejętność dostrzegania w przeciwniku nie tylko samych wad, ale i zalet. Rzetelność Surówki mogła się na to zdobyć”.

B. Surówka swoje przedwojenne losy opisuje barwnie w książce „Było, minęło”. Urodził się 21 stycznia 1905 roku w Rudkach, w okolicach Lwowa. Jak napisał we własnym zyciorysie: „do szkoły podstawowej chodziłem w Rudkach i we Wiedniu od 1911 do 1915 roku. W latach 1916–1923 uczęszczałem do gimnazjum o.o. Jezuitów w Chyrowie. Po dwuletnich studiach prawniczych we Lwowie i Krakowie, oraz po rozpoczęciu w 1925 roku pracy w redakcji dziennika „Polonia” w Katowicach, wyjechałem na studia do Francji...”

Jego ojciec, Karol Surówka był dyrektorem Powiatowej Kasy Oszczędności, a także adwokatem, zaprzyjaźnionym z Wojciechem Korfantym, który podjął pracę jako radca prawny Syndykatu Hut Żelaznych.

Przygodę z dziennikarstwem Surówka rozpoczął w 1924 roku w redakcji „Polonii”. Rok później wyjechał do Francji na studia w Lille w tamtejszej Wyższej Szkole Dziennikarstwa i Szkole Nauk Politycznych, które ukończył w 1928 roku. W międzyczasie pełnił funkcję stałego korespondenta „Polonii”. W latach 30. współpracował jeszcze z „Narodowcem”. W przededniu wybuchu drugiej wojny powołany został do wojska w stopniu porucznika rezerwy. Był dowódcą 7 kompanii 73. pułku piechoty (katowickiego). W ostatniej bitwie tego zgrupowania pod Tomaszowem Lubelskim został lekko ranny. Okupację spędził w Krakowie pracując w prasie podziemnej i wykładając taktykę w tajnej szkole podchorążych 6 dywizji AK w Krakowie. Tam zetknął się m.in. ze Stanisławem Ziembą, założycielem DZ.

Zaraz po wyzwoleniu Górnego Śląska, w styczniu 1945 roku, Surówka zgłosił się wraz z kolegami z konspiracji do pracy w DZ. Zatrudniony został kilka dni po powstaniu gazety, 7 lutego 1945 roku. Kiedy w lipcu 1945 roku przeprowadzano weryfikację personelu Dziennika, we wniosku reklamacyjnym któryś z redaktorów (może sam naczelny Ziemia, założyciel gazety) napisał, iż red. Surówka „jest niezbędnie konieczny dla redagowania pisma Dziennik Zachodni w Katowicach. Wymieniony należy do najwybitniejszych pracowników naszej redakcji”. Warto wspomnieć, że w czasie okupacji red. Surówka był członkiem AK (wcześniej ZWZ) i Stowarzyszenia Dziennikarzy Ziemi Zachodnich, do którego należał również S. Ziemia, późniejszy założyciel i naczelny DZ. Natomiast w la-

tach powojennych (aż do 1950 roku) tak jak większość jego kolegów należał do postrzęganego jako umiarkowanego Stronnictwa Demokratycznego. W jego aktach zachowała się adnotacja „bezpartyjny”. W każdym razie zawsze podkreślano to, że był współzałożycielem i współredaktorem gazety od jej samego początku. Dzięki prowadzonej przez niego m.in. na łamach DZ akcji, na wywołonych terenach Śląska masowo zakładano szkolne biblioteki przez różnego rodzaju związki, zrzeszenia, zakłady pracy. Powstało ich w sumie kilkaset.

Od 1 maja 1955 roku Surówka kieruje pracą dodatku niedzielnego „Świat i Życie”, a od stycznia 1956 roku jest zastępcą kierownika działu dodatku „Perspektywy”. Od 1 kwietnia 1957 został kierownikiem działu dodatku niedzielnego (w ramach obowiązków miał m.in. organizować i adiustować materiał redakcyjny i poza redakcyjny kierując go sekretariatowi redakcji). W 1961 roku powierzono mu funkcję kierownika działu felietonu.

W sumie B. Surówka zatrudniony był w charakterze publicysty działu społeczno-kulturalnego DZ nieprzerwanie od 7 lutego 1945 roku, z tymże w sierpniu 1968 r. awansował na stanowisko starszego publicysty. Ponownie red. Surówkę przyjęto do pracy 2 stycznia 1974 roku na stanowisko redaktora działu w niepełnym wymiarze zatrudnienia. Ale nasz bohater nie był zbyt zadowolony z obrotu sprawy. 12 lutego 1974 roku odpowiedział nacelnemu Bronisławowi Schmidtowi-Kowalskiemu: „...z ubolewaniem stwierdzam, że proponowane mi warunki umowy-zlecenia na kwotę 750 zł są dla mnie krzywdzące, choćby w porównaniu z warunkami zapewnionymi innym dziennikarzom emerytom zatrudnionym w Śląskim Wydawnictwie Prasowym”.

B. Surówka pozostawał przede wszystkim człowiekiem teatru. Kiedy stawał się niewygodny i usuwano go w cień, bo pisał ze swadą i humorem, jak podkreśla B. Surman, „wtedy ożywał się jako recenzent teatralny i baczny obserwator życia artystycznego”. I w innym miejscu dodaje: „w opisie zjawisk artystycznych potrafił dobrać najcelniejszą sformułowania, skojarzenia i metafory, często posługiwał się nutką ironii, ale zawsze życzliwie i trafnie”.

To właśnie są cechy rasowego recenzenta. W odredakcyjnym pożegnaniu koledzy i koleżanki po piórze podkreślili właśnie tę jego pasję do teatru, który „...uczyniał za najdoskonalszą z form sztuki. Obejrzał w życiu setki, tysiące spektakli. Wszystkie przeżywał równie mocno. Nie było w nim nic z rutyny recenzenta. Każdy spektakl stanowił nowe odkrycie, dostarczał nowych wrażeń, tak jak ten pierwszy, który zobaczył

mając sześć lat we Lwowie „Kościuszką pod Raclawicami”.

Był – jak niektórzy uważają – „recenzentem surowym, ale zarazem sprawiedliwym”.

Red. Surówka uwielbiał reporterskie wędrowki i obserwacje. Jak pisze B. Surman, bardzo często „...odzywała w nim pasja wędrownika po ziemi polskiej, co uprawiał namiętnie od lat młodzieńcych. W pierwszych latach po wojnie plonem jego wędrowek po Ziemiach Zachodnich i Opolszczyźnie był cykl felietonów odkrywających piętno tych ziem, ludzi, którzy przetrwali przez pokolenia, wierni polskości. Był patriotą, człowiekiem zakochanym w ziemi ojczystej, ale jego przekorna natura buntowała się często przeciwko urzędzonym na pokaz manifestacjom i wtedy mawiał „najgorsza z chały – to chała patriotyczna”.

W tym ostatnim wypadku, redaktor Surówka bliski był klimatom Gombrowicza, który lubił przerysowywać rzeczywistość tworząc groteskę.

Zamiłowanie do teatru widoczne było nie tylko w działalności pisarskiej red. Surówki. W 1969 roku wziął on udział z członkami Klubu Krytyków Teatralnych w podróży do Anglii współorganizowanej m.in. przez SDP i British Council. Podróże były jedną z pasji red. Surówki i, jak wynika z pozostawionego zbioru zdjęć, szczególnie sentymentalnym zdarzył on Francję, w której spędził dziennikarską młodość. Mógł sobie na to pozwolić, bo znał biegle języki obce. 15 czerwca 1968 roku przed komisją egzaminacyjną Śląskiego Wydawnictwa Prasowego potwierdził dobrą znajomość języka niemieckiego (na cztery z plusem), a dzień wcześniej – języka francuskiego, co pozwoliło mu na otrzymanie specjalnych, miesięcznych dodatków do pensji. Tylko angielskiego opanował na dostateczny.

Bolesław Surówka zmarł 29 września 1980 roku, jakiś czas po publikacji swojej książki pt. „Było, minęło”, w której zawarł przedwojenne wspomnienia. Miał zamiar opisać lata następne, ale niestety nie zdążył zrealizować tego zamiaru. Redakcja DZ ufundowała nagrodę jego imienia, dla młodych, dobrze zapowiadających się adeptów sztuki dziennikarskiej, a władze Katowic nazwały jedną z ulic jego imieniem. To nie były tylko czcze gesty. Pamięć o redaktorze Surówce jest nadal żywa. Jego postać wryła się w „dziennikowe” dusze. Przez długi czas w jednym z pokoi na piątym piętrze legendarnego Domu Prasy Śląskiej (gdzie mieściła się redakcja DZ do marca 2009 roku) wisiał ogromny portret redaktora Surówki, a w szufladzie jednej z pracownic leżała koperta ze zdjęciami i wycinkami prasowymi. Nic dziwnego, red. Surówka był jednym ze współzałożycieli gazety i niekwestionowanym autorytetem dziennikarskim. Jaki był we wspomnieniach? Jawi się jako człowiek skrom-



Koniec wojny – ten tytuł był chyba najbardziej wyciekany przez wszystkich.

ny i niezwykle życzliwy dla innych ludzi. – Pamiętam go jak stał przy windzie z tą swoją teczką i wszystkich grzecznie pozdrawiał – opowiada emerytowany fotoreporter. – Jeżeli już zdarzyło się usłyszeć z jego ust pochwałę, na prawdę było to coś wartościowego. Surówka wiedział, co mówi. – Nie stwarzał żadnego dystansu między sobą, a nami młodszym pokoleniem dziennikarzy – wspomina red. Jadwiga Jenczelewska-Różycka, emerytowany pracownik redakcji DZ. – Jeżeli już wytykał nam błędy, robił to w sposób taktowny i życzliwy. Miał zwyczaj krytykować nasze materiały, które już ukazywały się w gazecie. Pamiętam, że kiedyś powiedział do mnie, przy okazji omawiania jakiegoś tekstu w gazecie, „Jenczelewska, liczyłem na ciebie”. Było to tak

sugestywne, że podziślał jak najgorsza krytyka. Poczuła się okropnie, choć nikt mnie nie zbeszał. Ale jak można było zażaleć zaufanie takiego autorytetu, jakim był Bolesław Surówka? Miałam wyrzuty sumienia... Oczywiście, mieliśmy z nim koleżeńskie układy, zdaje mi się nawet, że zwracałam się do niego po imieniu, ale wiedzieliśmy, gdzie jest granica spoufalania się. Miał niesamowity autorytet, a przy tym był niezwykle odczytany. „Lubił dziennikarską młodość – tak charakteryzowano go we wspomnieniu – jeżeli zauważył u kandydata tę iskrę potrzebną do wykonywania tego zawodu, służył radą, informacją. Nie bez powodu utarło się w redakcji przekonanie, iż jeśli czegoś się nie wie, należy pójść do Bolesława. Ta jego encyklopedyczna wręcz erudycja zmuszała do szacunku i uznania”.

„Znał Katowice, ich historię, topografię, był żywą kroniką miasta. Tę swoją wiedzę wykorzystywał w licznych sprostowaniach, życzliwych, acz nieraz uszczypliwych, kiedy ktoś piórem lub słowem popełnił gafę w kreśleniu prawdy o naszym mieście” – zapisano we wspomnieniu o nim. Red. Surówka bywał uszczypliwy. Szczególnie piętnował nieścisłości w publikacjach odwołujących się do drugiej wojny. W jednym z felietonów jako Niejaki X wykiął większość naiwnych i nieprawdziwych podpisów pod zdjęciami ilustrującymi rzekomo kampanię wrześniową. Nic dziwnego, że jako nacowny świadek tych czasów był wyczułony na wszelkie przekłamania. Poczuł się humoru, które go nie opuszczało, pozwalało spełniać się na kabareciarzkiej niwie. I tak przyczynił się do powstania kabaretu literackiego „Rarytas” w Katowicach.

Surówka był niespożyty człowiekiem pióra – gdzie on nie pisał. Nawet do magazynu niedzielnego „Trybuny Robotniczej” (z którą „Dziennik” przecieć konkurował). „Był naturą niespokojną, o wyraźnej znaczonej osobowości i rozległych zainteresowaniach intelektualnych – napisano w TR – zwłaszcza pasjonowała go historia Polski, literatura i teatr”. Współpracował z „Poglądami”. Nawet w „Sporcie” publikował felietony – pod pseudonimem Barnaba. Właściwie to red. Surówka m.in. przez swoją pracowitość, zyskał status niezależnego, samodzielnego publicysty. Jako człowiek wykształcony, doświadczony i obyty w świecie, mógł sobie pozwolić na ironiczny dystans wobec rzeczywistości, która go otaczała.

„Każdy z nas, kto zetknął się z tym wiekiem, ma w sobie cząstkę jego ognia, nie ma pióra, na którym nie wywarłby swego piętna” – czytamy we wspomnieniu o nim. Niewątpliwie, duch redaktora Surówki krąży gdzieś nad redakcją „Dziennika”.

Zakończę cytatem red. Tadeusza Kijonki, założyciela „Śląska”, który tak ujął rolę DZ w powojennym śląskim rynku prasowym w artykule „Katowice – miasto bez gazet” („Śląsk” nr 1 z 2013 roku): „Z gazet codziennych największym poważaniem cieszy się »Dziennik Zachodni«, niebawem stanowiący jeden z głównych tytułów w koncernie »Czytelnika«. W gazecie tej odnaleźli się wkrótce dziennikarze katowickiej »Poliarii«, w tym przez dłuższy czas jej redaktor odpowiedzialny Kilian Bytomski oraz August Grodzicki i Halina Markiewiczowa, przede wszystkim związany z »Dziennikiem« do końca życia Bolesław Surówka”.

I chyba nie tylko oni czekają na poważną publikację. O nich i o ich „Dzienniku”.

Fajnie że pan pisze

Widać że lubi pan Herberta

Tak lubię
chciałem pisać jak Herbert
o prawdzie
przywoływać greckich bogów
by pokazać jak piękno
zbawia świat

nie ma piękna nie ma bogów

są zbiorowe mogiły na Ukrainie
związane z tyłu ręce i dziura w sercu
rozbite czaszki i okna

jest Izrael i palestyńskie trupy
nuklearnie naród wybrany

Jest Jemen i wojna w imię Allaha
dobre co nie
Prawie uwierzyłbym w słusność konfliktu
Szytów z Sunnitami ale widzę flagę z
paskami
gwiazdkami i wiem że ropa jest cenniejsza
od krwi

Syryjskie dzieci wciąż w obozach
przy europejskich drzwiach uczą się
gościnności Starego Kontynentu
pamiętasz przypłynęły tutaj kiedyś i tak
sobie zostały

Nowy kielich przymierza
wylewany przez dzielnych przywódców

Imperium musi powstać
więc ucz się łamać kolana

tak trzeba

zbuntuj się
kup sobie koszulkę
z jakimś anarchistycznym hasłem
19.99

Szyta w Bangladeszu
Czy ty wiesz w ogóle gdzie leży Bangladesz?

To jak z tym buntem?

No powiedz że się nie zgadzasz
że nie piszę w twoim imieniu

razem się pośmiejemy

Czas zastyga.

Dziś znowu widziałem jak rozbijają
i jak się boją.

Uciekali we wszystkich kierunkach tak
jak się spada
i jak spadają bomby.

I wszystko kurwa spadało.

A później budowaliśmy od nowa
planując tkankę miasta i człowieka
by w końcu wyglądało to wszystko
tak jakbyśmy chcieli
to naprawić.

Ale jak budować gdy znowu
trumny trumny trumny
widzę poza głębiną
własnego oceanu.

Wypływają na wierzch
a czas zastyga.

A później wszystko spada.

Hestia

Dziś widziałem jak szarpała dzieckiem
chyba dlatego że płakało
nie wiem nie mam dzieci

Może jak dorosnę to zrozumiem

Sama miała podbite oko i przepiła mordę
spuchnięta jak truchło

Matka Polka

Drugie dziecko chyba córka
trzymała palec w ustach

Zęby jej wychodzą a mamusi już wyszły
głupie
pomyślałem

ale napiszę

W domu czeka *Pater* na szczęście nie *noster*

Zastanawiam się
co czuje Hestia
nic nie czuje bo nie istnieje
a jakby istniała
to spaliłaby się

ze wstydu albo jak Siwec

No to lepiej dla niej.

24.02

dzisiaj spadło niebo
zakryło oczy uszy usta
wypełniło mgłą
serce

rwie niemoc szarpie
rozrywa płuca
gniewnym pazurem
rozgoryczenia

słyszę pieśń syren
ale nie rozumiem słów

zagłuszone hukiem
rozbijanego świata

Życie na wynajmie

Znowu wyszło słońce
widać jak pękają wrzody
miasta

Każda cegła odrapanych kamienic
rozrywana rozstępami czasu
zostawia rudobrudne ślady
na sumieniach mieszczan

Uśmiechnięci i zdecydowani
pewni i mocni pędzą
troszczą się o
prawo boga demokrację rodzinę

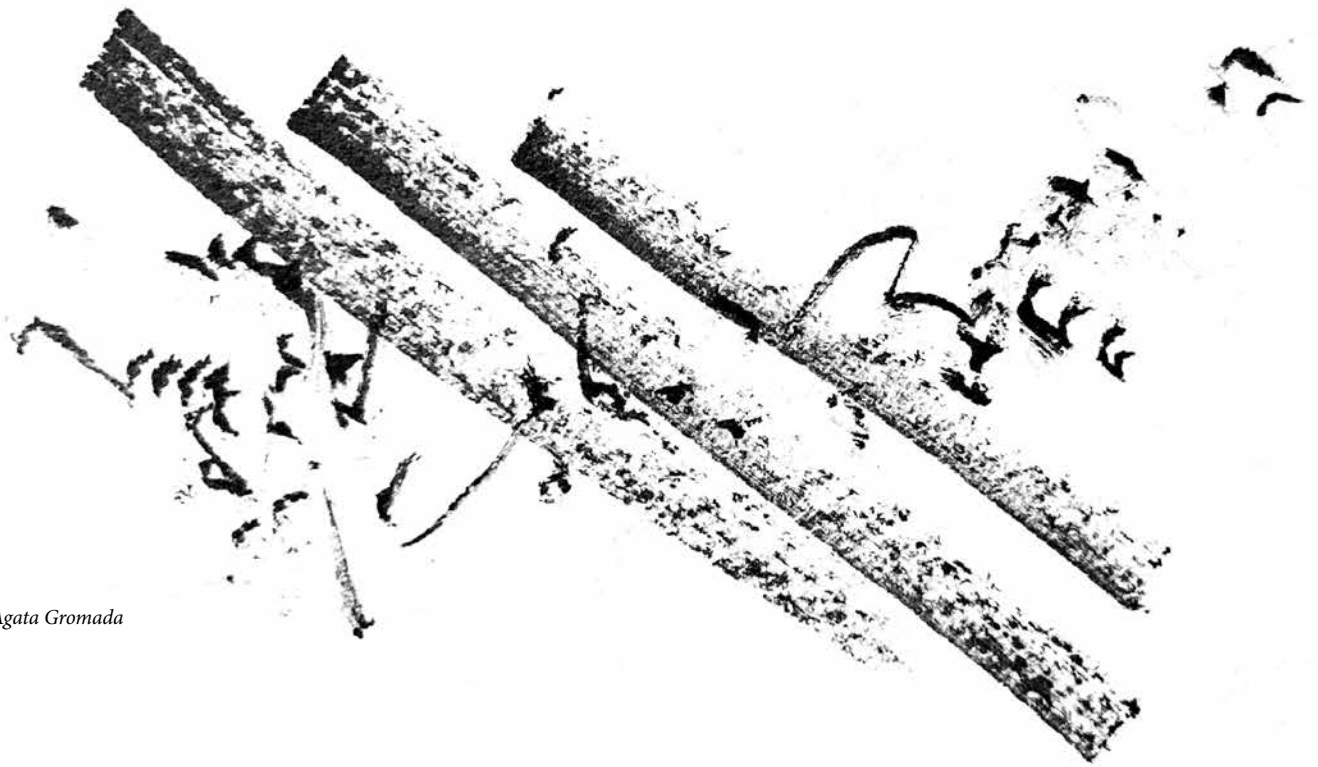
(wybierz sobie jedno z powyższych
wtedy zdecydujemy po której stronie jesteś
pamiętaj jednak że jest to warunek konieczny
przy podpisywaniu umowy
na wynajem życia
w przeciwnym wypadku
musisz zrezygnować
obejść się smakiem)

Biegnie i biednie uśmiechnięty jasny
leczy się xanaxem
łamie crossfitem
może oba
nie wiem i niewiele mnie to obchodzi

Ale jest piękny
olimpijski

o
a tutaj umiera człowiek
możesz zwrócić uwagę

powiedzieć: proszę tego nie robić, nie wypada.



rys. Agata Gromada

Kapitan Korsakov

Witamy na łądzie panie kapitanie
widać że długi rejs
aż dostał pan morskich nóg

Nic dziwnego że sztormy panu nie straszne
broda wilka morskiego spijającego rum
przypomina wzburzone morze
w oczach łąy od wiatru
a twarz przeorana słońcem

Lata oceanów
pięknych kobiet na plażach Karaibów
i skarbów setki

To opowie mi pan którąś ze swoich przygód?

No i tu się posypał wiersz, bo to nie był pirat
tylko zwykły menel leżący na ławce
jak w koi prawie

Trochę nim trzęsło może od steru

przecież ustaliliśmy że to nie był pirat
po co więcej pisać

a może jednak
pływa po delirycznym morzu katowickiego rynku

Raczej tonie, ale też się nada.

Teofil Van Kannel przygląda się bezdomnemu, który zaklinał się w drzwiach obrotowych

Rozbija pioruny pod kopułą swojej czaszki
każda błyskawica stwarza świat
łapię ją i oglądam
zachwycam się

Jest w nim coś plemiennego
spirala czasu zwija się w nim
z niego wychodzi

to on jest świat

Mam tę spiralę teraz z niej wyrysuje model
tego co na moje imię położy złoto nieśmiertelności

ja obrót świata tworzę cóż ty większego mogłeś zrobić – Boże?

a pan piękny pan przed chwilą smarkał przez palce
widzę chce wejść
a jednak nie

wraca i zgrzyt
bo zablokował swoim ciałem
(pewnie już niedługo „swoim”)
drzwi

szlag trafił spiralę
nieskończoność
Teofila Van Kannela
i cały ten wiersz

pozostał pan piękny pan
demiurg na własny użytek

Nowa edycja *Dzienników* wszczęta!

O 27. tomie *Pism zebranych* Żeromskiego

JERZY PASZEK

Po 40 latach, jakie minęły od wydania pierwszego ogniwa *Pism zebranych* Stefana Żeromskiego (były to *Opowiadania* w oprac. Zdzisława Jerzego Adamczyka, Warszawa 1981), witamy z satysfakcją wstępny tom *Dzienników* (w oprac. Adamczyka i Beaty Utkowskiej, Warszawa 2021; w cytatach używam skrótu D przed podaniem stronicy), zapowiadający ostatnią część 40-tomowej całości: będą to woluminy opatrzone numerami od 27. do 33.; seria epistolarna pisarza zajęła numery 34–39; numer 40. zarezerwowany jest dla tomu erratowego i suplementowego. Byłem recenzentem najwcześniejszego woluminu („Ruch Literacki” 1983, nr 2) i tak szczęśliwie potoczyły się moje losy, że mogę anonsować 7-częściową ostatnią serię prezentowaną teraz czytelnikom (po opublikowaniu serii „Nowel, opowiadań i innych utworów epickich”, „Powieści”, „Dramatów”, „Pism społecznych i wspomnień” oraz „Listów”). Omawianą przygodę edytorską zaplanował prof. Zbigniew Goliński jeszcze w roku 1975, a po jego śmierci w 2008 roku pracami kolegium redakcyjnego kieruje prof. Adamczyk.

Tom wygląda okazale (s. 548, przypisów 946) i elegancko (piękna tektura okładka, projekt Andrzeja Heidricha, który rytował ozdobniki i rysował portrety na naszych banknotach), bo tym razem i grzbiet libelli ma lśniąca złotem cyfra, i na oprawie mamy wyraźnie wydrukowane brązowe litery na bursztynowym tle (co w innych tomach było wyjątkiem!). Księga składa się ze *Wstępu* Adamczyka, tekstu 2 tomików diariusza z lat 1882–1883 w oprac. Utkowskiej, *Not edytorskich* (też robota pani prof.), *Słownika biograficznego* (to 60-stronicowe kompendium przygotował Adamczyk, wyzyskując przypisy Jerzego Kądzieli, a przede wszystkim korzystając z danych, jakie ustalił w 6-tomowej serii *Listów* pisarza) oraz z *Indeksu osobowego* (D 513–544), sporządzonego przez Jarosława Dobrołowicza. Przypuszczam, iż ponad 750 przypisów (bo 193 we *Wstępie* pochodzi od Adamczyka) jest także dziełem obojga wydawców, poprawiających pomyłki i uzupełniających

hasła Kądzieli, który ponad 30 lat objaśniał czytelnikom szczegóły biograficzne, geograficzne i polityczne, utrudniające lekturę dzienniczka.

Żywię nadzieję, iż seria obejmująca młodzieńcze diariusze autora *Szyfowych prac* (do druku jest już przygotowany 28. tom!) dobiegnie bezkolizyjnie do końca, bo jest szczegółowo zaplanowana, układ kolejnych tomów – zadecydowany i przemyślany, a grant zapewnia finansowanie projektu (na D 134–135 i 547 mamy zaprojektowaną zawartość wszystkich 7 tomów serii). Nim przejdę do własnego, subiektywnego scharakteryzowania 27. woluminu, pozwolę sobie na wzmiankę o innych opublikowanych u nas wielotomowych dziennikach pisarskich. Niewątpliwie najobszerniejsze z nich to te, które pochodzą spod pióra Marii Dąbrowskiej (80 notatników, pod 6000 stronicy; 13 tomów, Warszawa 2009) i Zofii Nałkowskiej (w 9 woluminach). Na trzecim miejscu plasuje się 7 tomów *Dziennika pisanego nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (obejmują lata od 1971 do 1999). Jan Józef Szczepański, który w 6 tomach zapisywał wydarzenia od 1945 do 2001 roku, jest na 4. miejscu! Ale najgłośniejszym echem recepcyjnym zaznaczyły się 3 trójtomowe diariusze Witolda Gombrowicza, Jana Lechonia i Jarosława Iwaszkiewicza.

Autor *Sławy i chwały* odznaczył się dużą odwagą, opisując swoje homoseksualne związki, do czego tylko czynili aluzje twórca *Ferdydurke* (będący mniej zakłopotany swoim biseksualizmem w utajnianym za życia *Kronosie*) oraz poeta skamandrycki (pisywał o „ukochanej osobie”, czyli 35-letnim kochanku). Trzeba się zastanowić nad jednym detalem: trzy utwory Gombrowicza wydane w Polsce w okresie przełomu październikowego miały nakłady po 10000 egz. (kupowałem *Ferdydurke*, *Bakakaj*, *Trans-Atlantyck*. *Ślub* w roku 1958 jako „defekty fizyczne”, bo były przecenione!), a *Dzienniki* (jako tomy VII–IX *Dzieł* pod red. Jana Błońskiego) zdobywałem dopiero z 70-tysięcznego dodruku (pierwszy rzut miał mieć aż 80000 egz.!) w roku 1989. Nie mogę jakoś uwierzyć w te gigantyczne nakła-

dy, gdy poczytność samego diariusza jest bodaj ograniczona do grona znawców! A przecież zapiski Żeromskiego też bywają pikantne i szczerze w domenie Amora i Wenus, nie stając się tak – nakładowo! – wenerowane, czyli uwielbiane przez odbiorców! Choć Juliusz Wiktor Gomulicki w „Roczniku Literackim” za rok 1973 (s. 117) pisał nawet o „pięciokacie miłosnym” w *Dziennikach*: „cztery kąty zajmuje Żeromski ze swymi trzema kochankami [...] a piąty – niczego nieświadomy małżonek pani Natalii” i chociaż Feliks Netz ogłosił w „Twórczości” (2000, nr 11) *Cierpienia młodego Ż.* – erotyzm narratora „dziennika uwodziciela” (formuła Gomulickiego) nie wzbudził przez prawie 70 lat (początki publikacji diariusza wyznacza data 1953 roku!) masowego oddźwięku i rzecz nie stała się prawdziwą księgą kultową!

Nawiasem mówiąc, Jerzy Pilch (1952–2020) także zaprezentował swoje zapiski w 3 tomach (*Dziennik* wydany w 2014 roku, *Drugi dziennik* z tegoż roku, *Trzeci dziennik* z 2019), ale po jego śmierci opublikowano jeszcze *Autobiografię w sensie ścisłym, a nawet umownym* (2021), więc w sumie mamy tu „trójkę z plusem”, czyli 3 tomy diariusza z suplementem! Tematyka rozciąga się od alkoholizmu, przez futbolowe awantury, aż po żarty z życia cyganerii literackiej. Takiego zestawu nie doczekamy się w żadnym z wymienionych dotąd raptularzy! Konkurentem może być – „czwórka z plusem” – tylko Józef Hen (urodzony w 1923 roku), który w 7 tomach wspominkowych (3 pt. *Nie boję się bezsennych nocy*, pamiętniki wydane w latach 1987–2001; 4 z tytułami, w których pojawia się słowo „dziennik” – lata 2012–2020) ukazuje szeroką panoramę historii najnowszej, a w tym sensacje oraz inne ważne wydarzenia polityczne i literackie z czasów przedwojennych i powojennych.

Był rok 1882. Żeromski zaczyna pisać 19. maja swój *Dzienniczek*; tak brzmi tytuł pierwszego kajetu, który zaczął od *Kilku wspomnień z lat mojego dzieciństwa*, a skończył 15. grudnia wypisami z *Nie-Boskiej komedii*. Znamienny jest dwuwiersz, prawdopodobnie au-

torstwa kolegi gimnazjalnego, Edwarda Łuszczkiewicza, finalizujący ten zeszyt: „Chciałbym wlecieć wysoko, lecz się upaść boję! / Nie wzlutuj, jeśliś słaby – takie zdanie moje”. Przyjaciel Stefana czyni tu aluzję do uwag z dnia poprzedniego (14. grudnia) autora diariusza: „Dziś przeczytałem *Agaj-Hana*. Odurzony jestem i nieswój. Czuję małość moją!” (D 258).

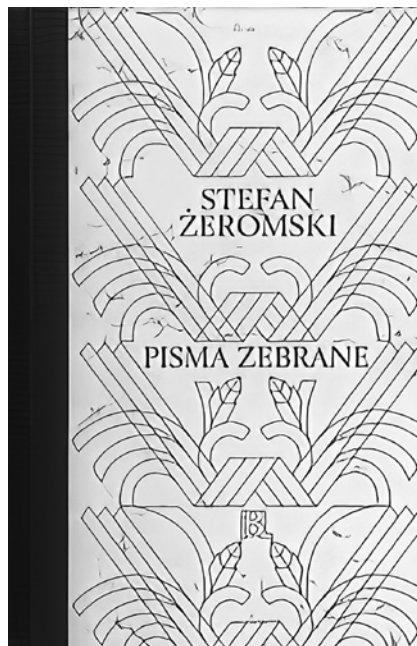
Mimo tych słów, to właśnie w roku 1882 zadebiutował Żeromski dwoma wierszami, wydrukowanymi w ówczesnych czasopiśmie. Najpierw pojawił się jego przekład z Michaiła Lermontowa (liryk *Pragnienie* ogłoszony w „Tygodniku Mód i Powieści” z 8. VII 1882), a potem własna *Piosnka rolnika* („Przyjaciel Dzieci”, 12. VIII 1882). W listopadzie tegoż roku uczeń klasy VI dokonuje rekapitulacji swojego dotychczasowego dorobku: klasa IV – 4 utwory, klasa V – 25 dzieł (w tym próba powieści pt. *Syn banity*, początek *Powieści bez tytułu*, „obraz dramatyczny w trzech aktach” *Janusz i Marta*, 5 aktów miał zaś „obraz dramatyczno-historyczny” *Barbara Giżanka*), klasa VI – 9 różnych prób, a w tym tłumaczenia z rosyjskiego (proza Michaiła Woskriesińskiego), czeskiego (3 fragmenty fałszyfikatów Vaclava Hanki) i ukraińskiego (wiersze Tarasa Szewczenki). Ambitna enumeracja zapowiada nam to, co będzie dominować przez 10 lat w narracji autora: start rewelacyjnej opowieści o kształtowaniu się pisarza, której nie znała bodaj cała wcześniejsza nasza literatura lub piśmiennictwo literackie!

Jeśli Andrzej Sulikowski diariusz Gombrowicza zamyka w formule *Egzotyzm i egotyzm* („Pamiętnik Literacki” 1979, z. 2), to dzienniczki (nagłówek dwu początkowych kajetów) Stefana można byłoby – naśladując aliterację Sulikowskiego – zamknąć frazą edukacja (eklektyzm) i erotyzm! Bowiem jakże pokorny, nieśmiały i wylękniony jest ten przed-pisarz (termin Romana Zimanda: *Diarysta Stefan Ż.*, Wrocław 1990, s. 54) czy też młodzieńczy grafoman, korzący się nawet przed wielkością powieści Marii Rodziewiczówny! Tu nowe wydanie przynosi ważny segment, pomijany we wcześniejszych edycjach: całkowity przedruk przepisywanych przez Stefana do notatnika fragmentów (a czasem i długich utworów, np. *Sen Cezary Krasieńskiego*) obcych dzieł. Czytelnik może spostrzec, jak w późniejszych nowelach i powieściach przywoływane będą te same cytaty, ulubione przez Żeromskiego raz na zawsze!

Na początku eseju wspomniałem o 40 latach mojego zajmowania się Żeromskim. Po tym czasie widzę, iż wielkość czcionek (petitów!) stała się dla mnie mniej widoczna! Ale to pewnie wina mojego zestarzenia się i „spatynowa-

nia”... Choć szlachetne wina nabierają z czasem większego smaku!

Ważnym osiągnięciem wydawców jest odczytanie pomijanych (ze względu na cenzurę polityczną, ale i obyczajową!) fragmentów *Dzienników* (egzemplifikacja zawarta jest we *Wstępie* Adamczyka). Czyli pierwszy raz dostajemy tu **całość oryginalnego polskiego tekstu!** Jak wiadomo, pominięto w tej edycji – jak i we wszystkich poprzednich – rosyjskie zapiski Żeromskiego-studenta weterynarii. Byłyby one trudne nawet dla czytelnika znającego język rosyjski, bo musiały przestrzegać ortografii przedrewolucyjnej; dotyczyły terminów naukowych, które zostały zarzucone; autor stosował skróty, czyli powstawały następne pułapki w lekturze.



Edytorzy postarali się o **wzbogacenie** informacji zawartych w objaśnieniach do oryginalnego tekstu autorskiego. Dotyczy to przede wszystkim biografii opisywanych lub jedynie wspomnianych osób. Anonimowe dotąd postacie z Kielecczyny nagle stają się personami historycznymi, osobami ważnymi w życiorysie pisarza i w dziejach „małej ojczyzny” świętokrzyskiej! Dotyczy to również kobiet, przewijających się na kartach diariusza. Już w I tomie pojawia się Ludwika Borkowska, która zakochanemu w niej Stefanowi proponuje przyjacielski pakt. A ze *Słownika biograficznego* – z hasła Zlasnowska Ludwika z Borkowskich – wiemy o więzach pokrewieństwa między Ludwisią i Stefanikiem: była ona córką Tadeusza oraz „Józefy z Saskich, ciotecznej siostry Żeromskiego”. Nie wiem tylko, czy jest to identyczne z tym, o czym mówi Kądziela: „wnuczka ciotki pisarza, Ludwika z Żeromskich Wiktorynowej Saskiej, a więc jego siostrzenica” (S.

Żeromski: *Dzienniki*. Tom 7: *Przypisy – słowniki – skorowidze*. Oprac. J. Kądziela, Warszawa 1970, s. 580). Kto dziś wie, co to jest ta „cioteczna siostra”? Bo o „siostrzenicy” chyba nikt by tu nie powiedział! Gdy autor pisze (D 176) o Borkowskiej „Pocziwa moja siostrzeniczka”, to nie ma chyba na myśli ich autentycznego pokrewieństwa (czyli nie mówi o córce jednej ze swych sióstr!), lecz jedynie „pakt braterski”, potwierdzony przez Ludwikę w jej liście z 13. IX 1882 roku: „Twoja bardzo bliska kuzynka” i „Twoja siostra”. Dobrze, iż inne kochanki pisarza – wdowy i mężatki – nie były w tak skomplikowany sposób skoliigane z nim!

Mówiąc skróto, ciężar gatunkowy nowego wydania *Dzienników* Żeromskiego można obliczyć wedle ilości stron tekstu 2 dzienniczków i poświęconych tym notatkom objaśnień. W edycji z roku 2021 podliczamy: stron wywodu autora + dolne przypisy = 345; w edycji z roku 1963–242 (brałem pod uwagę także tom VII z roku 1970, przynoszący przypisy). *Słownik biograficzny* w nowym wydaniu ma 59 stron, podczas gdy podobne kompendium z roku 1970 – odnoszące się do wszystkich tomików diariusza – zaledwie 70 kart. Przykładowo: hasło Machajski Jan Waław zajmujące w dawniejszym opracowaniu 2 stronie, a także hasło w nowszej wersji ma ponad 4 strony gęstego druku! Rodzi się nawet wątpliwość, czy tak rozbudowane hasła (mistrzynią jest tu Hanna Kirchner i jej encyklopedyczne wywody i pożyczki ze znanych informatorów w komentarzach dodanych do dzienników Nałkowskiej) potrzebne będą czytelnikom diariusza Żeromskiego. Ale kto bogatemu (w granty!) zabroni poszaleć, gdy jest słuszna i pożyteczna społecznie okazja.

W roku 1953 Andrzej Wasilewski był zainteresowany przede wszystkim „kształtowaniem się postawy ideowej młodego Żeromskiego” (D 63). W wieku XXI takimi tematami mniej bywamy zajęci, gdyż doceniając rangę autora *Przedwiośnia* zdajemy sobie sprawę z jego słabej obecności w rankingu czytelniczym doby współczesnej. Ale to, **jak się zostaje pisarzem** – jest stale interesujące, gdy w Internecie każdy może zadebiutować, przedstawiając swoje pomysły, projekty i ich realizacje. A tu młodzieńczy twórca *Dzienników* może posłużyć jako wzór. Przede wszystkim: jak przejść od eklektyzmu (muszę wszystko przeczytać!), poprzez solidną edukację literacką (opracowania!), do sukcesu czytelniczego, także w sferze erotyzmu. Egzotyzm i egotyzm Gombrowicza jest jednym remedium, a eklektyzm (+ edukacja) i erotyzm Żeromskiego bywa równie pociągającą perspektywą.

„Poezja jest dla mnie religią”

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL

Twórczość poetycka ks. Wacława Oszajcy od początku jest przedmiotem namysłu krytycznego. Nagradzana, tłumaczona na języki obce, obecna w licznych tomach autorskich i antologiach, nie stała się jednakże obecna tak, jak na to zasługuje. Poetę regularnie ogłaszającego tomy wierszy, w którymś momencie zdominował teolog, czemu dziwić się nie należy, ponieważ w twórczości poetów kapłanów poezja i teologia są ze sobą nierozdzielnie sprzęgnięte. „Kapłaństwo – pisał kard. Karol Wojtyła – jest sakramentem i powołaniem. Twórczość poetycka jest funkcją talentu – ale talenty również stanowią o powołaniu, przynajmniej w sensie podmiotowym. Można więc stawiać sobie pytanie: w jaki sposób te dwa powołania, kapłańskie i poetyckie, współistnieją ze sobą, w jaki sposób wzajemnie się przenikają w tym samym człowieku?”

O Oszajcy pisano recenzje i szkice, stał się bohaterem zbiorowego tomu, ale nie doczekał się pogłębionej monografii swojej twórczości. Oczywiście zawsze powstaje pytanie, jaką stroną poezji taka monografia powinna odkryć. Znamy autorów, którzy wątki teologiczne obecne w literaturze redukują do zwykłych powtórzeń prawd biblijnych, nie podejmując z nimi dyskusji. Tymczasem, jak przekonująco pisał ks. Jerzy Szymik w rozprawie *W poszukiwaniu teologicznej głębi literatury. Literatura piękna jako „locus theologicus”*, właśnie „miejsce teologiczne” jest źródłem i głębią literatury, szczególnie zaś poezji, i poszukiwanie tego „miejsca” powinno określać postawę interpretatora. Dlatego w rozważaniach badawczych istotne jest to, jak literatura czy poezja w sposób równoprawny wyraża to, co teologicznie sformułowane.

Przekonująco pisał o tym swego czasu także Adam Lipszyc: „Literatura – pewnego rodzaju literatura – może być kontynuacją teologii innymi środkami, ale wkroczenie w gęstą atmosferę literacką – w żywiol, w którym to, jak i że się mówi, nabiera często mocy stanowiska czy argumentu, w medium, gdzie nie można funkcjonować z dłońmi złożonymi do modlitwy – musi rodzić teologię nader dwuznaczną i rozbitą, która zjawia się jedynie wraz z postępującym procesem pisania. [...] Pisanie rozcina, kwestionuje, zniekształca, spektralizuje struktury teologiczne, czasem jednak – poruszając się pośród ruin i widm, w zamieci ironii i zaprzeczeń – na nowo próbuje też niemal niemożliwego gestu transcendencji. A ponieważ wyniki tej operacji muszą być odmienne w przypadku każdego pisarza i każdego tekstu, ściśle rzecz biorąc, nie ma teologii literackiej. Są jedynie teologie literackie w liczbie mnogiej”.

Innymi słowy, poezja nie pełni wobec teologii roli służebnej, ani nie wchodzi z nią w proste relacje wzajemności, ale podejmuje pracę myśli równorzędną jej samej. Podejmuje wszakże zawsze

– i to jest warunek *sine qua non* odrębności myśli – indywidualnie, na własną odpowiedzialność, własne ryzyko. W przeciwnym wypadku ustawiłaby się na pozycji, jakby powiedział Tadeusz Peiper, „obliźwaczy odstawionych talerzy”.

Wacław Oszajca mówi „poezja jest dla mnie religią”. Nawiązując do wcześniej cytowanego Karola Wojtyły, można by zapytać nie o autorskie przeświadczenie, deklarację wiary i zarazem deklarację wiary w poezję, ale o to, czy w pisaniu nie odkrywa się tajemnica? Postawienie takiego pytania ukierunkowuje lekturę, włącza nas w tę samą zależność poety i teologa, co teologa i filozofa. Pięknie to ujął kiedyś Paul Tillich w swojej *Teologii systematycznej*: „Filozof może przekonać filozofa-teologa albo też nie. Teolog zaś może nawrócić teologa-filozofa albo też nie. W żadnym razie teolog jako taki nie sprzeciwi się filozofowi jako takiemu i *vice versa*”. Właśnie: teolog może przekonać poetę, albo nie – „i *vice versa*”.

Nad tą właściwością relacji Anna Wzorek, której nie są obce rozważania nad poezją religijną, skupia się w uwagach wstępnych. Podejmuje pytanie o znaczenie i wartość pojęcia „poezja kapłańska”, pokazuje różne jego adnotacje w praktykach twórczych. Pamiętając jednakże o literaturoznawczym podłożu swojej interpretacji, a więc o tym, że poezja zawsze wchodzi w zależności tekstowe, istnieje między stylami, nawiązuje kontakt z innymi sztukami, np. malarstwem, podejmuje refleksję nad naturą człowieka i świata, czyli nieobecna są jej kwestie ontologiczne, poznawcze i etyczne, badaczka wybiera taki model lektury, jaki zrodził się w szkole lubelskiej, to znaczy lektury kerygmatycznej. To wciąż popularne podejście głosi, że – jak czytamy w rozdziale *W świetle kerygmatu* – „Kerygmatyczny model badania dzieła literackiego, będący wyrazem teologii literatury, opiera się na przekonaniu, że utwór może zawierać w sobie kerygmat (może z nim polemizować, więc – negować go), może stać się wykładnią tzw. podstawowych praw życia duchowego”.

Ten sposób lektury, odwołujący się do sześcioletniej kerygmatu, jest wyrażeniem przez badaczkę przekonania, że w owym zaproszeniu do spotkania z Jezusem, ujawnia się istota wszelkiej poezji kapłańskiej. Napisała: „Liryka kapłańska z reguły jest na wskroś kerygmatyczna”, a więc reali-

zuje się na drodze przypominania o nawróceniu wraz konsekwencją jego wyniku. Egzemplifikacją tej tezy są przywołania różnych realizacji poetyckich m.in. u księży Franciszka Kameckiego, Bonifacego Miążka, Janusza Stanisława Pasierba. Oczywiście o ten sam trop zapyta Anna Wzorek poezję Wacława Oszajcy. Tu pytanie będzie postawione wprost: „Czy wiersze ojca Oszajcy są kerygmatyczne?”, ale już odpowiedzi nie zawsze będą wydobywały potwierdzającą pointę. Ostatecznie przybierze ona taki kształt: „o poezji Wacława Oszajcy można powiedzieć, że jest kerygmatyczna, ma podbudowę teologiczną. Tutaj poetyckie słowo spleta się z teologią”. Jest to wszakże, przypomina badaczka, „teologia zbuntowana”. „Niektóre wiersze Oszajcy mogą wprowadzić niejednego czytelnika w zakłopotanie, mogą budzić zdziwienie, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, że wyszły spod pióra kapłana-poety”.

Rozdział *Konterfekty biblijne* jest najpierw narysowaniem szerokiego tła poezji kapłańskiej, która podejmuje dialog ze Starym i Nowym Testamentem. Również u Oszajcy takie odniesienia staną się podstawą poetyckich dociekań. Interesujące zwłaszcza okazują się, pisze badaczka, maryjne wiersze apokryficzne, jakże niejednokrotnie odmiennie ujmujące postać Matki Boskiej od innych poetów kapłanów. W cyklu *Maria* Wacława Oszajcy: „Jest [...] Maria niepokalana, zrodzona w sposób nadprzyrodzony, pozbawiona zmyły pierworodnej, wybrana przez Stwórcę, wniebowzięta; jest także Maryja – choć trochę zwyczajna, w swym doświadczeniu podobna do innych kobiet. Liryczne portrety Maryi nie tylko bazują na autorytecie Pisma Świętego, ale w wielu przypadkach znajdują oparcie w literaturze apokryficznej”. Rozdział ten jest szczególnie bogaty w egzemplifikację; badaczka przywołuje różne postaci biblijne, pokazując sztukę portretu nie jako reprodukcję sensów biblijnych, ale jako wątplenie, które jest zawsze drogą do poznania.

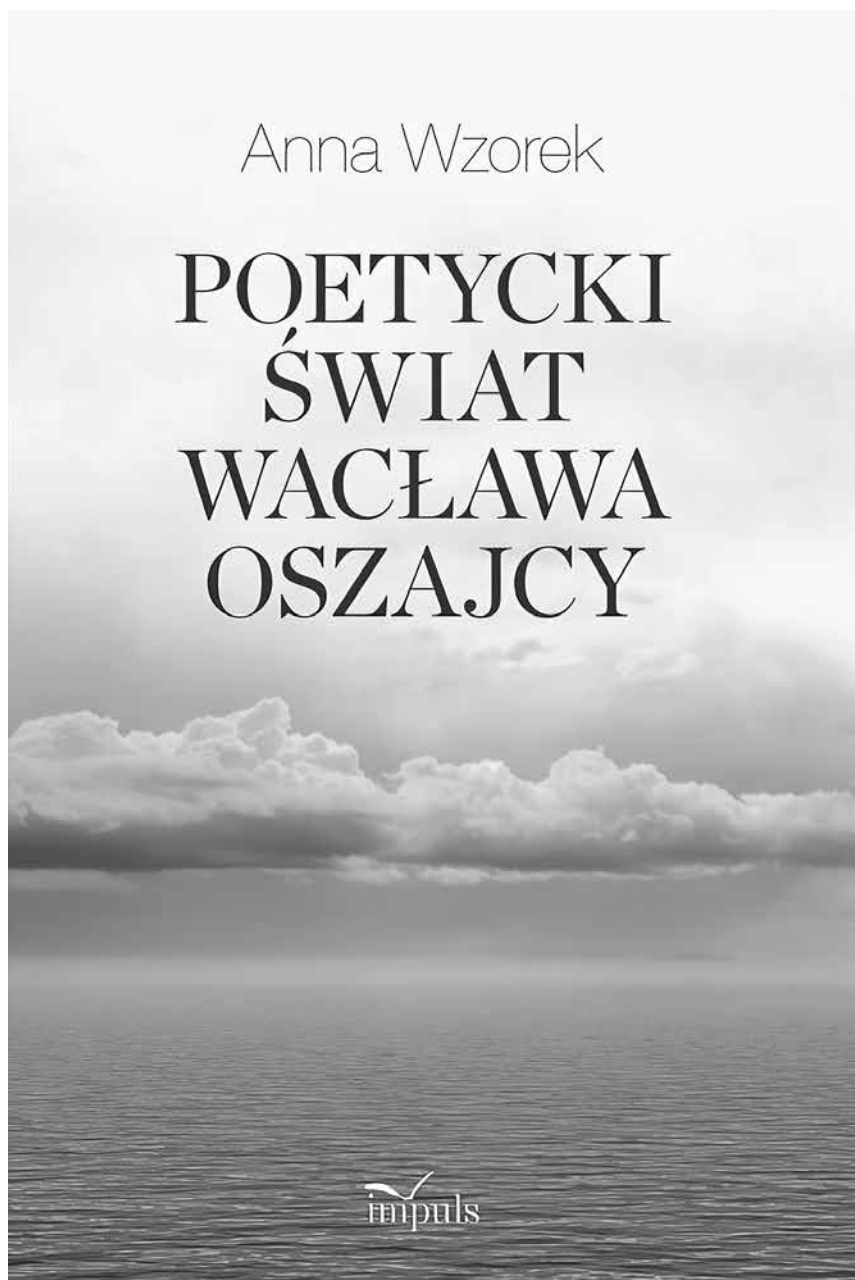
Trzeci rozdział monografii Anny Wzorek nosi tytuł *Motywy modlitewne*. Badaczka przywołuje różne gatunki modlitewne, kreśli panoramę historycznoliterackich (w czasie) realizacji poetyckich, opierając się na bogatych badaniach nad stylistyką i genologią modlitewną, przypomina, że „elementami strukturalnymi

modlitwy poetów są inwokacja, anakleza, petycja, wreszcie causa, rozumiana jako ujawnienie powodów, dla których mówiący zwraca się do Boga”. Wpisując jednakże poezję autora *Łagodności domu* w ten kontekst, literaturoznawczynie zaznaczyła: „W twórczości Wacława Oszajcy nie ma modlitw poetyckich w ścisłym znaczeniu, jest zaledwie kilka utworów z elementami modlitwy”. To świadczy o owej postawie „teologa zbuntowanego”, który nie chce – jak w homiliach – przywoływać prawd znanych, ale który daje sobie prawo do wątpienia, zadziwienia, a nawet sprzeciwu wobec tych prawd. Tak wyraża się postawa poszukująca, otwarta, niedogmatyczna.

Rozdział czwarty kieruje nas w stronę poetyckich ekfraz. W ostatnim dwudziestoleciu bardzo często literaturoznawcza interpretacja tę perspektywę pogłębiała. Nic dziwnego: związki z malarstwem, a osobliwie malarstwem biblijnym, tworzą podszewkę poezji o nastawieniu teologicznym. Oszajca przyznaje się do licznych „transpozycji tematów plastycznych na poetyckie słowa”. Rembrandt, Rubens, Memling, Delacroix – a przecież to tylko kilku z bogatej palety malarzy – stają się w wierszach poety nie tylko mistrzami detalu, ale także mistrzami kreślonych dramatów, śmierci, męczeństwa. Nie chodzi o to, że ekfrastyczne wiersze Oszajcy przypominają płótna znanych i zapomnianych twórców pędzla, ale o to, by na nowo, raz jeszcze przeżyć doświadczenie odkryte przez pędzel; przeżyć je – tym razem – w słowie.

Rozdział piąty nosi tytuł *Liryki intertekstualne*. Może nie jest to określenie właściwsze, ponieważ każda poezja jest zanurzona w tekstowym świecie, ale badacze chodzi o taką aktywizację testów obcych w tekście własnym Oszajcy, gdzie zachodzi szczególnie dialog, prowadzący do ponadindywidualnej wartości. Innymi słowy: Anna Wzorek pisze o wierszach, w których poeta „czyta” Tadeusza Różewicza (*Matka odchodzi*), Williama Szekspira (*Hamlet*), zwraca się do poetek sobie bliskich, jak Anna Kamińska. Wierszy dialogów, intertekstualnych związań, jest mniej niż wierszy ekfrastycznych. Być może dlatego należy je czytać podobnie, jak te odwołujące się do malarstwa, choć materia tworzenia jest przecież inna.

Doświadczenie ziemi, ostatni rozdział książki *Poetycki świat Wacława Oszajcy*, sięga po narzędzia wypracowane przez geopoetykę. Ziemia Święta i Ziemia Wileńska stają się punktami odniesienia tej poezji. To miejsca – jak pisze autorka za Elżbietą Rybicką – „aktywizujące pamięć historyczną”, także „miejsca autobiograficzne”, czy też biograficznie znaczone. Żwiartów, rodzinna wieś poety, czytamy w monografii, „jest dla Oszajcy tym, czym Gdańsk dla Stefana Chwina, Drohobycz dla Brunona Schulza, Sanki dla Janusza Szubera czy Warszawa



dla Mirona Białoszewskiego. [...] lektura tekstów Oszajcy może stać się wydarzeniem geograficznym, co więcej: może być doświadczeniem nie tylko ziemi rodzimnej, ale także ojczystej”.

Sam poeta tak o tym powie: „[...] wszystko zaczęło się w Żwiartowie, nie w Zwartowie, Żwiartowie czy Żwiartowie, jak podają spisy miejscowości i słowniki, w powiecie tomaszowskim, w województwie lubelskim. Moja wieś obsiadła niewielki pagórek zewsząd otoczony łąkami. Domy, a właściwie drewniane chałupy, bo dopiero za mojej pamięci w wielu z nich, w tym w naszej, klepiska zastąpiono podłogami, a słomiane strzechy dachówkami, stały wzdłuż drogi biegnącej ze wschodu na zachód. Z Dzierążni do Woźuczyna i Rachań. Na wschodnim końcu wsi, zwanym Garbem, wybudowano przed wojną czteroklasową szkołę”. To nie tylko rekonstrukcja biografii, to także rekonstrukcja przeżyć. Ale podobne opisy przeżyć

odnajdziemy również w liryce opisującej miejsca we Francji.

Książka Anny Wzorek wpisuje się w ten typ refleksji historycznoliterackiej, dla której biegu ważne są zarówno poetyka w jej wariantach gatunkowych, stylistyka w przywołaniach i dialogach tematycznych, a także uobecnianie się w poetyckim idiolekcie „miejsc teologicznych” jako przejawie *sacrum*. W tym znaczeniu tytuł zbioru esejów teoretycznych Stefana Sawickiego *Poetyka, interpretacja, sacrum* doskonale oddaje kierunek rozmyślań autorki. Podejmując temat poezji ks. Wacława Oszajcy, kierując się również w stronę jego wyobraźni, w istocie rzeczy autorka zapytała o podstawy twórczych roztrząsań, które tak mocno zostały sprzęgnięte z teologią. ■

Anna Wzorek: *Poetycki świat Wacława Oszajcy*. Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2022, s. 186.

„Smokonie to takie konie, tylko smoki”
Zagadkowy tytuł tomiku Łukasza Michalskiego zostaje wyjaśniony niezwykle bezpośrednio. Autor, wykorzystując dziecięco brzmiącą frazę, puszcza oko do czekającego na odkrycie poetyckich kart czytelnika i pyta: „czego innego oczekiwałeś?”. Smokonie są tomikiem intymnym, poeta wprowadza odbiorcę do świata swoich przeżyć, wzruszeń i lęków. Zbiór jest czymś w rodzaju manifestu indywidualności. Podkreślona zostaje w nim jednak nie indywidualność poetycka, ale indywidualność przeżycia.

Wiersz, który zdecydowanie zasługuje na uwagę (określa bowiem postawę Michalskiego wobec świata) nosi tytuł Jest. Tematem przewodnim utworu jest ucieczka. Uciekanie od masy, której ryk jest tożsamy z groźbą utraty podmiotowości („Pogarda – / dla ryku stada, / drwiny bezmyślnej, / kolorowych wydmszek”); od przemocy, która objawia się poprzez krzyk i raniące słowo. „Nienawiść – / do małych dzieci i matek / wrzeszczących na siebie / jak świeżo mianowani kaprale”); od przeszłości, której towarzyszy poczucie winy (Glupota – / krzywd zapomnianych, / wzruszenia ramion, / niewiary). „Od” wymusza pojawienie się „do”. „Ja” liryczne Michalskiego wraca do tego, co daje mu poczucie bezpieczeństwa i pozwala pozostać autentycznym. Wraca zatem do miłości, wdzięczności i do Boga. Wartości te chronią przed wstąpieniem do „armii skamlących przymilnie karłów”. Skupienie się na tym, co osobiste, pozwala na zrozumienie samego siebie. Poeta zwraca w ten sposób uwagę na niebezpieczeństwa pędzącego świata. Wie, że konieczne jest zatrzymanie się i spojrzenie w głąb siebie.

Samotna ucieczka bywa jednak skazana na klątwę nienasycenia. Poeta, zdając sobie z tego sprawę, zaprasza do swojej podróży osoby towarzyszące. Pojawiają się one w dedykacjach wierszy („Mamie”, „Tacie”, „Oli”, „Joasi”). Każdy z zadedykowanych utworów stanowi podziękowanie i podkreśla rolę, jaką wymienione osoby odgrywały w życiu autora. Najbliżsi kojarzą się Michalskiemu z bezpiecznymi przestrzeniami, pozwalają mu oni znieść ryczący świat, stwarzają enklawę zrozumienia. I tak też w wierszu *Mińsk* czytamy: „błyskała nieostojnie / igła rzymskiego krzyża // gdy kładła się koło mnie / spadła z niej jedna kropla / bezwonnej chłodnej morfiny”. Bliżność drugiego człowieka przynosi ukojenie, zatrzymuje chwilę, pozwala odnaleźć się podmiotowi w pędzącym, skapitalizowanym i zakłamanym świecie. Poeta właśnie z tych powodów próbuje podporządkować intymności rzeczywistość. W *Smokoniach* przewijają się wątki religijne. Są one pozbawione jednak teologicznej kotwicy. Poeta jest wyznawcą czegoś w rodzaju wiary samotnej. Stanowi ona schronienie przed światem – światem kpiącym z istotnych dla twórcy wartości. W *Modlitwie* czytamy: „zostań dziś ze mną śmieszny / jak Ty bezimienny / opowiedz mi prawdę /

O potrzebie intymności

KSIAŻKI

Ojciec któryś jest”. Relacja z Ojcem ma odkryć prawdę, odnaleźć sens w zdegenerowanym świecie. Przybiera także rodzinny charakter, jest oparta na opowieści. „Przepraszam! / mierzi mnie wiara / wyżęta ze szmaty zakładu Pascala Autor tymi słowami krytykuje wszelką kalkulację, obliczanie zysków, „robienie czegoś za coś”. Dla Michalskiego wiara jest przepisem na życie, pozwala dostrzec piękno w tym, co na pierwszy rzut oka pozbawione jest wartości.

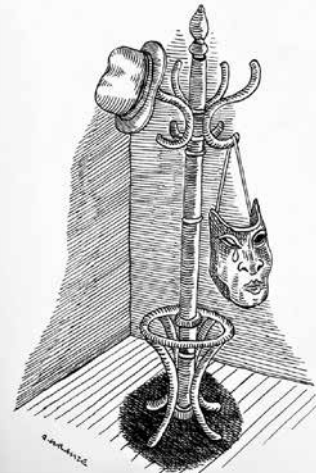
Świat, w którym nawet absolut został wtłoczony w ekonomiczne ramy jest miejscem nieprzyjaznym. Jedynym ratunkiem w tej sytuacji jest pozostanie sobą. Przetrwac pomaga także miłość. Koncepcja ta pozostaje w zgodzie z optyką chrześcijańską, ale w *Smokoniach* obserwujemy ją w nieco zmienionej postaci. Osiągnięcie najwyższej miłości nie jest możliwe na drodze epifanii, czy też męczeństwa, ale poprzez dostrzeżenie piękna w rzeczach i sprawach najmniejszych, ziemskich. Skupienie się na tym, co najbardziej indywidualne daje możliwość zbliżenia się do zrozumienia dobra (Dobra?).

Michalski w swojej poezji dotyka zatem tematów najistotniejszych. Przemycia w niej wartości, takie jak: prawda, dobro, zło, śmierć. Wszystkie zostają wtłoczone w ramy przeżycia indywidualnego. To tematy wciąż nieprzepracowane, pozostające w sferze domysłów. Nie jest możliwe odnalezienie istoty dobra, czy też zdefiniowania prawdy za pomocą tylko poezji. Szukając odpowiedzi na nurtujące nas pytania, wiemy, że z góry jesteśmy skazani na niepowodzenie.

Smokonie, pomimo zdecydowanego odejścia od społecznego zaangażowania poezji, poruszają zagadnienia etyczne związane przede wszystkim z odpowiedzialnością. Czytamy: „wreszcie staną bezlitośnie / ze słowem Pańskim / «co zrobiłeś?»”. Poeta zdaje się przekazywać czytelnikowi bru-

Łukasz Michalski

Smokonie



ANDRZEJ HANDZLIK

talną prawdę na temat dzisiejszego kształtu świata oraz podkreśla, że każdy z nas ponosi za ten kształt odpowiedzialność. Jednym z wielu zadań literatury jest wyrwanie czytelnika z zastanej rzeczywistości, zwrócenie jego uwagi na zdarzenia ważne, o których zapominamy lub o których nie chcemy pamiętać. Przyczyną niepamięci jest wiele. Wygodniej jest żyć bez poczucia odpowiedzialności, brać świat, jakim jest, nie zadawać pytań. Dla autora *Smokoni* to jednak postawa niewystarczająca. Żyje on w ciągłym poczuciu, że dobro i miłość, które go w życiu spotkały, tworzą miejsce „na które nigdy nie zasłużył”.

Tomik Michalskiego spinają dwa słowa: relacja oraz odpowiedzialność. Pierwsze z nich pozwala człowiekowi znieść otaczający go nieautentyczny świat, drugie – pozwala mu odnaleźć się w takiej rzeczywistości, docenia relacje międzyludzkie, dzięki którym powstają wspólnoty.

Smokonie są tomikiem niewątpliwie ciekawym, gdyż poruszają tematy, zdawałoby się, niedzisiejsze. Żyjemy bowiem w niepewności politycznej, gospodarczej i ekologicznej. Świat ulega znaczącym przekształceniom, na które być może nie jesteśmy jeszcze gotowi. Zapominamy o tym, co jednostkowe, małe i intymne, ponieważ nie mamy czasu na pamięć. Żyjemy w biegu, a najważniejsze są dla nas osiągnięcia, produktywność. Boimy się, że chwilowe potknięcie wykluczy nas z turnieju i to nie nam przypadnie przypisana wcześniej nagroda. Tymczasem Michalski, wyrwany z tej ryczącej rzeczywistości, pisze: „Plakałem nad Norwidem / wiem – obciach i żenada”. I tym wyrwa mnie z przerażającego biegu. ■

Łukasz Michalski: *Smokonie*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2021, s. 72.

Srebrne i czarne – tak nazywał się drugi tom poetycki Leszka Józefa Serafinowicza, znanego bardziej jako Jana Lechonia, wydany w 1924 roku. Tytuł nawiązywał do motywów funeralnych. Natomiast na okładce najnowszej książki Karoliny Kułakowskiej *Dziki marzyciel. Opowieść o Oskarze Kokoschce* widnieje portret austriackiego malarza (autorstwa Kułakowskiej) w silnej, kontrastującej kolorystyce. Wychodząc od rozważań związanych z tytułem, to istotnie artysta miał w sobie dzikość, i marzycielstwo, ale Kokoschki marzenia, oprócz sztuki, były przede wszystkim związane z miłością szczęśliwą i trwałą, a okazała się – naiwną, choć inspirującą. Jeśli miałbym wybrać dwa rzeczowniki po przeczytaniu *Dzkiego marzyciela*, które mogłyby określić tę książkę, a może i wnętrze głównego bohatera to wybrałbym – „stęchliznę i śmierć”.

Owa stęchlizna i śmierć towarzyszy Kokoschce od dzieciństwa, wyczuwa ją w swym domu, w sanatorium, w swych pracowniach. Lubi portretować osoby z neurozami, dandyśców „naznaczonych śmiercią”. Publikuje i rysuje grafiki do *Der Sturm*. Jego obrazy zaczynają być doceniane. Terminuje u Gustava Klimta, później jego przewodnikiem stanie się Adolf Loos. Zakocha się Almie Mahler, którą chce poślubić, z tej chorobliwej miłości powstanie przepiękny obraz *Narzęczona wiatru*. Czytając zbeletryzowaną biografię austriackiego ekspresjonisty autorstwa Kułakowskiej, dostrzegam u Kokoschki artystyczne powinowactwo z holenderskim Vincentem van Goghem oraz z nieokrzesanym francuskim, poetą Arturem Rimbaud. Kokoschka jawi się jako dzikus, który jest owładnięty metafizyką, manią tworzenia obrazów, sztuk, wierszy; naznaczonych rzecz jasna dekadentyzmem. Oskar, mimo że bliżej mu było do dekadentyzmu i symbolizmu, ekspresjonizmu, potrafił docenić również renesansowych tytanów sztuki, wspominał: „Ten geniusz renesansu wiele razy zmuszał mnie do przemyśleń. Kogo by nie mógł zainspirować? Perfekcyjnie opanował swój warsztat. Miałem to w planach: być wszechstronnym, radzić sobie z różnymi dziedzinami. Pod tym względem secesja była trochę jak renesans. Doceniałem kunszt poprzedników. Chciałem jednak stworzyć coś nowego, tchnąć w sztukę jeszcze więcej skrajnych emocji, przekroczyć jej granicę”. W taki sposób austriacki malarz zachwycał się *Pietą* Michała Anioła. Wszechstronność artysty polegała na przekazie nie tylko pędzlem, ale i słowem, pisząc dramaty – i tu kolejne nawiązanie, porównanie samo nachodzi na usta, na myśl, iż ten biogram byłby niezłą paralelą do życia Stanisława Ignacego Witkiewicza, który żył w tych samych czasach.

W trakcie lektury *Dzkiego malarza* – poznajemy rodzinę Kokoschki, czytamy o jego wyjeździe do Szwajcarii, gdzie malował gruzlików, aby się „rozmalować”. Dowiadujemy się o jego znajomości z Adolfem Loosem (mentorem), który doradzał: „oczywiście chodziło o to, by w swoim malarstwie zachował nieco dzikości, ale przy tym nie bawił się w tamtą estetykę. Ornament był zbrodnią, tak uważałem i to też próbowałem mu przekazać”.

Stęchlizna i śmierć

KSIAŻKI

Nie tylko Loos dostrzegł w Kokoschce potencjał, „w jego niespokojnej kresce czaił się niezwykle talent” oto słowa samego Gustava Klimta. Kolejną postacią, która miała wpływ na twórczość Oskara Kokoschki – to jego miłość, modernistyczna *femme fatale* Alma Mahler „sprowadzająca na mężczyzn same problemy”. Obawy Loosa związane z szaleńczą miłością Kokoschki, możemy odczytać w *Dzikim malarzu*: „Oskar miał obsesję na punkcie Almy. Czułem, że ta kobieta miała na niego zły wpływ. Nagle, z dnia na dzień, wszystko zaczęło się kręcić wokół niej. Moje obawy podzielali też moi bliscy i przyjaciele, ponieważ odcinał się od wszystkich. Początkowo bałem się, że mój młody przyjaciel przestanie zupełnie tworzyć i zatraci się w tym romansie. Szczęśliwie okazało się, że malował więcej niż zwykle, ale za to każda postać miała jej twarz. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, usunąłem się w cień”. Alma Mahler powiedziała Oskarowi: „Wyjdę za ciebie, jeśli namalujesz wielkie dzieło”. Tak powstał niezwykle obraz *Narzęczona wiatru*. Kokoschka, obawiając się złego przyjęcia obrazu przez swoją wybrankę, pomalował swoją pracownię na czarno, „wyglądała jak wnętrze grobu, mroczna i tajemnicza”. Mahler, o dziwo, była zauroczona obrazem, w końcu dostrzegła w Oskarze potencjał artysty „Gustav miał rację – Oskar był zdolny do stworzenia arcydzieła. Gdy zobaczyłem *Narzęczoną wiatru*, zaniemówiłam. To było prawdziwe mistrzostwo, niezwykła harmonia odcieni błękitu i zieleni. Moja podobizna leżała na morskich falach, u boku tego, który mógł uciszyć burzę. Niesamowite”. Ale zachwyty, dzieło, uznanie nie wystarczyło, aby miłość Tristana i Izoldy (Oskara i Almy) przetrwała. Gdy przyszła pośmiertna maska pośmiertna Mahlera, byłego męża Almy, wybuchła kłótnia pomiędzy Kokoschką a narzęczoną. „Kilka dni później Alma udała się rano do kliniki, by usunąć dziecko, pozbyć się tego, co moje, owocu wspaniałej na-



PAWEŁ MAJCHERCZYK

miętności” – wspomni austriacki ekspresjonista. Po rozstaniu z Almą, Oskar zlecił projekt kukły, która przypominała w każdym szczególe jego narzęczoną (wielkość, miękkość skóry). Chodził z lalką po Wiedniu, zabierał do opery, na spotkania ze znajomymi. Malował ją. „Nocami ogrzewałem ją ciepłem swojego ciała. Zasypiałem wtedy niemal natychmiast, w ciemności nie zwracając uwagi na jej brak oddechu. Mimo drobnych, ale niemożliwych do wyeliminowania wad dzieło lalkarki Hermine Moos było tak idealne jak jego pierwowzór”.

Autorka interesująco poprowadziła narrację, oddając głos rodzinie, znajomym, którzy zapoznają nas z uczniem Klimta. Sam Kokoschka również się wypowiada, dzieląc się uczuciami miłosnymi, przeżyciami pierwszych wystaw, podnietami artystycznymi oraz kreśli sylwetki najbliższych. Bachtin stwierdził, że Dostojewski stworzył nową powieść, powieść polifoniczną. W najnowszej książce Kułakowskiej dostrzegam wielogłosowość, która tworzy mało znany zabieg prezentacji głównego bohatera. Polifoniczność notatek, listów, spowiedzi zaciekawia i nadaje dobre tempo czytania. Należy wspomnieć, iż autorka jest nie tylko poetką, ale i malarką. Ta informacja wiele tłumaczy umiejętność wniknięcia w koloryt, w płótno; wiele wyjaśnia skąd ta wiedza, emocje i zrozumienie artysty. Malarstwo potrafi zrozumieć i opisać bardzo dobrze sam malarz, malarka. *Dziki marzyciel* Karoliny Kułakowskiej to świetna proza, którą Państwu polecam, jest ona odpowiednim preludium do zapoznania się z niezwykłym artystą, nadal mało znanym w Polsce – Oskarem Kokoschką. ■

Karolina Kułakowska: *Dziki marzyciel. Opowieść o Oskarze Kokoschce. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2021, s. 54.*

„Słowa nie garną się do mnie, nie składają w wersy” wyzna w utworze *Mira i Kup mi las* autorka książki poetyckiej *Awatary* Agata Chyłek (Cichy). To oczywiście nieprawda. Poetka używa tylko innego, nazwijmy go epickiego zapisu, bo z odległym i nieco passé terminem prozy poetyckiej jej twórczość w tradycyjnym rozumieniu ma niewiele wspólnego, zwłaszcza jeśli idzie o takie jego cechy jak wyszukane słownictwo czy charakter liryczno-opisowy. Wszystko jest tu na wskroś nowoczesne, zwłaszcza język, w którym „ślizgając się myślami” „zwierzę pamięci” z powodzeniem zastępuje tradycyjne rozważanie, choć namysłu nad światem nie brakuje.

Lekturę *Awatarów* trzeba rozpocząć od jeszcze jednego spostrzeżenia. Otóż tom jest nie tylko przygodą ze słowem, ale także obrazem. Współcześnie badacze literatury, dostrzegając dominującą rolę komunikacji wizualnej nad werbalną, wprowadzili termin „książki obrazkowej” określanej mianem ewenementu natury edytorskiej, gdzie obraz gra pierwsze skrzypce, a warstwa słowna jest jego dopowiedzeniem odwrotnie niż w „książce z obrazkami”. U Chyłek widoczna jest jednak artystyczna równowaga, która zapowiada podtytuł tomu *poezja i obrazy*. Oba światy są zatem komplementarne, a łączą je nie tylko: „seledyny, turkusy, amaranty, oranże” ale pewna prowokacyjność płynąca z obu zapisów oraz nieustanna rozmowa figuratywnych kolaży z assemblażowym światem *Awatarów*, ich krótkich jak błysk relacji i barwnych postaci, jak mieszkańcy nieparyskiej Cyganerii, bo tak ochrzciła swoją tyska ulicę autorka.

„Polonistka, poetka, aktorka, performerka, pasjonatka malarstwa, fotografii artystycznej, animatorka kultury – tak anonsuje Agatę Chyłek (Cichy) okładka książki. W skrzydełkowej recenzji Izabela Fitkiewicz-Paszek napisała: I tym razem [po tomie *Piołun* – PS] dostajemy opis świata, w którym nie żyje się przyjemnie. Wszystko się tu miesza, historie (głównie kobiece) rodzimych lęków, traum i chłodu – z pandemią AD 2021, sterty fotografii z targu – z wewnętrznym dzieckiem odnalezionym wśród zabawek, poetka Mirka Szychowiak w Krakowskim mieszkaniu Wisławy Szymborskiej – z bezdomnym Mahometem na hulajnodze (pierwszym po Bogu!), a powidoki dzieciństwa – z dymem z fajki otoczkami Jurka Suchanka”. I trudno się dziwić, bo sama poetka w ekfrazie *Mira i Kup mi Las* wyzna: „Mam las mieszany w głowie i nie zasypiam kolejną noc w wielkim Macondo”. Zbigniew Kadłubek zwraca natomiast uwagę na funkcjonowanie w twórczości Chyłek toposu *theatrum mundi* i jej powinowactwo z Plautem: „Bo nie my jesteśmy graczami, to nami grają”. I zaraz w najczulszym kręgu naszej niepamięci zjawiają się słowa pana Ignacego: Głupstwo, wszystko głupstwo!... a wam, gdybyście myśleli, mogłoby się zdawać, że to jest coś wielkiego!...”

Głupstwem jest zatem sąsiadka z parteru, która ma: „spięty na czubku głowy kucyk z siwych rzadkich włosów”, dziewczęca palemka trzymana różową frotką, i którą ze snu-śmieci obudzi niespodziewana miłość. Głupstwem *Mahomet pachnący bezdomno-*

Widzę WAS

KSIĄŻKI

ścią. Głupstwem my wszyscy. Chyłek kładzie na stół coraz to nowe karty wcielenia. Obserwuje uważnie otoczenie i siebie:

„Nie jestem jeszcze starą kobietą wyglądającą na ulicę z wysokości balkonu. Jestem pośrodku nieparyskiej. Jeszcze za młoda na Uniwersytet Trzeciego Wieku i za stara na wioskę języka angielskiego Angloville.

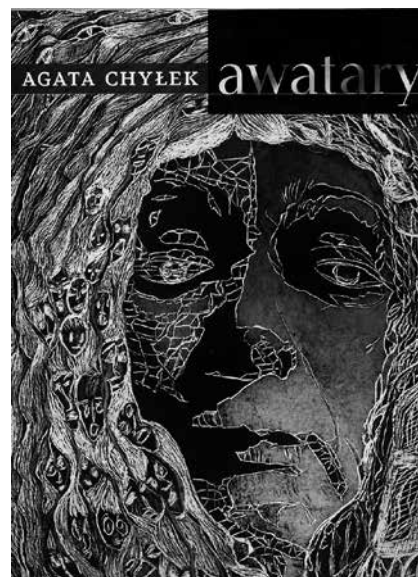
Mój balkon – obserwatorium meandryczne. Teraz furczą z niego tęczowe wiatraki, sinieje kapusta i pelargonja wieloródka (całe lato w kwiatkach i jesienią na przekór wąpiącym w możliwości po rozrodzie, amarantowo). Nie mam wpływu na ulicę, ona czasami płynie, czasami brzęczy nomadą – furczakiem gołąbkim, ryczy po ukraińsku, zastęga jak kraina św. Mikołaja w szklanej kuli, wystarczy wstrząsnąć noski z platanów, śnieżny pył.

Dzisiaj byłam jak muszkatka skryta za przętami, a moja *rue Au milieu de la ville* zmieniła *image*. Niemi w odbłaskach w *November* (nie) *rain* robili ją na bóstwo.

Przed moją pięćdziesiątką dostanie nową gębę i organizację ruchu – na czarnej nawierzchni białe pasy jak barykady, chody lub klawisze. Walczyć, wspinać, koncertować będzie nieparyska.

Pięćdziesiąt pięć plus – wiek graniczny, łudzę się, że widzę to, co niewidzialne, dopóki nie założę szkieł z dna dnia (...).

Niebanalne skojarzenia, spreparowane barbarzyzny, personifikacje, owo „dno dnia” będące metaforą nacechowaną wyraźnym zestrojem brzmieniowym nadają stylowi autorki *Awatarów* niewymuszonej lekkości i finezji. Nie jest to co prawda *Paw Królowej*, ani jakikolwiek „paw”, ale owa „mieszanka” nadaje językowi potoczności, swobody i autentyczności sprawiając, że kiedy *Mahomet pachnący bezdomnością* zawoła: „Jestem Mahomet, pierwszy po Bogu. Zrób mi miejsce, kurwo!” po prostu mu wierzymy. Świadomość językowa ujawniają również same utwory nie tylko poprzez rozbudowane nieco homeryckie porównania. Ob-



PIOTR SKOWRONEK

serwując rzeczywistość w czasie pandemii w tekście o dwuznacznym tytule *Wymazana* Chyłek stwierdza:

„Bezobjawowo, ale wymazana, mam nadzieję, jeszcze nie z życia, wyszłam na nieparyską, bo zachód malował onirycznie jak z najlepszych snów, które chce się pamiętać, chociaż czas wciąż ten, który chciałoby się opuścić jak salę kinową z nadmiarem reklam zapowiadających horror, na który dostało się bezpłatny bilet.

Taki imperatyw zbiorowego przymusu, jedynej wątpliwej rozrywki w ostatnim pociągu donikąd. Takie niekończące się zdanie wielokrotnie złożone z oczekiwaniem na kropkę i wiarę, że oniryczna jaskrawość zachodu wróży ujemny wynik, który po raz kolejny, jak nigdy w życiu, będzie pozytywnym zakończeniem sensu. No, czy coś takiego, gdy już nie wiesz, gdzie ci lepiej – za czy poza nieparyskim balkonem?”

Utwory *Awatarów* zwierają w sobie nie tylko topografię miasta zamieszkania autorki, czyli przestrzeń najbliższą, wsobną, ale także reminiscencje rodzinnych historii, jak choćby wspomnienie teściowej i jej wędrowni „wzdłuż drutów kolczastych obozu koncentracyjnego”, kiedy za myśl o pomocy uwięzionym otrzymała mocne uderzenie w policzek od matki, a „Smak krwi mieszał się z wrzaskiem: – Zapamiętaj na zawsze, że ten chleb może kosztować twoje i moje Życie!” Przywołane w utworze *Łamiąca zakazy (1 XI 2020)*, w którym bohaterka przedostaje się na za zamknięty pandemicznie cmentarz wypowiada taki oto komentarz: „Dziwne to wspomnienie, akurat w takiej chwili, ale czy mamy wpływ na to jakie obrazy przywołuje podświadomość?”. No właśnie, czy mamy na to jakiś wpływ, czy powtórzymy za poetką: „Gdy zdjęto zły czar, świat się nie skończył. / Widzę WAS?”

Agata Chyłek, *Awatary*, Biblioteka Śląska, Katowice 2021, s. 64.

Podmiot wykreowany przez Janinę Barbarę Sokołowską w tomie wierszy pt. *Nikt* zaprasza czytelnika do świata swoich rozważań. Ujawnia przed odbiorcą głębokie przeświadczenia, które wynikają z wnikliwych, czułych refleksji na temat rzeczywistości. Podmiot ten jest wrażliwy, dociekliwy i niezwykle drobiazgowy; w swoich dociekaniach przybiera jednak rolę obserwatora. Zdaje się stać z boku i analizować otaczającą go rzeczywistość z pewnego dystansu. Leszek Żuliński określa utwory Janiny Barbary Sokołowskiej „introspektywnymi” i trudno byłoby się z tą opinią nie zgodzić, bowiem Sokołowska niejako podgląda świat, starając się zachować właściwą odległość, jakby w próbie zmiany perspektywy na szerszą – gdy staniemy dalej, często, paradoksalnie, dostrzeżemy więcej. Ma to miejsce również w przypadku utworów głęboko intymnych, dotykających najbliższych sfer życia podmiotu. Zmiana perspektywy jest szansą na dostrzeżenie obiektywnej prawdy, odcięcie się od emocjonalności, która powoduje sprzeciw i chęć zmiany tego, czego nie można zmienić.

Znamienny tytuł tomiku zawiera w sobie pewien paradoks, wiążący się z głęboką refleksją filozoficzną na temat funkcjonowania człowieka we wszechświecie. Podmiot, będąc śmiertelnym, odczuwa niezwykłą więź ze światem, postrzega samego siebie jako wyimek kosmosu, w którym to każda jednostka posiada tę samą wartość i składa się z tej samej materii. Nie jest on więc nikim, jest wszystkim. Jak czytamy w utworze *Wafelki i kamień*: „jestem siostrą gołębi. srebrną ciszą dźwiękiem / rzeczonym kaczęncem który płynie przez sen / jak było na początku w całym koncepcie świata [...] / wafelkiem. kamieniem”. Tę szczególną więź ze wszechświatem dostrzegamy również w *Świadectwie z fizyki*: „jestem w ziarenku piasku. tym srebrno-żółtym pyłem / z galaktycznych sfer. najmniejszą budowlą kosmosu”. W kontekście drugiego wiersza jest to jednak poczucie jedności wynikające ze świadomości kruchości swojego ciała – ze świadomości śmierci.

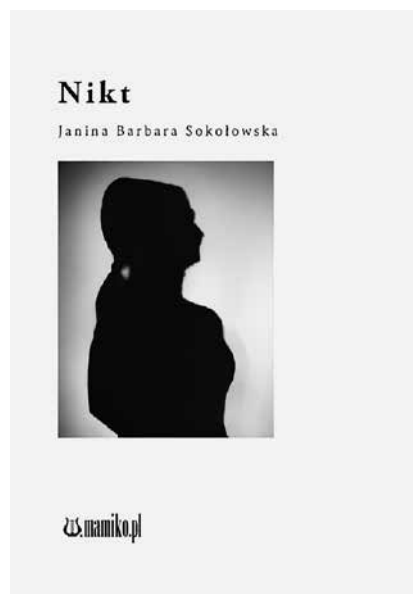
Zbiór liryków poetki został podzielony na trzy części. W każdej z nich podmiot obserwuje i analizuje inne składowe światła, dzieląc się swoimi spostrzeżeniami z czytelnikiem. Wspomniana śmierć stała się stałym tematem utworów zawartych w kolejnych rozdziałach książki. Postrzeganie owej śmierci zostało jednak ujęte w wyjątkowy sposób. Wiąże się z nią poczucie lęku i bezradności, ale także — z powodu introspektywnego dystansu, jaki obiera podmiot w swoich obserwacjach — staje się ona zjawiskiem możliwym do oswojenia i zaakceptowania, nawet gdy osoba mówiąca doświadcza śmierci osób najbliższych — matki, ojca, samej siebie: „witajcie moi bliscy. witaj tato / leżysz tu. a ja tam”.

Znaczną część rozdziału pierwszego stanowią utwory poświęcone wspomnieniu matki. Wybrzmiewa z nich szereg silnych emocji: czułość („taka słiczna przyszedł w mój sen. może śniłaś mnie / przez kamień gra-

nit i korytarze rajskiego ogrodu”), wnikliwość („kurczowo łapię się myśli z dzieciństwa / że tego wszystkiego nie ma / przecież matki są wieczne”) oraz lekka ironia („w matki podejściu do wiary / spopielone nie mieści się w głowie [...] / a ja nie wiem. może jednak lepiej / wystrzelić płomieniem. wspiąć się / dymem ku niebu. zawsze to bliżej / tak na wszelki wypadek”). Śmierć, mimo początkowej niezgody, staje się dla podmiotu formą zjednania się ze światem, z naturą – jest naturalnym zjawiskiem, które czeka każdego, chociaż „zawsze nas zaskakuje. przychodzi nie w porę”, ponieważ „żyjesz tak długo że trudno uwierzyć w śmierć”. Pozostaje więc tylko pytanie: „czy kłać na śmierć czy ją chwalić”?

Wiersze skupione wokół tematu śmierci poruszają również temat religijności, która jest bardzo rozchwiana i podważana przez podmiot („ostatnie słowa żegnają odchodzącego / w wieczność / śpiewają z uniesieniem że Pan Jezus / już się zbliża / do tej pory był daleko?”). Pojawiają się pytania o słuszność wiary w perspektywie odejścia i chęć jego racjonalizowania, rozważania na temat drogi, jaką należy przejść, aby zaznać wieczności oraz niemożliwa próba ujęcia śmierci z perspektywy życia, a więc pytania: „jak można spać w nieskończoność”? Podmiot kurczowo trzyma się życia, jednak zdaje sobie sprawę z braku możliwości wyboru: „wiedz Stwórco że nie oddam mojego życia za nic / wezmiesz je sobie bez pytania”.

Istotną staje się również refleksja dotycząca kondycji świata, który przepełniony jest grzechem („każdy chce żyć bez grzechu w idealnym świecie / ale coś nie wyszło z tą rajską istotą. ani z tym światem”) i niezrozumieniem, świata zniewolonego przez wadliwy kodeks moralny. Janina Sokołowska porusza tematy społeczne, spoglądając na nie z prywatnej perspektywy, obserwując i wyciągając wnioski jako jednostka. Szczególnie dostrzegamy to w utworze *Czułość*:



Siostra gołębi

KSIAŻKI

ALICJA WOSIK

„ale czy to nie nudne oglądać z góry zatruty klimat / beładny taniec pogubionych. chore zimne miasta / zamachy i wojny w imię boga” oraz w sąsiadującym z nim *Piekle kobiet...*: „nie chcą być heroiczne, nie chcą być matką Polką / nie chcą być trumną // lecz tu obowiązują skostniałe poglądy i wrodzona wiara”. Te dwa utwory w najbardziej jawny sposób poruszają współczesne tematy społeczne — wątek katastrofy klimatycznej, wojen, prawa wyboru — nie rezygnując jednak z motywu przewodniego tomu, który przepełniony jest atmosferą śmierci. Tytułowa *Czułość* wiąże się zarówno z krytycznym podejściem do rzeczywistości, jak i z podkreśleniem konieczności świadomości śmierci, ponieważ jest ona „anonimem wysłanym znieścacka”. *Piekle kobiet...* z kolei demaskuje okrucieństwo wynikające z braku prawa do decydowania o swoim życiu i zdrowiu, narzuconego przez tych, którzy „umywają ręce”, gdy „zgarbięty czyjś los krzyczy z bólu”.

Tom zostaje zamknięty cyklem trzech utworów, z których każdy nosi w tytule hasło *Spowiedź* (I, III i III), będącym pewnym zwieńczeniem tematyki śmierci. Charakterystyczny dla nich jest kolejny, jawnie podjęty przez Sokołowską temat społeczny — wątek zarazy, izolacji, pandemii, przez którą straciłszy tak wielu.

Poetka w swoich utworach z wyjątkową wrażliwością oswaja śmierć i demaskuje problemy współczesnego świata z perspektywy jednostki. Wiersze Sokołowskiej są niezwykle prywatne i subiektywne, stawiające pytania, na które często nie można udzielić odpowiedzi w zgodzie z religią wybrzmiewającą w niemal każdym z utworów. Należy jednak pamiętać, że „nie mamy nic do stracenia tylko życie / to znaczy – wszystko”.

Janina Barbara Sokołowska: *Nikt*. Mamiko, Nowa Ruda 2021, s. 60.

Piękno wyobrażeń i duchowości

JANUSZ KARBOWNICZEK

Antoni Kowalski jest malarzem wymykającym się zasadom klasyfikacji i wpisywania w pojawiające się nury i opcje w sztuce. Jego postawa, daleka od koniunktury i osaczających nas modnych trendów, jest postawą, w której uczciwość i szlachetność celu wynika z wiary w potrzebę uprawiania sztuki. Twórczość w takim rozumieniu stanowi rodzaj powołania i misji – o czym zauważa autor w swych tekstach – a dla twórcy-pedagoga jest zapewne warunkiem.

Idea malarstwa artysty osadza się na dialogu z tradycją, z wielokulturowością. Kultura ludzka jest wartością wspólną, stąd pojawiające się w jego ikonografii motywy tradycji chrześcijaństwa, judaizmu, kultury średniowiecza, renesansu stapiają się w jeden wspólny wątek ogólnoludzki, w wątek człowieka oddanego medytacji i jego refleksji nad postawą wobec Stwórcy, wobec sacrum.

Tytułowe *Modlitwy /czasem Medytacje/* stanowią zarówno dialog ze Stwórcą, jak i wyznanie Prawdy, są świadczą z tych spełnionych i niespełnionych zdarzeń. Intencyjność skierowana jest ku sprawom duchowym, boskim, ku konkretnym duszom, bądź tylko ku istocie Piękna. Często jest to oddanie pokłonu indywidualnościom, któ-

re znalazły się na drodze życia bądź w kręgu zainteresowań i poszukiwań artysty (*Modlitwa dla Jana Pawła II, olej – 2004, Modlitwa dla Jerzego Dudy-Gracza, olej – 2005, Modlitwa dla Czesława Niemena, olej – 2004, Modlitwa dla Zdzisława Beksińskiego, olej – 2005/*; nade wszystko stanowią hołd złożony ponadprzeciętności, ludzkiej transgresji i zmaganiom w przekraczaniu „Niemożliwego”.

Artysta tworzy poświęcone przestrzenie, w których rozgrywa się teatr wyobrażeń i nadziei, a nie spełnień czy faktów. Topografia ich sytuuje się we wnętrzach mistycznych katedr, w półrealnych pejzażach z Boscha, w pozaziemskich tajemniczych przestrzeniach pełnych ludzkich śladów, znaków i oczekiwań na coś, co ma się spełnić.

Estetyka obrazów wynika z przeżycia Piękna, z jego uszlachetnienia rzetelnością technologiczną, umiejętnościami warsztatowymi oraz intelektualno-medytacyjnym skupieniem. Finezja rysunku dba o najmniejszy szczegół wyobrażenia, o kunszt formy, o zespolenie jej z bogatą paletą odcieni złota, czerwieni, błękitów i ich pochodnych zawartych między szlachetnymi laserunkami a chropowatymi strukturami materii.

Symbolika malarstwa wywodzi się z symbiozy człowieka z naturą, z jego

uwikłań z historią i tradycją jak i z jego zwykłego, codziennego losu oraz tej jego części, dotykającej istoty stworzenia.

Często pojawiające się motywy zamknięcia: tuby, pudła, opakowania owinięte muslinem to rodzaje relikwii bądź symbole odległych nieraz bytów ludzkich, przelewająca się szeroko woda – znak regeneracji i płynności życia, pojawiający się motyw kamienia jako metafora pamięci czy ślad historii – wszystkie te idee składają się na opowieść o nas „bez nas”. Kolumny jako trwałe elementy obecności człowieka, zwoje papirusów, ażurowych tkanin, wreszcie pojawiające się często zwielokrotnione antropomorficzne formy, takie ideo-instalacje – jakby pojedyncze losy ludzkie opatulone teatralnym uniformem. Przypominają nam gogolowskie martwe dusze, lecz wystawione nie na handel, ale wskrzeszone i ożywione przez autora na ten szczególny moment pojednania, na czas szukania harmonii i porządku.

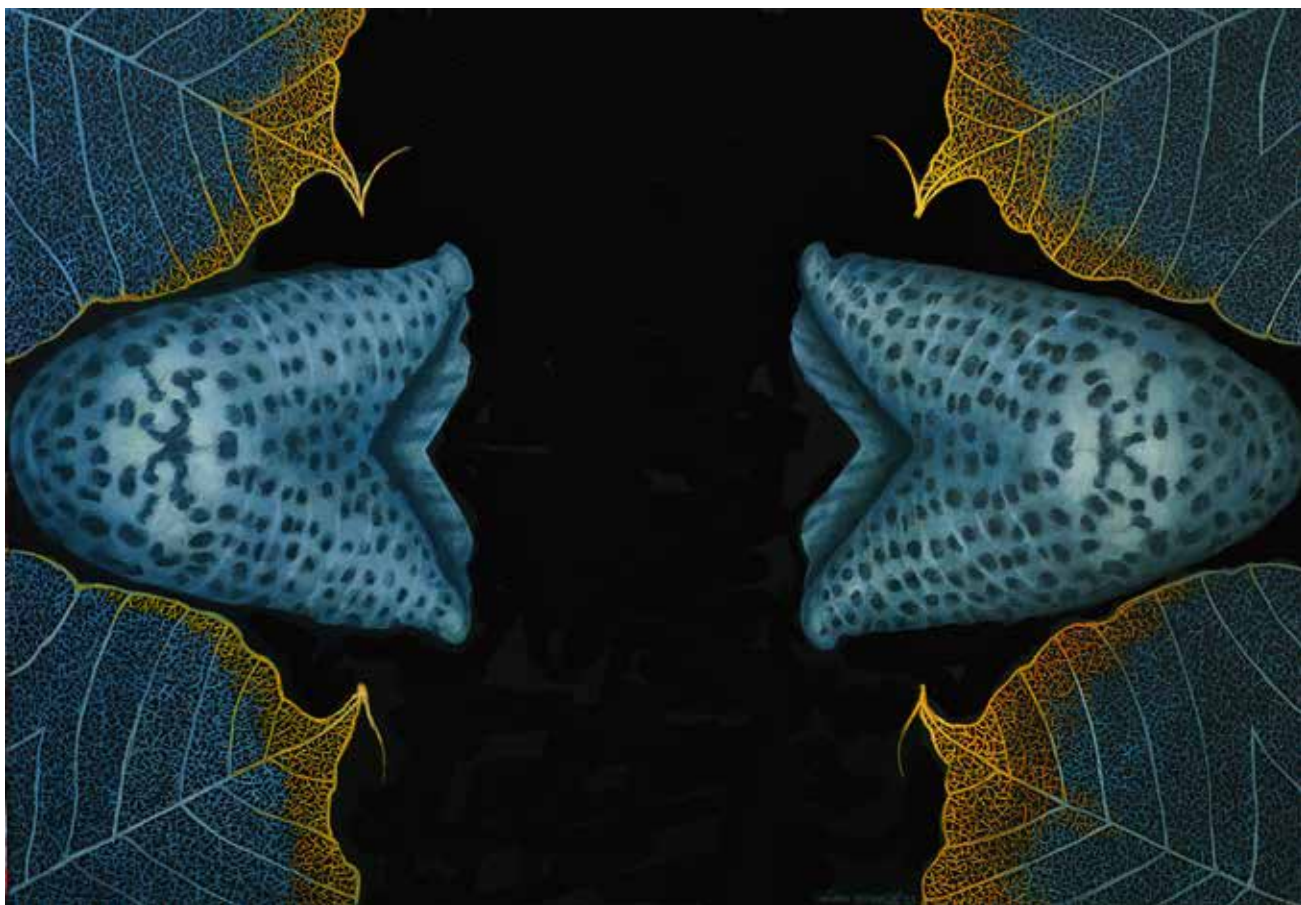
Modlitwa jest prośbą o spełnienie i to wyznanie jest przekazem artysty, jest wiarą w pozytywną moc tworzenia, wiarą w człowieka jako wartość, w jego szlachetność i wyjątkowość.

Odbiór poprzez kontemplację – o ile jeszcze nie zatraciliśmy tej wrażliwości – pozwoli nam dotknąć przesła-

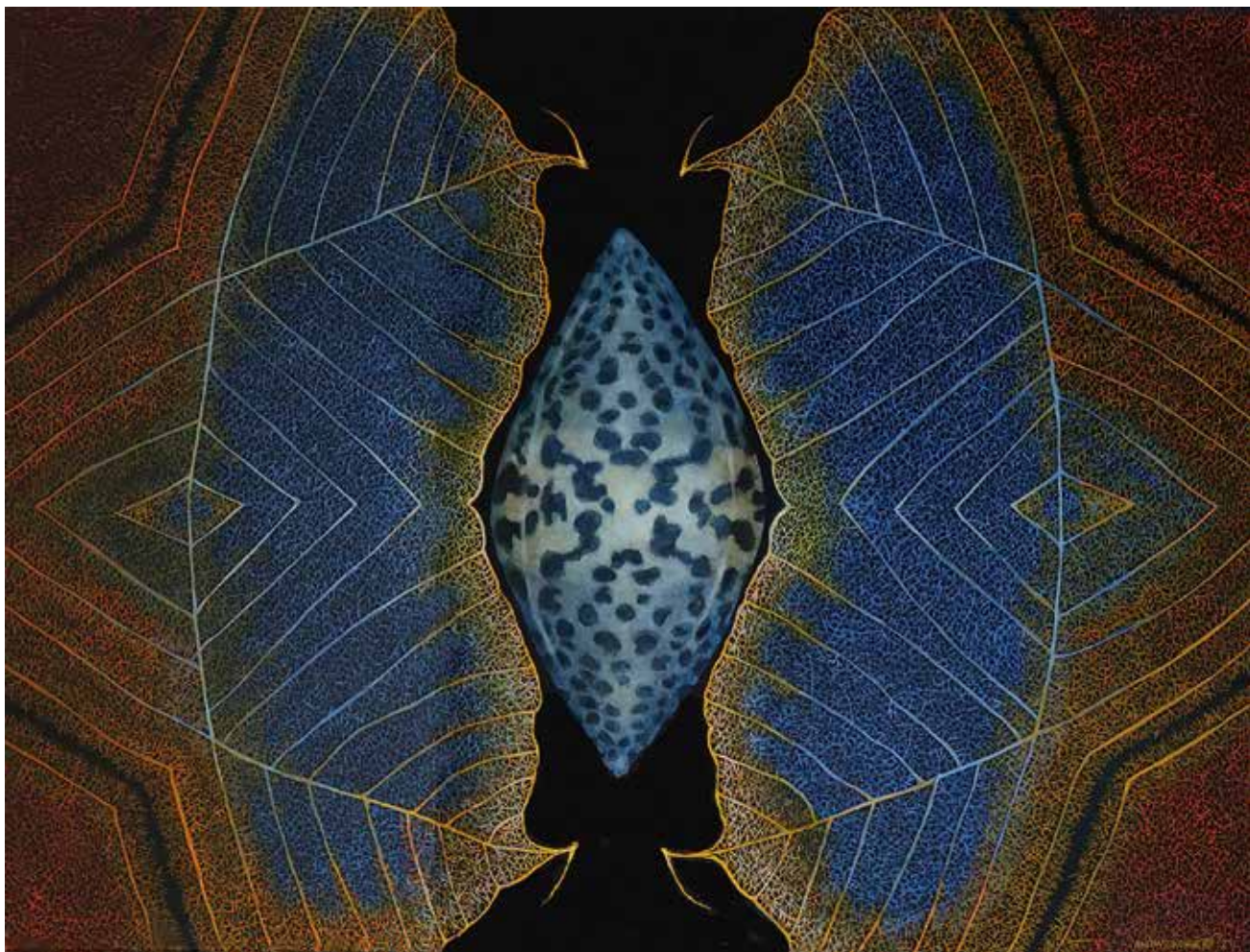
nia artysty i zastanowić się nad sobą. Jest to jedyny sposób na dostrzeżenie wewnętrznego sensu przekazu dotyczącego istoty Tajemnicy, a przykrytego z zewnątrz estetyką akcesoriów. Możemy powtórzyć za Jacques'em Maritainem, że owo Piękno uszlachetnione jest przez mądrość.

To malarstwo głęboko refleksyjne zmusza widza do oderwania się od wypływającego wyobraźnię świata multimediów i szokujących, modnych dziś prowokacji i kieruje ku zagłębieniu się w świecie duchowym, w świecie marzeń i pragnień, który powoli zaczyna nam uciekać (...).





Antoni Kowalski, Dezyderata IV, olej, 70x100 cm, 2021



Antoni Kowalski, Dezyderata VI, olej, 97x139 cm, 2021





ARNON KOWALUK 20



Antoni Kowalski 2019

Antoni Kowalski, *Eden - Tajemnica II*, olej, 130x97 cm, 2019

Nowa Muzyka i Anna

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Nowa Muzyka to pojęcie już dosyć stare, jako że sam termin i jego odmiany, takie jak *Neue Musik*, *Nova Musica* czy *stile moderno* (versus *stile antico*), ma długą tradycję, sięgającą aż do Jehana des Murs (Johannes de Muris) *Ars novae musicae* z 1321 roku i Philippe'a de Vitry'ego *Ars nova* z 1322–23. Ogólnie, zgodnie z de Vitry'm, oznacza muzykę, której innowacyjne zacięcie i cechy specyficzne wyraźnie odróżniają ją od poprzednich stylów i wyznaczają nowe kierunki w podejściu do zagadnień technicznych i ekspresyjnych. W XX wieku wyrażenie to początkowo stosowano w odniesieniu do zjawisk kompozytorskich o charakterze antyromantycznym, nietonalnym, „dysonansowym” i w dużej mierze eksperymentalnym, tj. bruityzmu, dodekafonii, serializmu, sonoryzmu, minimalizmu i tym podobnych – w takim sensie pisał o Nowej Muzyce Bogusław Schaeffer, autor klasycznej już pracy pod tymże tytułem. Jednak w ciągu trzech dekad, które zamknęły XX stulecie zaczęto go używać w odniesieniu do każdej muzyki (na)pisanej przez kompozytorów współczesnych – w tym tej w założeniu otwarcie nawiązującej do tradycji: quasi-romantycznej czy neotonalnej. A zatem panuje tu bałagan niezmierny, gdyż i w mediach zajmujących się muzyką popularną pojawiło się pojęcie Nowej Muzyki oznaczające, jak się domyślam, wszystkie najnowsze piosenki, a nie wyłącznie wszystkie najnowsze tendencje.

Nowa Muzyka jest więc terminem nieostrym – oznacza „wszystko i nic”. Można się wszakże upierać, iż właściwie – przeciwieństwo wszystko zależy od kontekstu – o Nowej Muzyce wciąż da się mówić i pisać, choć nie jest to nazwa określająca jakiś konkretny przedział czasowy albo odrębny styl. Prawdopodobnie najłatwiej i najwygodniej uznać dzieło Debussy'ego za pierwszy przejaw Nowej Muzyki w dobie współczesnej, a to z tytułu przerwania uwagi z ustalonych zabiegów formalnych (np. architektoniki formy sonatowej) oraz energii narratywnej rodzącej się z dynamicznych własności harmonii tonalnej (czyli ciągów napięć między akordami) na swobodę formalną: wychodzenie poza tonalność przy użyciu niezwiązanych z harmoniką funkcyjną układów (zbiorów) skalo-wo-interwałowych; i kolorystykę instrumentalną. Od czasu Debussy'ego właśnie

kolorystyka orkiestrowa stała się terenem coraz intensywniejszej pracy badawczej kompozytorek i kompozytorów: to w końcu eksperymenty z barwami wokalną i instrumentalną zaprowadziły ku muzyce częstokroć odartej z konwencjonalnych melodyki, harmoniki, rytmiki, które ustąpiły pola operacjom stricte kolorystycznym.

Ów kierunek poczynań kompozycyjnych miał liczne konsekwencje. Wśród negatywnych wymienić można – między innymi – bezdyskusyjną niechęć, ba, wrogość muzyków (i publiczności) wobec dźwiękowości oddziaływującej podówczas na zmysły li tylko za pomocą niezwykłych, szokujących efektów, z których wiele osiągnęto jakby na przekór tradycyjnej technice instrumentalnej – no bo cóż to za muzyka, w której do minimum zredukowano samą muzykę w ogólnie przyjętym słowa tego znaczeniu? Wśród konsekwencji pozytywnych najistotniejszą jest pojawienie się najpierw pojedynczych artystek i artystów, potem całych grup, zafascynowanych możliwościami brzmieniowymi nietypowego materiału i współpracujących z twórcami nad rozwojem nowych technik wokально-instrumentalnych.

W pierwszych dwudziestu latach XXI wieku owe tendencje nabrały rozmachu w momencie dojścia do głosu kontynuatorów – by nie powiedzieć imitatorów, epigonów – kompozytorów takich jak Iannis Xenakis, George Crumb, Helmut Lachenmann oraz Brian Ferneyhough. Szczególnie dzieło Lachenmanna cieszy się wzięciem. Muzykę tę od dawna nazywam *sonoryzmem analitycznym* lub *mikrosonoryzmem*, a to ze względu na podejście do problematyki nowych barw: twórca w pocie czoła analizuje i rozszczepia „na czynniki pierwsze” znane z muzyki awangardowej podstawowe techniki sonorystyczne (jak pobudzanie pudła instrumentu palcami), kreując brzmieniowe efekty jeszcze bardziej zróżnicowane niż te oryginalne, niegdyś szokujące, sposoby wydobywania dźwięku lub głosu. Uzyskuje w ten sposób ogromną paletę unikalnych barw. Jak można sobie wyobrazić, radość grania takiej muzyki odczuwać potrafią tylko maniacy całkowicie oddani Sprawie – lecz maniacy mili, bo ktoś kto się tego wszystkiego chce nauczyć budzi raczej sympatię niż podziw (choć to też), zaś podziw bar-

dziej niż dobrotliwą niewiarę w sens benedyktyńskiej roboty.

Do grona tych miłych fanatyków należy skrzypaczka Anna Kwiatkowska. Nie od dziś zachwycam się jej inteligencją, wiedzą, wrażliwością interpretacyjną, umiejętnością technicznymi, a także zarazliwym entuzjazmem. Po ukończeniu krakowskiej Akademii szlifowała umiejętności w „Mekkach” Nowej Muzyki – Darmstademie i Grazu, by następnie poświęcić się karierze solistycznej i pedagogicznej. Obdarzona nieczęsto spotykanym talentem i głębokim rozumieniem muzyki, Anna dysponuje bezbłędną techniką, która pozwala jej porywać się na dzieła o najwyższym stopniu złożoności, jak *Eidos* Barbary Buczkówny, który pięknie zagrała i nagrała na nominowanej do nagrody Fryderyka płycie pod tym samym tytułem (są na niej tytuły solowe oraz na skrzypce z fortepianem z udziałem Joanny Opalińskiej). Prezentuje przede wszystkim kompozycje współczesne – i te już kanoniczne, trwale zakorzenione we współczesnym repertuarze i te, które wyszły świeżo spod twórczych igieł. Polskie kompozytorki i polscy kompozytorzy z pewnością zawdzięczają jej jednej więcej niż tuzinom innych wykonawców.

Niemniej talent, technika są niczym bez samozaparcia i wiary w słuszność obranej drogi. Granie Nowej muzyki to zadanie niewdzięczne – niewdzięczny jest sam repertuar, zawsze trudny do opanowania; niewdzięczny jest los muzyków, którzy nie mogą liczyć na zadawalającą liczbę koncertów; niewdzięczne są media zmopolizowane przez nieuków. Wdzięczni są tylko twórcy, jako że mogą posłuchać własnej muzyki, a nieczęsta to rozkosz. Wdzięczni są też ci melomani, którzy do najnowszej, bezkompromisowej muzyki mają stosunek taki sam jak jej twórcy – traktują ją jako zajmującą lekcję niezbadanych możliwości piękna, i co z tym idzie poznawaniem zagadkowych pokładów wrażliwości.

To nam daje genialna Anna Kwiatkowska.



fol. arch.

„Pieśni współczesne” uhonorowane

AGNIESZKA KUKUŁA



29 kwietnia w szczecińskiej Hali Netto Arena odbyła się gala rozdania nagród Akademii Fonograficznej FRYDERYKI 2022. Płyta „Pieśni współczesne” Miuosh i Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny zwyciężyła w kategorii Album Roku Muzyka Korzeni Blues. Statuetkę w imieniu Zespołu „Śląsk” odebrał Dyrektor Zbigniew Cierniak wraz z delegacją artystów chóru.

Album „Pieśni współczesne”, współtworzony przez Miuosha, artystów chóru i orkiestry Zespołu „Śląsk” oraz znakomitych wykonawców zaproszonych do projektu: Błażeja Króla, Belę Komoszynską, Ralpha Kaminskiego, Igora Herbuta, Natalię Grosiak, Julię Pietruchę, Tomasza Organka, Jakuba Józefa Orlińskiego, Andrzeja Smolika, Marcina Wyrostka, Korę i duet Kwiat Jabłoni, miał swoją premierę 24 września 2021 roku.

Jak mówi Dyrektor Zbigniew Cierniak, już sama nominacja do tej nagrody była dużym zaszczytem.

– Właściwie już na etapie realizacji płyty czuliśmy, że bierzemy udział w wyjątkowym projekcie. Entuzjastyczny odbiór tego albumu, koncerty wyprzedane czasem w 40 minut od rozpoczęcia sprzedaży, pełne sale koncertowe podczas trasy promocyjnej i owacyjne reakcje na widowni – to wszystko sprawiło, że ta nominacja na swój sposób nas nie zaskoczyła – mówił niedawno w jednym z wywiadów Dyrektor Zespołu „Śląsk”. W dniu Gali, Zbigniew Cierniak powiedział:

– Traktujemy Fryderyka jako ukoronowanie całego projektu, takiego muzycznego Oskara. To bardzo ważne wyróżnienie, bo to nagroda branżowa. Jest wyraźnym i bardzo dla nas cennym sygnałem, że nie tylko publiczność znakomicie przyjmuje „Pieśni współczesne”. Teraz już wiemy, że także środowisko skupione wokół Akademii Fonograficznej docenia projekt i ta wyjątkowa statuetka może zdobić zespołową kolekcję wyróżnień.

To pierwszy Fryderyk w historii Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, ale nie pierwsza nominacja do nagrody Akademii Fonograficznej. W 2002 roku Zespół „Śląsk” otrzymał nominację w kategorii album Etno/Folk za album „Karolinka”.

W tej samej kategorii, rok później nominowana była płyta kolędowa „Święta noc”. W roku 2010 nominację otrzymała płyta „Hej, koło Cieszyna – Pieśni Ziemi Cieszyńskiej” w kategorii Album Roku Folk Muzyka Świata.

Fryderyki to nagrody przyznawane przez członków Akademii Fonograficznej, w której zrzeszonych jest ponad 1600 wokalistów, instrumentalistów, autorów, kompozytorów, producentów i realizatorów dźwięku, reżyserów wideoklipów, przedstawicieli branży fonograficznej oraz dziennikarzy muzycznych. Akademia Fonograficzna została powołana w 1999 roku uchwałą Walnego Zgromadzenia Członków Związku Producentów Audio Video. Przyznawane przez Akademię nagrody – Fryderyki są najważniejszymi polskimi nagrodami muzycznymi.

„Pieśni współczesne” to projekt, jakiego na polskiej scenie muzycznej jeszcze nie było. Ponad 140 zaangażowanych osób, 11 pieśni łączących współczesność z tradycjami ludowymi Ziemi Śląskiej i Beskidu Śląskiego oraz miesiącę wytężonej pracy i przełomowe podejście do tradycji. Pieśni zawarte na krążku na nowo tworzą bowiem opowieść o ludziach ziemi zmagającej się z teraźniejszymi problemami, jednocześnie nie zapominając o szacunku dla tradycji. Każdy utwór śmiało czerpie z tradycji pieśni ludowych Ziemi Śląskiej i Beskidu Śląskiego, nadając im współczesny charakter.

Historia projektu ma swoje źródło w roku 2019, gdy Miuosh zaprosił Zespół „Śląsk” do udziału w koncercie Scenozastąpienie. Wtedy przed 43-tysięczną publicznością, zgromadzoną na Stadionie Śląskiem, raper i producent zaprezentował się z ponadstuosobową ekipą Zespołu „Śląsk”, co dało niezwykle efekt. Kolejne miesiące przyniosły nowe kooperacje, które zrodziły ideę nadania utworom z repertuaru Zespołu bardziej współczesnego charakteru. Miuosh, autor muzyki i tekstów „Pieśni współczesnych”, zdecydował się zaprosić do pracy nad wydawnictwem licznych wokalistów, którzy dodali do stworzonych przez niego utworów własne, niepowtarzalne brzmienie.

W styczniu tego roku, koncertem w siedzibie NOSPR w Katowicach rozpoczęła się ogólnopolska, promocyjna trasa koncertowa „Pieśni współczesnych”, w których wziął udział chór i orkiestra Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” pod batutą Jana Stokłosa oraz zaproszeni do projektu soliści.

Katowice, Poznań, Wrocław, Kraków, Warszawa, Bielsko-Biała – 6 miast, 14 koncertów, bilety wyprzedane w mgnieniu oka, najpiękniejsze sale koncertowe wypełnione po brzegi publicznością i owacje na stojąco – tak w skrócie można opisać tę trasę. W marcu, podczas ostatniego koncertu w Bielsku-Białej, do rąk wszystkich wykonawców zaangażowanych w powstanie albumu trafiły Platynowe Płyty, wyróżnienie przyznane przez Związek Producentów Audio Video.

„ŚLĄSK” I „VIERIOVKA”

Wspólny koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny oraz Narodowego Zespołu Pieśni i Tańca Ukrainy im. Grigorija Vieriovki „Vieriovka” – 23 maja 2022, Teatr Śląski w Katowicach.

„Vieriovka” w swojej twórczości czerpie to, co najlepsze ze sztuki ludowej wszystkich regionów etnograficznych Ukrainy. Zespół został założony przez Grigorija Vieriovkę w 1943 roku. Swoją siedzibę ma w Kijowie. W repertuarze posiada historyczne, ukraińskie pieśni i tańce, humorystyczne scenki chóralne, ludowe pieśni i tańce wykonywane na dożynkach i weselach, a także kolędy. Chór w swoich oryginalnych, muzycznych opracowaniach wykonuje również najpiękniejsze pieśni wielu narodów. Zakres repertuarowy zespołu obejmuje zarówno utwory etniczne i folkowe, jak i klasyczne aranżacje a cappella współczesnych kompozytorów. Artyści w zachwycający sposób odtwarzają wokalną i taneczną kulturę ludową Ukrainy, a każdy utwór jest wykonywany w oryginalnej formie. Więcej informacji o Zespole: www.veriovka.com

MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Trzeci Maja

To jedna z najważniejszych dat w naszej historii, data szczególna. Oto 3 maja 1791 roku – kiedy nasza wolność była już dramatycznie ograniczona – Sejm Czteroletni uchwalił Konstytucję. To oczywiście słynna Ustawa Rządowa. Opiewana przez poetów i pisarzy, data wywołująca szczególne zainteresowanie i namysł myślicieli oraz polityków w Polsce i Europie.

Przypomnijmy fragmenty Preambuly Ustawy:

„W imię Boga w Trójcy Świętej Jedynego, Stanisław August z Bożej łaski i woli Narodu Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, (...) wraz ze stanami skonfederowanymi w liczbie podwójnej Naród Polski reprezentującymi, uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje, i z tej dogorywającej chwili, która nas samym so-

bie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą egzystencją polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć, mimo przeszkód (...) z największą stałością ducha niniejszą konstytucję uchwalamy i tę całkowicie za świętą, za niewzruszoną deklarujemy...”

To była próba ratunku Polski. Próba reformy i modernizacji, z zastosowaniem monteskiuszowskiego trójpodziału władzy.

Zarazem przecież „ostatnia wola i testament gasnącej Ojczyzny”. Warto o tym wszystkim pamiętać, patrzeć na historię, na ciągłość i zmianę naszej – i nie tylko – naszej rzeczywistości. 3 maja to wydarzenie wielkie i znaczące, groźne dla zaborców. Dlatego już w roku następnym obchody tej rocznicy były kategorię nie niemożliwe. Dlaczego? Bo wojska rosyjskie już pokazały swą siłę.

W dobie zaborów jakiegokolwiek polskie manifestacje były niemożliwe. Były zakazane nie tylko przez Rosjan. Ale też przez Prusaków i Austriaków. Historycy informują: „Próby publicznych obchodów jednak podejmowano, szczególnie w zaborze rosyjskim. (...) Dyskusje na temat ustawy rządowej toczyły się natomiast w środowiskach emigracyjnych czy krakowskiej szkole historycznej”.

Jakże znamienity jest w tym kontekście przykład z ziemi śląskiej. Oto Wawrzyniec Hajda, zwany śląskim Wernyhorą, który głosił na przełomie XIX i XX wieku ludności rodzimej Górnego Śląska słynne „godki patriotyczne” – i prośbę o „Zmartwychwstaniu Polski” – też bardzo często mówi o tej dacie. Mówił o dniu „gdy serca Polaków w miłości do ojczyzny zagrają dzwonowym grzmiotem, to wtedy dla Polski godzi na wolności uderzyć”. W swoim wystąpieniu przypominał te przepowiednie

gen. Stanisławowi Szeptyckiemu, gdy ten włączał Śląsk do Macierzy.

W. Hajda swoim rodakom głosił:

*Pan Bóg stworzył cię polskiej ziemi synem,
Bądź więc Polakiem, myślą, mową, czynem.
Miłość ojczyzny, pobożność, oświata
Niech twoje życie w jeden węzeł spleta.*

Jakże pięknie te słowa brzmią do dziś.

A co działo się w okresie II Rzeczypospolitej?

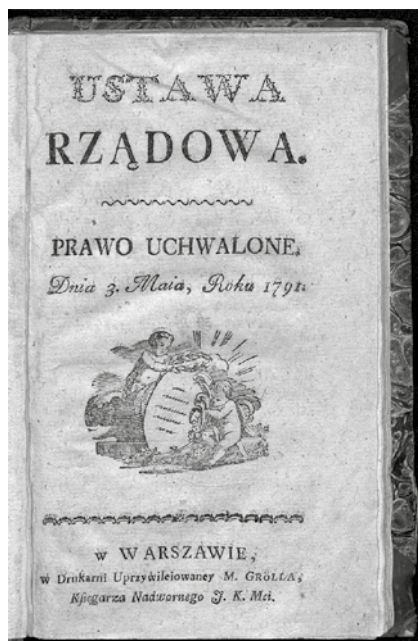
Oto Sejm Ustawodawczy uznał tę datę za święto narodowe. Była to decyzja z dnia 29 kwietnia 1919 roku. Święto było uznawane przez cały okres międzywojnia.

W realiach systemu komunistycznego wszelkie obchody tego święta były zakazywane. Przełomowy był dzień 18 stycznia 1951 roku. Święto zostało wówczas oficjalnie zniesione. Nowa ideologia, nowy reżim wprowadził swój system wartości.

Dopiero ustawą z 6 kwietnia 1990 roku święto zostało przywrócone. Oficjalna data obowiązywania wspomnianego święta nastąpiła w dniu 28 kwietnia 1990 roku. Artykuł 1 ustawy brzmiał kategorię: „Przywraca się Święto Narodowe Trzeciego Maja”. Zaś następny artykuł stwierdzał: „Dzień 3 maja jest dniem wolnym”. Dziś, kiedy to święto w wolnej Polsce znów obchodzimy, niech stanie się ono – w kolejnych latach – dniem pojednania, refleksji i namysłu. Zgody naszej narodowej wspólnoty. Przytoczmy wzniosłe słowa Franciszka Karpińskiego

*Witaj Majowa Jutrzenko,
Świeć naszej polskiej krainie (...)
Witaj Maj, Trzeci Maj
u Polaków błogi raj!*

Warto pamiętać, że tego dnia obchodzimy też uroczystość sakralną: święto Najświętszej Maryi Pannej Królowej Polski.



NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

XXVI Tarnogórska Sesja Naukowa

TARNOWSKIE GÓRY. 14 czerwca 2022 (wtorek) o godz. 11.00 w Koszarach 5 Pułku Chemicznego, ul. Opolska, odbędzie się XXVI Tarnogórska Sesja Naukowa pt. „Patriotycznie”, zorganizowana przez Instytut Tarnogórski. Honorowe patronaty objęli: premier Mateusz Morawiecki, wojewoda Jarosław Wieszczek oraz prof. Piotr Gliński, Mariusz Błaszczak i Barbara Dziuk.

Program sesji

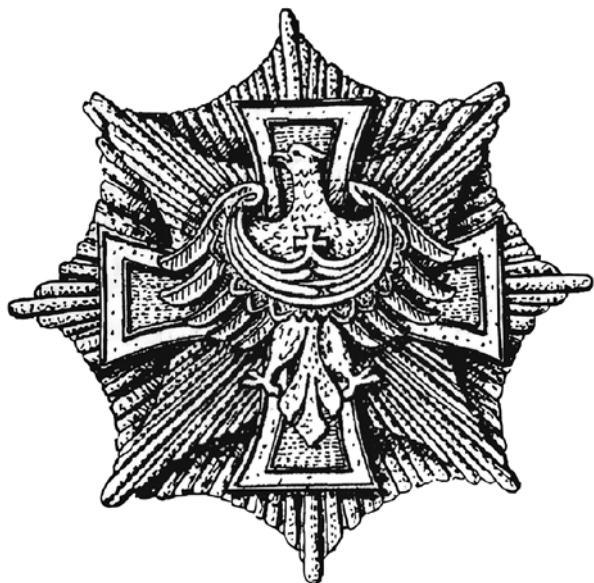
- Otwarcie sesji przez dowódcę 5 Pułku Chemicznego płk Bogusława Marka
- ppłk dr Rafał Niedziela – „Geneza Znak Spadochronowego w Wojsku Polskim”
- mgr Jarosław Wroński – „Mundury weteranów Powstań Śląskich”
- dr hab. inż. arch. Marek Wroński (kustosz dypl. Muzeum Instytutu Tarnogórskiego) – „Gąsienica na mundurze Polskich Lotników”
- mgr inż. st. kustosz muzealny Tadeusz Loster – „Wstydlive pomniki”
- Marek Wroński – „Ze studiów nad odznakami na nakrycia głowy Żołnierza Polskiego
- ks. kapelan ITiM Stanisław Juraszek – „Udział duchowieństwa w okresie powstań i plebiscytu górnośląskiego”
- dr Krzysztof Janus – „Losy Teodora Mężyka”
- st. kustosz mgr Nina Jarzyńska – „Bohaterski oficer tarnogórskiego pułku Antoni Gibliński”
- prof. dr hab. Tadeusz Dubicki – Promocja książki autorstwa Marka Wrońskiego pt. „Dzieje i barwa 5. Pułku Pancernego.

W przerwie zwiedzanie Sali Tradycji 5 Pułku Chemicznego. Oprowadza mjr Arkadiusz Kustra.

Konkurs plastyczny i fotograficzny

TARNOWSKIE GÓRY. Rusza konkurs plastyczny i fotograficzny z okazji 100. rocznicy przyłączenia Tarnowskich Gór do Rzeczypospolitej, adresowany do młodzieży i pasjonatów fotografii oraz konkurs uczestnictwa, polegający na zbieraniu pamiątkowych stempli w czasie trzech dni uroczystości (24–26 czerwca 2022). Przygotowano zestaw czterech stempli:

**MUZEUM INSTYTUTU
TARNOGÓRSKIEGO**



**TARNOWSKIE GÓRY
26 CZERWIEC 1922-2022**

**MUZEUM INSTYTUTU
TARNOGÓRSKIEGO**



26 CZERWIEC 1922-2022

MUZEUM INSTYTUTU TARNOGÓRSKIEGO



TARNOWSKIE GÓRY • 26 VI 1922-2022

**100. ROCZNICA PRZYŁĄCZENIA
TARNOWSKICH GÓR DO POLSKI**



**POCZTA KONNA
OCHOTNICZY SZWADRON 3 PUŁKU ULANÓW ŚLĄSKICH
TARNOWSKIE GÓRY • 26 CZERWIEC 2022 ROKU
PRZEWIÓŻE**

Metropolia – jednym miastem ? „To jeden z możliwych kierunków rozwoju”

KATOWICE. W wywiadzie dla Portalu Samorządowego Kazimierz Karolczak, prezes Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii (GZM) stwierdził, że:

Naszym najważniejszym działaniem GZM jest obecnie tworzenie **Kolei Metropolitalnej**, uruchomienie – w przyszłym roku – jednej z największych wypożyczalni rowerów miejskich w Europie oraz stworzenie grupy zakupowej zakupu aut elektrycznych na potrzeby administracji publicznej.

GZM stawia na współpracę międzynarodową i szeroko rozumiany rozwój, w tym rozwój nowych technologii i przemysłów wschodzących, angażuje się w rynek bezzałogowych statków powietrznych. Razem z najważniejszymi instytucjami lotniczymi w kraju tworzy inicjatywę **Centralnoeuropejskiego Demonstratora Dronów**. Rozwija projekt pod nazwą „Metropolia Nauki”, który ma stanowić pakiet narzędzi wspierających uczelnie w podnoszeniu oferty edukacyjnej, a przez to wzmacniających rolę GZM jako ośrodka akademickiego i badawczo-rozwojowego.

Nie może tracić z oczu faktu, że w przyszłości „**metropolia może być postrzegana jako jedno miasto**”. Jednak to jeden z możliwych kierunków rozwoju, długofalowe perspektywy, wieloletnie procesy.



Europejska Stolica Kultury 2029 w Metropolii

KATOWICE, SOSNOWIEC. GZM. Prezydenci Katowic, Sosnowca i przewodniczący Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii podpisali deklarację o współpracy przy przygotowaniu wspólnego wniosku do konkursu **Europejska Stolica Kultury 2029**.

Tytuł „Europejskiej Stolicy Kultury” jest przyznawany od ponad 30 lat jednemu lub kilku miastom z państw Unii Europejskiej. Miasta, które tytuł ten otrzymują, stają się na 12 miesięcy animatorami życia kulturalnego w całej UE i prezentują swoją ofertę oraz dziedzictwo na arenie międzynarodowej. Otrzymanie tytułu i wsparcia finansowego jest więc okazją do promocji regionów i przyciągnięcia zagranicznych gości. Miasta Katowice ubiegało się o ten tytuł w 2016 roku. Od tego czasu stolica GZM mocno się zmieniła – powstały nowe instytucje, realizowane są nowe projekty, wzbogaciła się m. in. o siedzibę Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (NOSPR) w Strefie Kultury.

W Katowicach będzie działać biuro Erasmus Plus InnHUB

KATOWICE. Centrum innowacji Katowice Erasmus+ InnHUB ma działać w Katowicach. Porozumienie ws. stworzenia takiego miejsca zawarły Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna oraz Narodowa Agencja Programu Erasmus+ i Europejskiego Korpusu Solidarności.

InnHUB ma popularyzować Erasmusa+ jako projekt wspierający innowacyjność w kształceniu młodzieży i ich rozwój zawodowy w firmach oraz na uczelniach wyższych. Katowice Erasmus+ InnHUB, które ma powstać w katowickiej siedzibie KSSE przy ul. Wojewódzkiej, będzie pierwszym tego typu w regionie miejscem spotkań informacyjnych oraz wykładów prezentujących dobre praktyki związane z innowacjami oraz nowymi technologiami, wykorzystywanymi w różnych branżach przemysłu i szkolnictwa. Jak wskazują sygnatariusze porozumienia, jednym z kluczowych zadań operacyjnych przedsięwzięcia będzie wykorzystanie potencjału współpracy śląskich uczelni, szkół i ośrodków kształcenia zawodowego, z przedsiębiorstwami działającymi na terenie regionu. Erasmus+ ma też znaczenie dla planowanego do 2025 r. utworzenia Europejskiego Obszaru Edukacji, dzięki któremu Unia Europejska zamierza zapewnić młodym ludziom dostęp do edukacji i szkoleń jak najwyższej jakości, umożliwić osobom uczącym się łatwe przemieszczanie między systemami edukacji w różnych krajach, a także umożliwienie znalezienia pracy w całej Europie. Pierwszy Erasmus+ InnHUB w kraju powstał w grudniu 2021 r. w Lublinie na terenie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, niedawno otwarto podobne takie biuro przy Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. W Polsce budżet Erasmus+ wynosi obecnie 1 mld, w każdym kolejnym roku ma być równy ok. 1,5 mld euro.

SOWA działa: Strefa Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności w Rybniku

RYBNIK W Zabytkowej Kopalni Ignacy w Rybniku powstała kolejna Strefa Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA). To szósta tego rodzaju placówka w Polsce. W placówce dostępnych jest 15 interaktywnych eksponatów. Dzięki nim zwiedzającym mogą poznawać rozmaite aspekty świata przyrody, takie jak: ruch, światło, ludzki organizm. Z kolei przestrzeń warsztatowa (Majsternia) służy swobodnemu eksperymentowaniu i podejmowaniu wyzwań konstruktorskich.

Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA) to wspólna inicjatywa Ministerstwa Edukacji i Nauki i Centrum Nauki Kopernik. Jej celem jest tworzenie małych centrów nauki w mniejszych miastach i miejscowościach (do 150 tys. mieszkańców). Centra powstają przy funkcjonujących już instytucjach kultury oraz instytucjach naukowo-oświatowych, np. domach kultury, bibliotekach, mediotekach, galeriach sztuki, muzeach. W każdej placówce można zwiedzać interaktywną wystawę oraz uczestniczyć w doświadczeniach i eksperymentach naukowych.

W ubiegłym roku zostały uruchomione dwie pilotażowe Strefy, Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności. W 2022 r. planowane jest udostępnienie kolejnych 18 takich placówek. Z kolei w roku 2023 powstaną kolejnych 12 małych centrów nauki.

W sumie w 32 miejscowościach w Polsce powstaną małe centra nauki, które będą promowały ideę uczenia się opartą na samodzielnym poszukiwaniu, eksperymentowaniu i odkrywaniu zjawisk otaczającego nas świata. W placówkach tych wykorzystane zostaną najlepsze doświadczenia edukacyjne i wystawiennicze Centrum Nauki Kopernik.

Otwarcie Planetarium Śląskiego zaplanowane na czerwiec!

CHORZÓW. Od 2018 roku Planetarium Śląskie było zamknięte dla odwiedzających z powodu kosztownego i długotrwałego remontu. Otwarcie Planetarium Śląskiego po remoncie jest zaplanowane na pierwszą połowę czerwca bieżącego roku. Władze obiektu zapowiadają, że ponowne otwarcie obiektu będzie połączone z pełną atrakcyjną imprezą. Już teraz na zewnątrz widoczna jest nowa wieża widokowa, z której będzie można podziwiać panoramę okolicy. Planetarium zostało wyposażone w nowy projektor, który jest w stanie pokazać ok. 20 milionów gwiazd. Wymieniono także ekran w sali projekcyjnej. Największą nowością w Planetarium Śląskim jest jednak podziemny **Śląski Park Nauki** – w tej strefie będą znajdowały się ekspozycje, a także pracownie oraz sale wykładowe. Bryła zabytkowego planetarium nie została naruszona podczas modernizacji – obiekt zyskał jedynie dodatkową przestrzeń pod ziemią, gdzie znajduje się wspomniany wyżej Śląski Park Nauki. W latach 50. budynek planetarium był jednym z pierwszych w Europie, który odpowiadał założeniom nurtu Space Age, czyli architektury inspirowanej kosmosem. U swych początków Planetarium Śląskie znajdowało się na terenie Katowic, dopiero później obiekt zaczął należeć do Chorzowa.



19. Węgiel Film Festival

KATOWICE. Ideą festiwalu organizowanego przez studentów II roku Organizacji produkcji filmowej i telewizyjnej Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach jest prezentacja twórczości studenckiej. Centrum festiwalu stanowi konkurs krótkometrażowych filmów fabularnych i dokumentalnych zrealizowanych przez studentów uczelni filmowych z całego świata. W ramach tegorocznego konkursu zaprezentowanych było 15 filmów fabularnych oraz 10 dokumentalnych, które oceniło Jury w składzie: Ewa Puszczynska, Łukasz Ronduda i Piotr Sobociński jr. Podczas festiwalu miały miejsce pierwsze w Polsce targi branżowe szkół filmowych – Student Film Market, dedykowane obecnym i przyszłym studentom. Celem targów jest stworzenie przestrzeni wystawowej dla szkół filmowych, umożliwie-

nie kontaktu między studentami różnych uczelni, a także spotkanie z przedstawicielami dużych i małych firm filmowych działających na rynku polskim. W pierwszej edycji wydarzenia udział wzięły: Szkoła Filmowa w Łodzi, Warszawska Szkoła Filmowa, Gdyńska Szkoła Filmowa, Szkoła Filmowa im. Krzysztofa Kieślowskiego oraz instytucje takie jak np. Polski Instytut Sztuki Filmowej, Związek Zawodowy Filmowców oraz Studio Munka działające przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich

30 lat Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”

KATOWICE. 29 lutego 2022 roku minęło trzydzieści lat od dnia podpisania dokumentu powołującego do życia jedyne – poza uczelnianymi – w województwie śląskim **Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”**. Działająca także poza strukturami samorządowych instytucji kultury, samodzielna oficyna mierzy się z wszystkimi problemami „niewidzialnej” ręki wolnego rynku książki. W okresie minionego trzydziestolecia Wydawnictwo opublikowało ponad półtora tysiąca pierwszych wydań tytułów książek naukowych, popularnonaukowych napisanych przez badaczy ze środowisk akademickich z Katowic, Śląska i całej Polski, czasopism naukowych, tomów eseistyki, oryginalnych dzieł pisarzy i poetów śląskich, przekładów prozy i poezji.

Nominacje do Nagrody Orfeusza

PRANIE, RUCIANE NIDA. Do 11 edycji Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego ORFEUSZ zgłoszono rekordową liczbę 288 tomików poetyckich wydanych w Polsce w 2021 roku. Jury w składzie: Jarosław Ławski (przewodniczący), Agnieszka Kosińska, Anna Legeżyńska, Bronisław Maj i Marek Zagańczyk (sekretarz jury Wojciech Kass) nominowało dwadzieścia tomików, z których następnie wyłoni finałową piątkę. Wśród nominowanej dwudziestki znalazły się książki: **Doroty Szatters** pt.: „Jerozolima. Fragment większej całości” i **Michała Muszalika** „Hotel Globo” wydane przez Bibliotekę Śląską. Laureatów nagrody jury wyłoni w najbliższych miesiącach.

Regionalny Przegląd Pieśni „Śląskie Śpiewanie”

KOSZĘCIN. Rozpoczyna się nabór zgłoszeń do kolejnej edycji Regionalnego Przeglądu Pieśni „Śląskie Śpiewanie”. Organizatorzy przeglądu – Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, Związek Górnośląski i Telewizja TVŚ, przy współpracy placówek kultury samorządów lokalnych – zapraszają miłośników śląskich tradycji muzycznych do wzięcia udziału w dwudziestej ósmej edycji „Śląskiego Śpiewania”. Regulamin i formularz zgłoszenia online można znaleźć na stronie internetowej www.zespolslask.pl



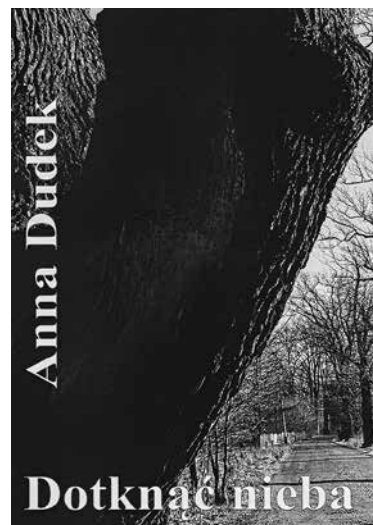
KSIĄŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



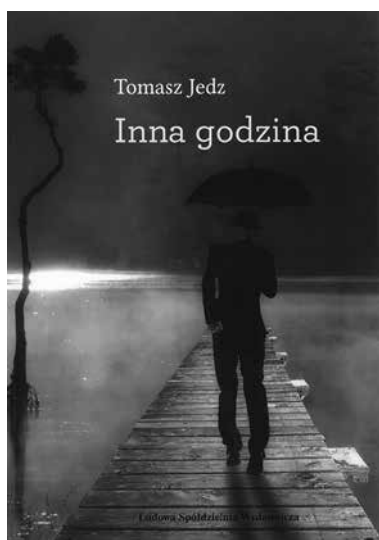
Agnieszka Zielińska, *Spółdzielnia Mieszkaniowa „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej 1981–2021. 40 lat*. Wydawca: SM „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Miejskie „Sztynarka”, Dąbrowa Górnicza 2022.



Andrzej Jarczewski, *Wprowadzenie do etyki czasownikowej*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Anna Dudek, *Dotknąć nieba*. Wydawca: Miejska Biblioteka Publiczna im. prof. H. Borka, Kalety 2015.



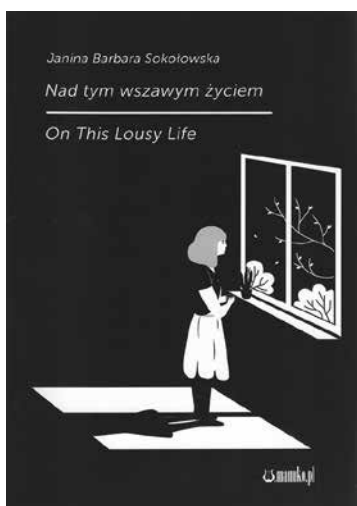
Tomasz Jedz, *Inna godzina*. Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2021.



Wytrych, *Wolna Inicjatywa Artystyczna. Wierszem w czas pandemii*. Wydanie specjalne, 7 (23) maj 2020.



Maciej Sojka, *Bogowie Osiedla. Heft #3*. Wydawca: Borki Apartments Publishing House, Katowice 2018.



Janina Barbara Sokołowska, *Nad tym wszywam życiem / On this lousy life. Wierszez lat 2014–2021*. Wydawca: Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2022.



Zeszyt do herstorii dla początkujących. Wydawca: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego w Katowicach.



Piszący z Ziemi. Teatr indygeny Floyd Favela. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.

FANTASTYKA 22

WSCHÓD vs ZACHÓD



• literatura • film • gry •
• koncert • wirtualna rzeczywistość •

3-11 czerwca 2022

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
Sosnowiec, ul. Kościelna 11

ZNAJDZIESZ NAS NA:

mbpsosnowiec

bibliotekasosnowiec

mbp_sosnowiec

mbp_sosnowiec

mbpsosnowiec

ORGANIZATOR
 Zagłębiowska
MEDIATEKA

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

PATRONAT HONOROWY
Prezydent Miasta Sosnowca
Arkadiusz Chęciński

PARTNERZY

Trzy Planisze

Sosnowiec
wójŚwiat

SMA

PATRONATY MEDIALNE

wyborcza

SLASK
kurier

TVS

onet

Sosnowiec

Sosnowiec
wójŚwiat

1-200.pl

Książka

Ostatnia
lawerna

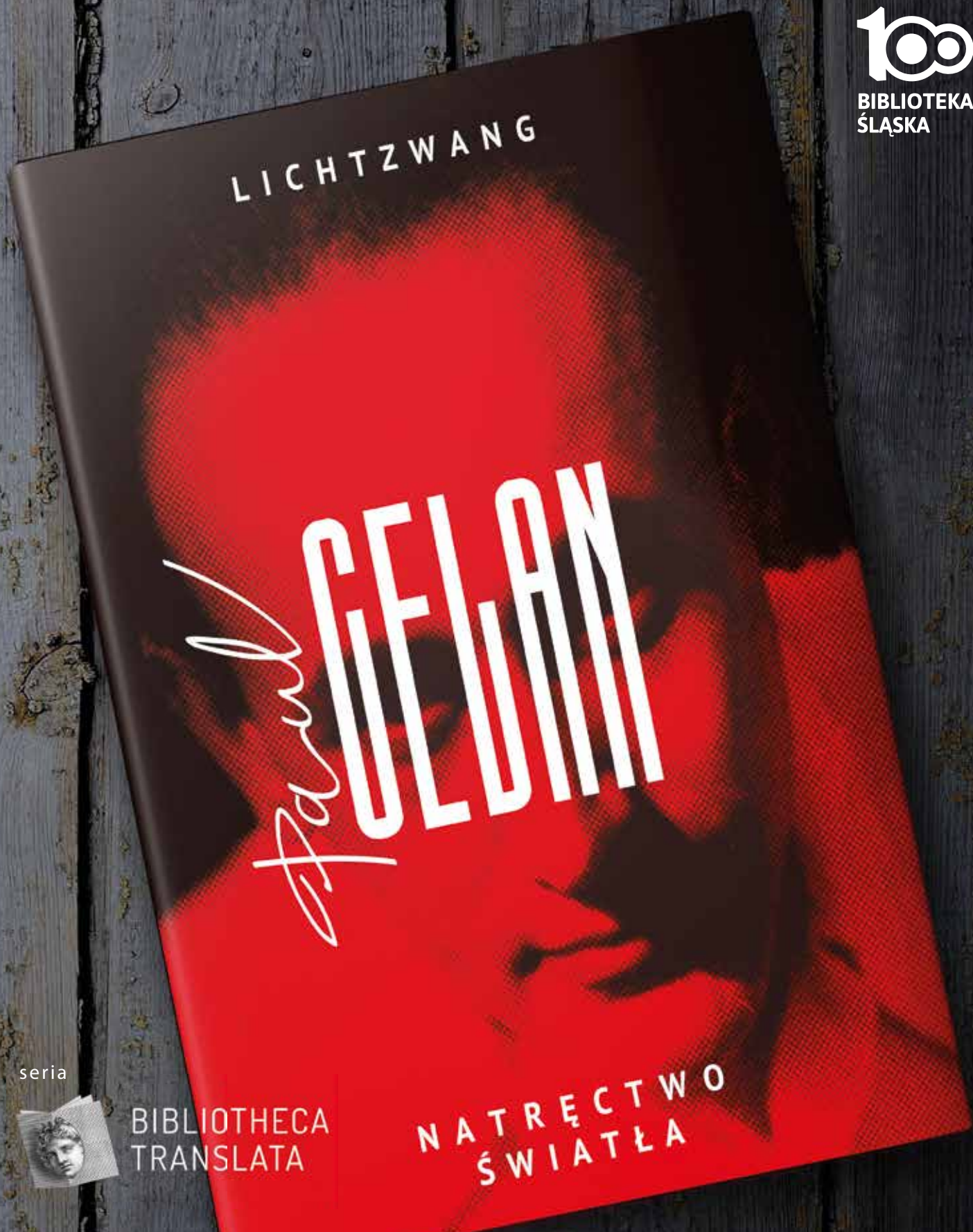
GAVTA

paradoks.net.pl

Kipacny

Katedra

GARENHEIT



seria



BIBLIOTHECA
TRANSLATA

NATRĘCTWO
ŚWIATŁA



Województwo
Śląskie



Biblioteka Śląska

Jednostka kultury Samorządu Województwa Śląskiego

Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej poleca
pierwsze tłumaczenie

jednego z najciekawszych tomów poezji **Paula Celana**
autorstwa Martina Suchanka z posłowiem prof. Tadeusza Sławka